

# Józef Ignacy Kraszewski

## Krzyżacy 1410 Tom 1



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

**KRZYŻACY 1410**

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI

# TOM PIERWSZY

ZACHODZĄCE słońce jaskrawo oświecało czerwone mury malborskiego

zamku, a raczej trzech zamków i rozłożonych na wzgórzu, z którego na błonia nad Nogatem widok się szeroki rozlegał. Godzina była, gdy się wszystko ku spoczynkowi i domowi zbiera; ludzie z pól, podróżni z gościńców do gospod, bydło i konie z paszy, ptactwo z żeru do gniazd przyląła. W ulicy do górnego zamku wiodącej pełno też było ludu rozmaitego, cisnącego się ku wnijsciu i wychodzącego z grodu na miasto.

Szum i wrzawa wielka panowały w ciasnej bramie pełnej wszelakich postaci, między którymi i najświetniejsze rycerskie, i najuboższe żebracze o siebie się ocierały. Słysząc było wrzask knechtów, torujących rycerzom drogę, i parskanie koni, i wart wołanie, i piskliwe głosy żebrzących przy drodze.

Nieopodal pod murem, nad którym się wznosiła ściana kościoła Panny Marii z olbrzymim wizerunkiem Matki Boskiej na tle złotem wysadzonym, siedziało rzędem żebractwo, zawodząc pieśni wieczorne. Dzwony odzywały się po kościołach na modlitwę, po zakonnych murach na godziny, na służbę, na braci i rycerzy. Każdy z tych dzwonów miał swój głos, po którym go poznawali swoi, i mówił co innego a inaczej. Jedne śpiewały przeciągle i długo, drugie urywanymi dźwiękami rozkazująco wołały, inne się modliły, zwolna rozkołysane, rozmarzone jakby pieśnią wieczorną. W słonecznych promieniach pomarańczowych krasne mury Malborka ex lutho, z błota zbudowanego, rubinowymi barwy, szatą purpurową okryte jaśniały. Zdawało się, jakby cegła, z której je wzniesiono, ze krwią była mieszana, w krwi maczana i krwią oblana. Ostre szczyty z wąskimi oknami pięły się do góry, a na gzymsach ich ślizgały się błyski światła, jak sznury złote, i w błonach okien w ołów oprawnych odbijało się słońce, jakby z nich biły płomienie.

Wspaniały to był a straszny widok tego zamczyska o wieczornej porze, z tymi krwawymi ścianami, na pół w cieniach, pół w płomieniach, i kto nań spojrział, zadrzeć musiał nad potęgą Zakonu, który z namiotu dorósł do takiego grodu i z obozu rozlał się na państwo zdobyte.

Czuć tu było wielką potęgę i siłę.

Wszystko olbrzymie wyglądało: mury ciągnące się i piętrzące ogromnymi ścianami, obraz Marii całą zajmujący kościoła połączyć w złocistej niszy, baszty, bramy, ganki, kościoły, porosły wysoko, a sam lud, co zapełniał gmachy, potężny też był i doborowy. Rycerze na koniach, cali okuci w żelazo, dobrani z rodu, co w puszczech germańskich wyhodował się do walki z dzikimi zwierzętami.

Konie pod nimi ciężkie i roztyłe, blachami przyodziane, do nich też były podobierane. Knechci, co jechali za panami, równali im imliarą, psy, co za nimi biegły, do wilków były podobne siłą, sierścią i wzrostem.

Pieszny lud też z zamku i do zamku płynący — wszystek, co po sukniach białych z półkrzyżami poznać go było można za pół-braci, rosły i silny, a butny i rozbujany — rozpędzał ubogą czeladź na ziemi tej zrodzoną, na niewolnika wyglądającą. Ustępowano im iż drogi prędko, bo knecht każdy łącznie sobie radził

pięścią i kijem. Ani krzyżyć wolno było obitemu, kiedy go pan chłostał. A roiło się tymi pańskimi płaszczami białymi dokoła zamku, bo z różnych stron do nowego mistrza przybywali posłańcy i rycerze, i komturowie konwentów, i miejskie gromady, i książęcy posłowie, i goście niemieccy z nad Renu, ze Szwabii, Frankonii, Luzacji, Saksonii, Bawarii a całego germańskiego mrowiska.

Ale dla wszystkich było dosyć miejsca na zamkach, w górnym i średnim, i po wszech tych gmachach piętrzących się ma górze, nie licząc lochów i podziemi drugie tyle, w których też niejedyn gość się mieścił pod kłodą.

I od dawna nie było na malborskim zamku tak ludno, bo nikomu tajno nie było, że się na wojnę zbierało. Jagiełło upominał się ziemi dobrzyńskiej, a Witold Żmudzi, i choć Witolda Zakon prawie był pewien, przecież tyle razy się na nim zawiódł, iż ostrożność zachować musiano; choć Krzyżacy mieli wszech książąt niemieckich pomoc i zasiłki kupione i obiecane; choć króla Zygmunta też zapłacić przyrzekli; choć król polski i brat jego sami niemal stali przeciw nim nikogo z sobą nie mając — trzeba było sposobić się, by ich pokonać, z niemałym trudem i zachodem. Po całej więc przestrzeni ziem Zakonu szli gońce, aby zamki oprawiać, zewsząd przynoszono wieści, co nad granicami słyhać, żywność, prochy, konie, zbroje i działa ściągano. Szły o pokój

rokowania, ale go nikt nie był pewien.

Nowy mistrz po Konradzie obrany, brat jego Ulryk, starym był wojakiem, choć człowiekiem młodym, bo począł wcześniej za Konrada Wallenroda wyprawy swe i u boku jego walczył nieustannie; walczył komturem w Baldze, gdzie nigdy spokoju nie miał, a marszałkował potem Zakonowi, aż do zgonu brata.

Żołnierz był to więcej niż wódz, prędki, gorączka, butny, do gniewu i porywu skory, a potęgą Zakonu nakarmiony tak, iż w nim duma płomieniami wzbierała. Nieprzyjaciela takiego naprzeciw siebie mieć, Zakonem trzęsącego i miłością jego uzbrojonego, z Niemiec jako ze spiżarni ciągnącego ludzi i żelazo, niebezpieczne było.

Co dzień szły listy z Malborka i kursorzy na zachód, aż nad Ren, i nawoływały po zamkach rycerstwo niemieckie na spokojne Słowian ziemie, które się z garści Zakonu wymykały; co dzień też z gdańskiej wieży widać było nowych przybyszów, pocztami ciągnących na łowy krzyżackie przeciw Litwie, Rusi i Polsce.

Dlatego i w tej godzinie wieczornej gorącego dnia lipcowego gwaro tak było bramach i około murów, a na zamku ino rzenie koni było słyhać, i chrzęst zbroi, i brzęk żelazca u boku rycerzy... i rzucanie zbrojami, które padając chrzęszczały.

Właśnie komtur z Tucholi na zamek jechał, Henryk von Schwelborn, i drogę ścierpiał. Siedział na bachmacie ogromnym, we zbroi i płaszczu na ramię torować kazał knechtom, bo ludu przy sobie nie lubił, a o lada kogo otrzeć się nie zarzuconym, w szyszaku, którego przyłbicę podniósł, a twarz mu z niego marsowa patrzała, z czarnym wąsem i brodą jak wiecha, z brwiami rozbujającymi krzaczasto, z czerwonymi i wydatnymi usty, jakby krwią niestartą nabrzmiętymi. I odgadnąć było łatwo, po co z Tucholi do mistrza śpieszył, bo go wszyscy znali, że Jagiełły i jego narodu nie cierpiał, a mawiał, odgrając się, iż krew by jego pil ze smakiem, i mówiąc to śmiał się białymi zębami jak wilcze

ostrymi. Chciał też wojny i na nią namawiał, i cieszył się, że ją mieć będzie, bo zdawała się nieuchronną.

A gdy w bramę wjeżdżał z czterema rycerzami za sobą i dziesiątkiem knechtów z drugiej strony, chciał się w nią wcisnąć ubogi jakiś człowiek, niemłody, o kiju, którego z czarnej długiej sukni trudno poznać było, co za jeden miał być: pątnik, ksiądz, żebrak czy sługa pański. A że wchodząc stary nie ustąpił

komturowi, bo go nie widział, pchnięto go tak i przyparto do muru, że koń komtura nogą mu przygniótł stopę aż krzyknął, za co płazem miecza po karku od samego Schwelborna dostał.

I podniósł nań oczy stary, aż się źrenice ich spotkały z sobą, a było wejrzenie starca, mimo boleści, tak promieniste i potężne, że się komtur zachnął i namarszczył zdziwiony, by ubogi człek śmiał tak patrzeć na niego.

Starzec się przecie i marsa tego nie uląkł, oko w oko mierzył Henryka, który go zwolna mijał, a ręką jedną, jakby z szyderstwa raczej niż z pokory, czarną czapeczkę, przystającą mu do głowy, podniósł i ukazał wśród siwych włosów okrągłe znamię tonsury, dając znać, iż kapłanem był.

Przez ramię nań patrząc kamtur dojrzał ten znak i butno się rozśmiał, jakby rzec chciał: — Cóż mi to, żeś ty kapłanem, jam rycerzem-zakonnikiem najmożniejszego w świecie bractwa i szydę sobie z twej tonsury i kapłaństwa!

Starzec zwolna czapeczkę nałożył, a ręką chudą za stopę zranioną się uchwycił i postawszy chwilę, kulejąc, zwolna pociągnął w głąb zamku, który zdawał się znać dobrze, bo się do infirmerii o drogę nie pytał. Lecz żeby tam dojść, dziedzińce górne przebywać było potrzeba i bramy wewnętrzne, a tu też ścisk gorszy niż w ulicy, zgiełk straszniejszy panował. Stały przez knechtów trzymane konie z powieszanymi łbami, czekając aż im stajnie ukażą, zwijali się posługacze i czeladź klasztorna, wyładowywano wozy, staczano beczki, przejść było niełatwo nawet jednemu człowiekowi, bo gawiedź popychała i rzucała jak piłką tym, co jej wpadł w drogę, szczególnie, gdy płaszczą na sobie białego nie miał.

Staruszek z nogą zranioną tak ubogo wyglądał z kijem białym, który niósł w ręku i torebką skórzaną przez plecy, że go ciury nawet poszanować nie chcieli; popychano biedaka, lecz dał sobą pomiatać z pokorą i słówka nie rzekł, i ręki nie podniósł.

Komtur zsiadał z konia właśnie, gdy kulejąc nadciągnął stary, spojrział nań z ukosa i jednemu z braci przywołać go do siebie kazał. Młody zakonnik podbiegł

parę kroków ku podróżnemu, słowa nie mówiąc za ramiona go chwyciwszy, nie opierającego się popchnął przed sobą do komtura, który stał na stopniu u wchodu, dobywając z kalety pieniądze, jaki chciał jako jałmużnę dać skrzywdzonemu.

Gdy go postawiono przed komturem, starzec powtórnie odkrył głowę i nakrył ją zaraz, a oczy

podniósłszy ciekawie patrzył. Znać ta twarz na Schwelbornie uczyniła wrażenie, bo pieniądz już trzymając w palcach stał, a wpatrzył się w nią z podziwem jakimś, jakby jej zrozumieć nie mógł. W istocie też owemu pięknemu obliczu staruszka zdziwić się było można, tak ono od wyszarzanej podróźnej sukni ubogiej odbijało dziwnie, taki święty spokój błogi rozlany był w pięknych rysach bladej jego twarzy. Srebrnym włosem okolona, biała, jasna, uśmiechała się łagodnie, z oczu mu były jakby promienie do głębi sięgające, i stał, jak gołąb przed jastrzębiem, obok komtura z pychą nań patrzącego z góry.

— Mości książe, na mszę świętą za powodzenie oręza komtura z Tucholi!

— Bóg zapłać — cicho odpowiedział ksiądz — będę się modlił!

— Skądże idziecie? Z daleka?

Ksiądz się trochę zawahał.

— Tak, z daleka, z daleka... ze Śląska idę.

— A dokąd?

— Do cudownego obrazu Najświętszej Marii Malborskiej! — i wskazał ręką ku kościołowi, na którego ścianie jaśniała olbrzymia postać Marii, przy kaplicy św.

Anny.

Komtur patrzył nań, nic nie rzekł, odwrócił się i w krużganki się puścił do wielkiego mistrza.

Starzec, potrymawszy na dłoni pieniądz, schował go nie śpiesząc się, a raczej wsunął niedbale do torebki; potem, że mu zbolała noga więcej dolegała, ciężej jeszcze o kiju począł iść ku zamkowi dolnemu, gdzie była infirmeria i gospoda dla podróźnych. Tu już dalej puściejsze były dziedzińce, acz i tu się kręciła czeladź, bo się do wieczerzy w wielkim refektarzu miało, a gości było dosyć, których wielki mistrz u swojego stołu też przyjmował pocześniej. Więc baryłki z miodem i piwem gdańskim czarnym toczono, a gąsiorzy zielone z winem nieśli drudzy oburącz, i misy cynowe, które ledwie dwóch dźwignęło.

I śmiała się służba do zakazanego owocu, bo sama się szklanką cienkusz obchodzić była zmuszona. Staruszek zwolna sunął w dół ku infirmerii, aby się szpitalnikowi stawić i o nocleg go prosić — ale i do tego dostęp nie był łatwy. Stali u drzwi pacholekowie, przez których o posłuchanie musiano się zgłaszać, ci brali imiona podróźnych i nieśli je do niego, a odpowiedź przynosili.

Dwóch tam o framugę opartych ziewało, gdy ksiądz zbliżył się i pokłonił.

— Ksiądz jestem — rzekł — pielgrzym z ziemi śląskiej do Panny Marii, pobożny, stary, skaleczony, o nocleg proszę.

Jeden z barczystych knechtów przypatrzył się starcowi i milcząc niechętnie odszedł. Słysząc było niekiedy podwoi stuknięcie i milczenie po nim. W chwilę wyszedł pacholek i ręką księdzu wskazał,

aby za nim ciągnął.

Po kilku schodach, na każdym z chorą nogą odpoczywając, zwlókł się stary w korytarz sklepiony, i wgłębieniem w murze wpuszczono go przez drzwi do malej izdebki, a z niej do obszernej, jasnej, sklepionej izby, w której na wygodnym krześle z poręczami, o poduszkach i podnóżku, siedział niemłody, bardzo otyły mężczyzna z twarzą obrzękłą i czerwoną. Drzemał może niedawno, bo jeszcze miał

półspiącą postawę i ręce splecione trzymał przed sobą wygodnie.

Ksiądz się od progu skłonił.

— Skąd? co? jak? po co? — odezwał się jakby bez myśli siedzący w białej sukni szpitalnik.

— Ksiądz, pielgrzym, Ślązak, do cudownego malborskiego obrazu, proszę o gościnę.

Szpitalnik jedną ręką potarł się po głowie.

— W sam czas, bo wieczерę podadzą, prosimy. Nikomu w imię Marii i św.

Jana żądajacemu nie odmawia się odpoczynku.

Wtem spojrzął na posadzkę, na której stał gość. Miejsce to, gdzie jego noga spoczęła, oznaczała plama ciemna, noga stała w kałużce krwi, która z niej płynęła.

— A to co? — zawołał zdziwiony szpitalnik.

— Przypadek! Niech będzie na chwałę Bożą, że cierpię i że mi dozwolił

choć kropelkę krwi wylać.

— Cóż ci się, ojczy, stało — rzekł szpitalnik, widocznie krwią

zaniepokojony, a może więcej plamą na jasnej posadzce.

— Moja wina... pośpieszyłem się we wrota, gdy rycerze jechali... Konie ich nawykły tratować nieprzyjaciół, więc się i swoim od nich dostać może.

— A idźże, ojczy, idź, niech ci w szpitalu najprzód nogę obejrzą i obwiążą.

Klasnął w dłonie. Gruby pacholek ociężale sunąc przybył.

— Zaprowadź ojca do szpitala, niech mu nogę opatrzą, do wieczery

posadzą i nocleg naznaczą...

Pokłoniwszy się nisko szpitalnikowi, poszedł za przewodnikiem ksiądz w milczeniu. Niedaleko też miał do drzwi szpitala, w których kilku braci widać było stojących. Tym go oddał posłany. Nie

pozdrowiwszy go nawet, pokazali mu drzwi do izby. Jeden z posługaczy, któremu pacholek rozkaz oddał, zbliżył się do siadającego na ławie.

Milcząc do nogi się schylił, a gdy ją już w ręce miał wziąć, spojrzawszy staremu w oczy i z cicha krzyknął.

Stary na ustach palec położył. Obejrzał się i dał znak, aby milczał.

Trzymając w rękach drżących nogę starca, przyklękawszy, z wlepionymi w niego oczyma, braciszek szpitalny zdawał się osłupiały. Ksiądz mu się uśmiechał

dobrotliwie i łagodnie.

Krew tymczasem na podłogę ciekła. Ujrzawszy ją, dopiero żywo wziął się do rozwiązywania staruszkowi nogi braciszek. Skórzane obuwie, proste, sznurami przywiązane, łatwo zdjąć było, i szmaty, którymi stopę obwinięto, były całe krwią zbroczone.

Pytające oczy zwrócił braciszek, obaczywszy zduszone palce, z których podkowa końska krwi dobyła.

— Koń nastąpił, bo Pan Bóg chciał, abym pocierpiał. Przyłóżcie, bracie, wody, a przeżegnajcie ranę, nic nie będzie.

— Mój ojciec, wy tutaj? pieszo? a toć oczom nie wierzę...

— Pątnikiem idę, ślub uczyniwszy, do Malborskiej N. Panny, co za dziwo?

— Sam jeden?

— Z Bogiem... z Aniołem Stróżem...

— W waszym wieku?

— Najbezpieczniej: ubogiego starca chyba koń zaczepi, ludzie mu nic złego nie zrobią, pomina...

Westchnął ksiądz, braciszek spuścił głowę, rozwiązał nogę i tuż do wielkiej dębowej skoczył szafy, której oba skrzydła otworzył. Zapach z niej wyszedł od ziół

suchych i mocnych korzeni a leków, orzeźwiający i miły. Na półkach stały słoje i flaszki, leżała bielizna i płachty.

Prędko się uwiął braciszek i wody utoczywszy z dzioba sterczącego w ścianie na wielką misę glinianą, począł nogę ostrożnie obmywać, ocierać, potem ją z lekka hubą leśną obłożył, aby krew zatamować i płachtą starannie okrył.

Znalazł się sukna kawał, by ją okryć po wierzchu.

— Bóg że ci zapłaci, mój Franku! — odezwał się ksiądz — a gdy do domu powrócę, powiem waszym, żeście tu zdrowi i w świętej służbie.

Stary westchnął, a braciszek mu przerwał.

— Nie mówcie o mnie ni słowa nikomu, ani gdzie jest, ani co czynię, niech o mnie pamięć zaginie.

Zamilkł smutno.

— Świętej służby nie macie się co wstydzic — dodał kapłan — lepsza ona pewnie niż owa na koniu i we zbroi, z pychą w sercu i krwią na rękach. Ta krew, którąś ty swoje ręce zmasał dla miłości mojej, nie plami cię przynajmniej i na duszę nie spadnie.

Braciszek popatrzał nań i długie westchnienie z piersi mu się wyrwało.

— Mój ojczy, w infirmerii dzwonią do stołu, ja was poprowadzę, rękę podam, posadzę; potrzebujecie pokrzepienia.

— Dzień cały w ustach nic oprócz wody nie miałem — rzekł kapłan —  
ale w wigilię chciałem pościć.

— Toć już i słońce zaszło — dodał rękę podając Franek. — Chodźmy!

Wyszli tak z izby szpitalnej. Nie opodał znowu, o kilkanaście kroków był  
refektarz infirmerii.

Stół zakonny rycerzy i braci, wedle reguły ich nader był skromnym, w infirmerii tylko więcej i lepiej chorym, gościom, pielgrzymom, przybyszom, starcom i tym, co wygody lubili, dać było wolno. Tu się często i zdrowy wprosił, aby zjeść smaczniej i więcej, bo w infirmerii nie zbywało na niczym: króle i książęta jeść tu mogli...

Refektarz był długi, jak wszystkie izby sklepiony, a ogromny stół, wzdłuż ustawiony na nogach krzywych, środek jego zajmował. Z jednej strony oświecały go wąskie okna od dziedzińca, z drugiej szafy stały, stoły do naczyń i okiennicami opatrzone otwór, którym misy z kuchni obok podawano. Na ścianie wnijścia przeciwnej, na podstawce z muru wystającej, stał posążek drewniany N. M. Panny, malowany i złocony, a poniżej podobny św. Jana. Złocene też wstęgi około nich się wijące zawierały napisy stosowne. W lewo, pomiędzy oknami, mała ambonka dawniej służyła lektorowi, który czasu obiadu Pismo święte i legendy czytywał.

Teraz już w infirmerii oprócz błogosławieństwa i modlitwy więcej nic czytać nie było w zwyczaju. Lichtarze u ścian, nie pozapalane jeszcze, z rogów jelenich, miały przygotowane świece, które w nich tkwiły.

Gdy staruszek na próg wszedł, refektarz już był pełen, a zwijało się w nim tyle i tak różnych ludzi, że się zrazu, jakby nieco wylękł, u drzwi zatrzymał. Do jedzenia jeszcze czas nie był przyszedł, a że

stary stać nie mógł, braciszek go na ławie posadził, nie opodał drzwi, bo dalej iść namówić nie mógł. Oczy wszystkich zwróciły się zaraz ciekawie na ubożego pątnika.

Byłby i on też zaprawdę miał się w czym rozpatrywać, gdyby ciekawy był różnobarwnej tej zbieranej drużyny.

U stołu już siedziało kilku rycerzy zakonnych, stary jeden i zgrzybiały, kaleka drugi bez ręki, trzeci, któremu otyłość bezmierna chorobą się stała i odpoczynek nakazywała. Było jeszcze dwóch, co się może chorymi czynili, aby lepiej zjeść za oczyma. Oprócz zakonników wielu było podróżnych, znać z rycerskich orszaków przybyłych książąt i baronów; byli i klerycy a pisarkowie różni, i posłance z Niemiec, i mieszczanie. Więc choć z cicha niby rozmowy się wiodły, a gwar był, jakby woda szumiała w strumieniu. Wśród tego szumu prysnął

czasem śmieszek, jak kiedy się fala o kamień rozbije.

Ów otyły rycerz, choć nikt jeszcze nie jadł, zza pasa noża dobył i z bochenka chleba leżącego przed sobą krajał sztuki grube, smarował je masłem i chciwie pożerał.

I tak był zajęty tą sprawą, że nie widział, jak na niego ze wszech stron patrzono, bo już był połowie bochna podołał i mógł śmiało cały pochłonąć, sądząc z łapczywości, z jaką się raczył.

Księżyna z nogą chorą, nie mieszając się z gośćmi innymi, sparty na białym kiju, z boku na ławie siadłszy czekał, ażby misy przyniesiono. Braciszek szpitalny stał przy nim, ażeby mu rękę podać. Wtem jeden z rycerzy, słusznej postaci, chudy, blady, zbliżył się do siedzącego

ł coś pomówiwszy z braciszkiem, a nie dowiedziawszy się może, co chciał, zwrócił się do starca:

— Skąd Bóg prowadzi?

— Ze śląskiej ziemi.

— Dobra ziemia — odparł rycerz — rodzi ona mężnych szlachciców,

których tu dosyć mamy, ino ją polskie plemię zachwaściło... bo tam tego jeszcze dość...

Starzec głowę podniósł.

— Po Bożemu, jedno plemię nielepsze od drugiego, wszyscyśmy

chrześcijanie, krwią Zbawiciela odkupieni.

Rycerz ramionami ruszył.

— Czy chrześcijanami są, i o tym wątpię — dodał. — A że tu, na polskiej ziemi swej króla poganina plugawego mają, to pewna. Ale niedługo mu rogów przytrzymamy.

Nie mówił nic ksiądz.

— Cóż po drodze słyszeliście? boście to przez kraje jego iść musieli.

— A cóż mogłem słyszeć od kościoła do kościoła idąc i po drodze się modląc? — rzekł staruszek.

— Po kościołach dzwony, a po drodze słońce, pył i burze spotykałem.

— Przecież tam, słyszę, na gwałt się do wojny z nami sposobią?

— Mnie o pokoju mówiono — odparł ksiądz.

— Niech nas Bóg od niego uchowa — porywczo zawołał rycerz — stokroć lepsza wojna niż taki pokój, jaki my mamy, w czasie którego w zbroi musimy stać, a dzień i noc czuwać... Raz z tymi rozbójnikami skończyć potrzeba!

I tymi słowami nie skłonił staruszką do rozmowy; wtem się wszyscy ruszyli, bo misy z rybami niesiono i zapach imbiru a szafranu po izbie się rozniósł.

Zajmowano tedy miejsca skwapliwie, a kto mógł, co najbliżej misy.

Wśród gwaru odczytano benedykcję. Staruszek się na szarym końcu

pokornie umieścił.

Szpitalny braciszek pozostał, przysiadłszy na ławie, aby księdza

odprowadzić, gdy się posili. Jedli zrazu wszyscy w milczeniu, potem się po sobie rozglądać poczęli. Jeden ze starych rycerzy, który ręką przeciętą w boju nie władnął, przysiadł się później do pielgrzyma, ciekawie mu się przyglądając. Był to człek chudej, pociągłej twarzy, z policzkami zapadłymi, oczu wysadzistych, ze skąpym zarostem na brodzie, a że zęby zjadł, szczęki mu zapadły dziwnie, co wyraz nadawało rysom

szyderski i niemły.

Przyglądał się staruszkowi bardzo pilnie, a gdy ryby zjedli i drugie danie przyniesiono, trącił go, wpatrując się, i spytał:

— Gdzieś jam was widział?

— Być może — odparł stary — dużo po świecie się chadzało, w różnych miejscach bywało; ano, nie pomnę...

— I ja nie — mówił zakonnik trąc czoło — a przysięgłbym, że kędyś spotykaliśmy się i to nie tu na naszej ziemi, ale na obcej.

— Bywaliście gdzie dawniej? — zapytał stary spokojnie.

— Wiele po Niemczech, Czechach, Łużycach, Śląsku, Polsce, Litwie i Rusi, ba, i nad Renem, u Szwabów i Frankonów.

— Na Śląsku moja ojcowizna — odpowiedział kapłan.

Zakonnik ciągle się wpatrywał i dumał podparty na łokciu, w pamięci szukał widocznie czegoś.

— Nie bywaliście kiedy z Witoldem u nas?

— Nie — rzekł ksiądz — na jegom dworze nigdy nie gościł.

— A na Jagiełlowym? — podchwycił zakonnik.

Ksiądz chwilę milczał.

— Młodszym będąc, lat temu wiele, pisarzem bywałem przy biskupie krakowskim, gdy innego brakło.

Rycerz wargę zagryzł.

— Widzicie, tośmy pewnie na jakim zjeździe dla rokowania spotykać się musieli. Ale teraz w ich służbie nie jesteście?

— Bogu służę, a nikomu więcej — rzekł staruszek.

Zakonnik zamyślony w misę począł patrzeć i milczał czas jakiś, ale chwilami staruszkowi się przypatrywał.

— To dziw, żeście właśnie pod te czasy, gdy my się na wojnę zbieramy z Jagiełłą, przybyli tutaj...

— Cóż mnie wojna obchodzi? — mówił stary — nie żołnierz jestem... prócz Chrystusów.

— Boćby was posądzić łącno, żeście tu podpatrywać nas przyszli? —

mruknął zakonnik.

Stary spojrział zdziwiony i rozśmiał się.

— Ksiądz jestem...

— My sami zakonnicy jesteśmy — odparł ze śmiechem także Krzyżak —

przecież, gdy trzeba, na zwiady się puszczamy. Jam też nieraz przebrany na dworze królewskim z Czechami gościł!!

— Wasz zakon wolny jest — rzekł ksiądz — więcej dziś żołnierzami, niż mnichami nazwać się możecie.

— Jak to dziś? — podchwycił Krzyżak — alboż się u nas co zmieniło?

Ostatnie słowa urażony rzekł wyzywająco. Staruszek oczy spuścił, namyślać się zdawał.

— Uderzcie się w piersi, pamiętacie czasy dawniejsze... Zaprawdę, zaprawdę, urósł Zakon w potęgę, ale potęga niesie z sobą pychę, a pycha wszystko złe.

Zakonnik się podparł łokciem i nasrożył.

— Ostre słowa, a w żywe oczy! — zawołał.

— Za oczyma bym ich nie mówił, lecz owszem bronił was — łagodnie

ciągnął stary. — Widzicie siwe włosy moje i choć ubogą, ale duchowną odzież.

Nie godzi mi

się kłamać, gdy wyzywacie, abym mówił.

— Ano, milczę.

Czas jakiś trwało w istocie milczenie. Przy stole wiła się rozmowa pomiędzy wszystkimi, otyły zakonnik kufle wypróżniał, sapał a pot ocierał.

— Wojna więc — rzekł ktoś z drugiego końca — a jeśli wybuchnie, znamy mistrza naszego, nie poprowadzi on jej miękką ręką i na żarty: walka musi być o życie lub śmierć. Z jednej strony król rzymski, Węgrowie, my z drugiej... Kto wie, po jakiej książę Witold stanie... Jagiełło gardło dać musi, w Krakowie pokój zawrzemy!

— Amen — dołożył drugi.

— Myśmy zawsze grzeszyli tym, żeśmy się za rękaw komuś ciągnąć dali, a nieprzyjaciela oszczędzili! Wyprosił papież, król, cesarz, układaliśmy się i cierpieli, a buta tego poganina rosła...

— Za pozwoleniem miłości waszej — przerwał powolnie stary ksiądz, na którego wszyscy oczy zwrócili. — Nie sędzę ja, kto praw a kto winien, bo to nie moja rzecz, ale co do króla Jagiełły, prawda każe powiedzieć, że chrześcijanin jest i gorliwy wielce. Nie ma dnia, by choć późno mszy świętej, a czasem dwóch i trzech, nie słuchał, na łowy nawet z sobą duchownych wozi, piątki suszy i modli się na kolanach.

Niektórzy się śmiać poczęli, inni wybuchli gniewem.

— Cóż to za jeden? Polak? — poczęli pytać.

— Ślązak jestem...

— E! pół Polaka! — mruknął któryś ze wzdardą.

— Po cóż Jagiełły bronicie?

— Nie Jagiełły, ale prawdy bronię.

— Jako żywo, nie jest to prawda — wyrwał się któryś zza stołu. — Z

nieboszczykiem Konradem, wielkim mistrzem, kilka razy jeździliśmy na granicę z królem na rozmowę. Widziałem go z bliska. Obyczaje ma pogańskie, a wiecie dlaczego? W lesie nade wszystko siedzieć lubi, aby się do wężów modlił i pod starymi dębami zabobony swoje odprawiał. Samem widział, jak wychodząc z rana z namiotu słomki łamał, rzucał i wkoło się okręcał czyniąc gusła jakieś.

— Ano tak! tak ci jest! — potwierdzali drudzy, patrząc w księdza, który milczał.

— Cóż wy na to? — podchwycił sąsiad.

— Przy swoim stoję — rzeki stary — chrześcijaninem jest.

— A myśmy chyba u was poganie! — zaśmiał się jeden ze starych.

— Nie wiem — odparł spokojnie pielgrzym. — Krzyż przecie na piersiach nosicie, a wierzę, iż go i w sercu macie.

Zamruczano za stołem.

— Co za jeden ten przybłęda? skąd?

— Pielgrzym. Kapłan ze Śląska.

— Coś mu z ust źle słyhać — szepnął jeden z braci.

— Jagiełły broni...

Wstał cichaczem któryś zza stołu i bocznymi drzwiami się wysunął.

Rozmowa ciągnęła się dalej, a oczyma milczącego starca mierzono. Mrok się robić poczynał i świece w lichtarzach rogowych pozapalano. Niektórzy kuflami się zabawiali.

Staruszek więc wstał, ręce założył i nie czekając benedykcji a modlitwy, sam po cichu, stojąc, modlić się zaczął.

Spojrzano nań z ukosa, jakby mu za złe wzięto, iż pobożnością swoją drugim chciał dawać naukę.

Z końca stołu starszy się ozwał:

— Należało poczekać z drugimi na modlitwę.

— Słaby, stary i skaleczony jestem — zawołał kapłan — proszę o pozwolenie, bym na spoczynek mógł odejść.

Chciał się z lawy wysunąć, gdy sąsiad go po ramieniu ręką uderzył; siary się zachwiał i usiadł.

— Czekaj, ojcze wielebny — dodał śmiejąc się — nim pójdziecie stąd, musicie mieć z kimś chwilę rozmowy...

Szyderski uśmiech słowom tym towarzyszył. Staruszek nie odpowiadając nic pozostał w miejscu; oczy wszystkich zwrócone były na niego. Spozierali niektórzy na drzwi, gdy te się otwarły, w nich dwóch ukazało się knechtów z halabardami w rękach.

Siedzący obok księdza, uśmiechając się, wskazał starcowi na nich.

— Pójdziecie z nimi — rzekł klepiąc go po ramieniu — a nie zapomnijcie co ciekawego powiedzieć o królu Jagiełłę.

Szpitalny braciszek zobaczywszy knechtów wielkiego mistrza pobladł nieco, popatrzał na księdza, który już kija postawionego w kącie szukał, i wysunął się z refektarza.

Kulejąc szedł w milczeniu staruszek pomiędzy knechtami przez podwórze, nazad do średniego zamku, gdzie były izby dostojnych rycerzy i kapituły Zakonu.

U ganku wchodowego przez pachółka zameldowano wielkiemu mistrzowi, że przyprowadzono nakazanego pielgrzyma.

Wyszedł w białym habicie mnich z twarzą ogoloną, duchowny, i pokazał drogę przez krużganki i korytarze do wnętrza.

Po sklepionej komnacie, niewielkiej, przechadzał się w ubiorze rycerskim mężczyzna słusznego wzrostu, pięknej twarzy, z oczyma czarnymi, bystrymi... gdy księdza wpuszczono. Staął zobaczywszy go, i mocno wpatrywać się w niego począł.

Postawy był pańskiej, a choć oznak żadnych dostojeństwa na sobie nie miał, oprócz łańcucha złotego na piersiach, a na palcu pierścienia, poznać było łatwo, iż wysoki urząd w Zakonie musiał piastować. Z dumą patrzył, z wysoka i z wielką wzroku potęgą.

— Nie doniesiono mi fałszywie — odezwał się po chwili — i ja sobie przypominam, żem was przy królu, albo Witoldzie widywał?

— Przy pierwszym raz tyłkom pisarski urząd czasowo sprawował — odparł ksiądz — a drugiemu nigdy nie służyłem.

— Nie zapierasz więc? — podstępnie rzekł mężczyzna.

— Prawdy zapierać się nie mogę.

— Więc i reszty jej dopowiedzieć powinienes — dodał zakonnik. — Kto cię tu posłał?

— Mnie? posłał? — spytał stary — mnie? A któż i po co by mnie miał tu posyłać?

Uśmiechnął się wzgardliwie rycerz.

— Wiecie kto jestem? — spytał.

— Domyślam się w was najwyższego mistrza Zakonu...

— Nim też jestem... w moim ręku życie wasze...

Mówcie prawdę całą, kto was tu szpiegiem posyła?

Ksiądz położył znak krzyża na piersiach.

— O, panie mój! — zawołał — suknia moja kapłańska za mnie świadczyć powinna. Dlaczego posadzacie mnie?

Wielki mistrz rozśmiał się ręką potrząsając, jakby nakazywał milczenie.

— Macież nas za tak prostodusznych, abyśmy uwierzyli? Wojna się zbliża...

wy do orszaku króla należeliście, a pewnie należycie, potajemnie przybywacie na zamek, wkradacie się do niego i ja mam uwierzyć, że to z nabożeństwa lub dla zabawy czynicie?

Począł się śmiać. Starzec zamilkł.

— I ja mam was wypuścić na swobodę, abyście im zanieśli o nas wieści, a może i o innych zamkach i wojskach naszych... W istocie chytry król dobrze sobie wybrał posła. Któż na starca i kapłana zważa? Ale my mamy dobre oczy i podejść się nie dajemy.

— Mistrzu — rzekł stary — nie będę mówił nic na moją obronę. Stoi oto krzyż Chrystusów z wizerunkiem Zbawiciela podle was, złożę wam nań przysięgę zem niewinny.

— Po co mi przysięga i krzywoprzysięstwo, gdzie wina jawna, a występny schwycony na uczynku? Przyznajcie się lepiej, powiedzcie, kto was posyła, powiedzcie, gdzie król i wojska jego... skrucą się wykupicie.

— Ja idę ze Śląska, a modłę się przez drogę, nie wiem nic — jęknął

staruszek. — Za świadka niewinności mej biorę N.M. Pannę, do której obrazu ciągnąłem.

Spuścił głowę staruszek, sparł się na kiju i dokończył, jakby sam do siebie:

— Stań się wola Twoja...

— Jeśli po dobrej nie zeznacie woli — rzekł mistrz — znajdzie się u nas kat i łoże, i cęgi, i sznury, i ruszt... nie czekajcie, abym ich użył.

— W ręku boskim życie i zdrowie moje, czyńcie co wola wasza, a pomnijcie, że Bóg jest na niebie, co pomści niewinnego.

— Na sąd Boży mnie wyzywacie? — zaśmiał się mistrz — wy... robak jeden. — Kapłan... — przerwał stary z godnością.

Mistrz Ulryk począł się przypatrywać starcowi, który pod groźbą nabierał powagi i majestatu. Nie był to już ów przed chwilą zgięty i pokorny starowina, przed powagą mistrza schylający głowę; czoło podniósł i oczy wlepił śmiało w Ulryka.

— Słę cię do więzienia i na męki — odezwał się mistrz.

— Panem jesteś — rzekł kapłan — czyń.

Stali obaj milczący, mierząc się oczyma; przez chwilę mistrz się zdawał zachwiany.

— Przebaczę wam, jeśli mi powiecie, co czyni król, gdzie obóz? gdzie Witold? Idą-li Ślązacy i Czechowic, a Morawianie na pomoc? Ile chorągwi zacieźnych?

Oburzył się stary i poruszył.

— Mistrzu! — zawołał podnosząc rękę do góry — czyń ze słabym, co

chcesz... Nie króla Jagiełły i jego chorągwi, nie księcia Witolda z jego Rusinami i Tatary obawiać się masz. Ja ci powiem o innych nieprzyjaciołach, daleko niebezpieczniejszych, którzy Zakon zwyciężą i obalą.

Mistrz stanął osłupiały.

— Nie wojska te, ale niebieskie zastępy wyjdą przeciw wam, z Archaniołem Michałem, jak niegdyś przeciw zbuntowanym aniołom. Zabiją was nie strzały nieprzyjaciela, ale grzechy wasze...

Ulryk, nie otwierając ust, słuchał zdumiony.

— Tak — ciągnął staruszek poruszając się coraz bardziej. —

Chrześcijańskim zowiecie się zakonem, a ducha Chrystusowego nie macie... a pychę szatańską. Nie pogany wojujecie, ale potęgi się dobijacie i bogactw dla siebie; nie w pokorze i posłuszeństwie

życie, ale w zbytkach i zniewieściałości; nie w miłości, ale w nienawiści i zatargach. Grzechy wasze są wrogami, co was pobijają.

Nie mówiąc nic mistrz w dłonie uderzył; zakonnik ukazał się w progu.

— Oddać tego kaznodzieję knechtom! — zawołał. —

Trzeba poszanować suknię kapłańską. Ptaszek to drogi i niepospolitym duchem zagrzany, nie można go wrzucać do lada ciemnicy... należy uczcić... jak należy... Wszak wolny sklep Witoldowy? Tam, gdzie siedział pan jego, niech sobie staruszek odpocznie. Wygodnie mu tam będzie i bezpiecznie...

Mówił z szyderskim wyrazem, gdy knechci pokazali się już w progu, a za nimi oczekujący wcześniej klucznik z trzosem u pasa.

— Dać mu sklep Witoldów — dodał mistrz — wszak to nieopodal kościoła, będzie się mógł modlić słuchając.

— Bóg zapłać — rzekł staruszek, kijem się podparł i wyszedł.

Knechci go z dwóch stron między siebie wzięli, szydząc, przodem klucznik stąpał oglądając się niekiedy.

Wyszli w podwórze, w którym ciemno już było i pusto. Gmachy stały czarne i wszędzie prawie ognie były pogaszone, gdzieniegdzie tylko spoza błon błyskało mdłe lampy światelko. Na czarnym sklepieniu niebios spokojnie gwiazdy połyskiwały.

Z nogą okaleczoną starzec ledwie się powoli mógł poruszać, więc knechci popychali go i ciągnęli, bo ich klucznik wyprzedzał. Tak się zbliżyli nieopodal od gdańskiej wieży, kędy było do lochów wnijście, piekarni i kuchni, i spuścili się kilka schodów w głąb. Klucznik wprzód lampkę zapalił w izbie u strażnika. Mury podziemne, grube i nie okryte niczym, ponuro wyglądały... straszniej jeszcze okowane, ciężkie drzwi żelazne, drągiem zaparte, w których za kratą małe na zawiasach widać było okienko.

Klucznik, choć ogromną dłonią jedną i drugą, pochyliwszy się i napałszy sobą cisnął je, nie mógł poruszyć, aż knecht pomógł i na wrzeczadkach zardzewiałych odchyliły się drzwi, a za nimi ukazało się wnijście wąskie, w prawo i lewo dwie komórki ciasne, pewnie dla straży.

Tuż naprzeciw drugie drzwi blachą okute otwierał już stróż i sam poprzedził pielgrzyma, rozpatrując się w zatęchłym sklepie.

Była to izba na pół w ziemi, o jednym oknie, zewsząd grubymi drewnianymi balami obita, które żelazne pasy do muru przyciśnięte trzymały... Z takichże bali łoże

usłane, nagie, ceglana posadzka zimna, kurzawą i ziemią zasypiana — nie było więcej nic.

Klucznik się obejrzał, bo ani dzbana z wodą, ani słomy na poślanie nie było.

— Na noc i tak dobrze — mruknął.

Ksiądz znużony już był na łożu przypadł, nie prosząc o nic, nie mówiąc nic, spuściwszy oczy modlił się. Knechci popatrzyli nań ciekawie, spojrzali nań i stary klucznik, po czym do drzwi powrócili wszyscy; ostatni wyszedł stróż i na rygle drzwi spuścił jedne i drugie. Ciemności otoczyły starca i nierychło trochę nocnego mroku dojrzał u góry, w oknie kraciastym.

— Bogu niech za wszystko będą dzięki — szepnął składając znużone członki na deskach.

Gdy z pokorą więzień szedł na spoczynek, w izbie wielkiego mistrza gwar jeszcze panował i powiększył się po uprowadzeniu staruszka. Oprócz Ulryka Jungingen, znajdowali się tu: komtur z Tucholi przybyły Schwelborn, wielki szpitalnik, który pielgrzymą przyjmował, i wielki komtur Kuno von Lichtenstein.

Na stole widać było kubki srebrne i szklane ponalewane winem i misę pełną migdałów, rodzyneków i fig. Wielki mistrz siedział zamyślony, inni się przechadzali, a rozmowa była żywa.

— Zaraz z oczu tego chytrego węża wyczytałem — mówił wielki szpitalnik

— że nie pobożność go tu przyprowadziła.

— Aleć to jawna, że darmo się nie włókł — gwałtownie dodał Schwelborn

— koń mój też czuł w nim wroga, gdy mu nogę zdusił w bramie.

— Jagiełłę trzeba znać — rzekł Ulryk — i cały ten ród litewskich

kunigasów... którym nigdy wierzyć nie można. Dawnoż to Witold, gdyśmy grodek nad Dubissą wznosili, drzewo nam ze swych puszczy wozić kazał i własnych cieśli przysyłał w pomoc?

— Może dlatego, aby mu oni donieśli, kędy do gródka wnijscie będzie łatwiejsze — szydersko dorzucił Schwelborn. — Jadowite żmije!

— Starego szpiega jutro na łożo wziąć, a pociągnąć go sznurami dobrze, żeby mu stawy powyskakiwały, wyśpiewa wszystko.

— Szpieg, to jawna! — mówił Lichtenstein, wielki komtur — czy się

przyzna, czy nie, wątpić o tym nie można. Pełne ich są grodki nasze i miasta... tak że żebraków, nie pytając nawet, wieszają każę, bo w ich łachmanach zdrada chodzi...

— Lada dzień wybuchnie wojna i to są znaki, co ją poprzedzają zawsze —

przerwał wielki mistrz — zatem w gotowości być musimy na pierwsze hasło do boju.

Z Czech i Morawy do Polski pociągnęły pułki zaciężne. Na Mazowszu

trzebią dla wojsk drogi po lasach. Król z Witoldem i mazowieckimi panami nieustannie zjazdy mają.

— Bogu niech będzie chwała! Bogu chwała! — wybuchnął Schwelborn —

przynajmniej moje miecze raz się krwią ochrzczą, co je dla nich dawno chowam!

Wojna! tośmy też gotowi... Komturowie wszyscy na zawołanie czekają, w chełmińskiej ziemi po zamkach patrzą tylko na blankach i czatują, rychło pierwsza łuna się ukaże; skoczmy do boju weselej niż chłopci do tańca!!

— Daj to Boże — rzekł wielki mistrz — bo o pokoju mówić już nie ma co...

ani się go spodziewać. Miecz musi rozstrzygnąć.

— I krew — dodał Schwelborn. — Niech się to raz skończy i niech nas rozgrodzą pustynie.

Mistrz Ulryk westchnął.

— Wszystko kładziemy na szalę — rzekł — ważym wiele!

— Bóg z nami! — wołał Lichtenstein. — Bóg Zastępów z nami! Myśmy tu przodownicy wiary i światła... barbarzyństwo to raz wytepić potrzeba i ziemię przez papieży i cesarzy nam daną, do nas należącą, krwią naszą zbroczoną, zająć bezpowrotnie. Z ludu tego nie ma się co dobra spodziewać. Uparty jest i dziki, wyniszczyć go; niech przyjdą nasi z Niemiec i zaludnią na nowo kraj...

Lepiej nam tu będzie, niż gdzie indziej na piaskach i wydmach; tu ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, Niemców jej tylko potrzeba, a zakwitnie. Ta dzicz na wieki dziczą pozostanie.

Ulryk westchnął znowu.

— Prawdą jest, co mówicie — dodał — a przecież tyle jest żałob i skarg na nas, że zamiast chrzcić, tępiemy ludzi, iż do nowych powodów dawać nie należy.

— Cóż nam te krzyki szkodzą, co one nas obchodzą? — zawołał

Schwelborn. — Ego te baptizo in gladio! najbezpieczniejsza rzecz, bo już apostazja niemożliwa, a duszyczka zbawiona.

Rozśmiali się wszyscy, oprócz mistrza.

— Losy wojny niepewne — szepnął.

— Byle wojna! byle raz wojny doczekać — krzyknął Schwelborn

wyciągając ręce do góry — byle wyjechać w pole, reszta się dokona. — Mogą oni przeciwko nam się utrzymać? Cóż to Witoldowe wojsko: dzicz, z pałkami, na pół

naga, Tatarzy i Ruś, u których żelaza brak nie już na piersi, ale w ręku nawet...

Lepiej zbrojne wojsko Jagiełły, lecz i tego się nie lękamy... Są na to sposoby!

Lichtenstein zbliżył się do wielkiego mistrza.

— Pewnie, że żadnymi gardzić nie można — rzekł cicho. — Do Czechów i Morawian posłać trzeba; choć językiem mówią podobnym do Polaków, ale z Niemcami żyją i bratają się. Są między nimi tacy, których zyskać można... Niech się zaciągają... Owszem. Przyjdzie do boju, niech stają do szeregu, a jak walka się rozpocznie na dobre, będą wiedzieli, co czynić.

Wszyscy potakująco głowami ruszyli.

— Toć rzecz właśnie spełniona — rzekł mistrz półgłosem. — Do Jana

Sarnowskiego, który zaciężną chorągiew Czechów i Morawian prowadzi, posłano i zgoda z nim stanęła: albo przeciw nim się obróci lub wcale bić się nie będzie.

Cichym mrużeniem objawili wszyscy, że się dobrze stało.

— Przeciw takiemu nieprzyjacielowi jak Jagiełło, wszystkie środki dobre —

mówił mistrz — bo i on nie innych używa. Przeciwno poganom też dopuszczone jest

szukać wszelkich sposobów, aby z tego plugastwa ziemię oczyścić, a co są innego ci ludzie, co przeciw krzyżowi śmiało walczyć, jeśli nie poganie?

— Od pogan gorsi — zawrzeszczał Schwelborn — bo się przybierają w szaty chrześcijan, aby im szkodzili. Z poganina chrześcijanin być może, z tych ludzi nic nigdy dobrego.

Tak gwałtownie się unosząc i wykrzykując siedzieli długo, aż mistrz wstał.

Godzina była późna, żegnać się więc poczęli i mistrz pozostał sam, pacholków wołając, aby mu do snu łożę przygotowano.

Obok komnaty, w której narada się i owa gwarna odbywała rozmowa, była sypialnia mistrza, niby cela zakonna, ale po książęcemu strojna i w zbyt kowne opatrzona wygody. Tu szaty wierzchnie ściągnąwszy Ulryk miał już odprawić służbę, gdy pacholę szepnęło mu słowo jakiegoś i mistrz się płaszczem narzucił, choć w twarzy widać było, że nierad to czynił.

W progu pierwszej izby, którą co opuścił, stał w sukni zakonnej człowiek wstrętnej twarzy, z kosym wejrzeniem, zacierając ręce i wcześniej schylając głowę pokornie. Sposób, w jaki mistrza witał, nie byłby się dozwalał domyślać w nim jednego z dostojników Zakonu. Był to wszakże podskarbi, Thome von Merheim, słynący z przebiegłości mąż, małowówny, skryty, lecz wpływu niemałego u wszystkich używający. Nie lubił go wielki mistrz, bo się ich charaktery nie godziły z sobą, bo rycerskim był pierwszy, drugi wężowym; lecz ulegać musiał

doświadczysz owocu rad jego. Merheim łysy był, brodę miał rzadką, zęby żółte i popsute, cerę oszpeconą czerwonymi plamami. Cała jego postać odrazę budziła.

— Słowo mam rzec — szepnął zbliżając się — a Miłość Wasza wysłuchać mnie musisz, bo sądzę, że nie bez wagi będzie i nie bez pożytku.

— Późna godzina — rzekł mistrz.

— Innej nie mamy — mówił z naciskiem Merheim — we dnie was ludzie

odrywają i po dniu jawne sprawy załatwiać należy, a nocą tajemne. Wiem, że wy wolicie na nieprzyjaciela do rycerskiego brać się oręża, że w was wstręt budzi, gdy się do podstępu uciekać trzeba, ale my nic opuścić nie możemy. Ze słabości nieprzyjaciela korzystać, to rozum cały.

Mistrz zdawał się znudzony, siadł owijając się płaszczem.

— Mówcie — rzekł cicho — Sarnowskiego wedle rady waszej kupiono.

Czegóż więcej chcecie?

— Toć nic jeszcze — mówił trąc ręce Merheim — mały zysk i niepewny.

Lepszą wam radę daję. Mamy naszych u dworu Jagiełły, znać go trzeba. Ciągnie on,

królowę Annę zostawiwszy w Nowym Korczynie, nie z wielką pono ochotą, ale party przez swoich i widząc, że nie uniknie wojny. Podejrzliwy jest i zazdrosny, do miłostek skłonny, zabobonów pełen, czemu nie korzystać

z tego?

— Cóż nam po tym? — spytał mistrz niechętny.

— Wiecie, że ową świątobliwą niewiastę, Jadwigę, pierwszą żonę swą, przecież podejrzewał. Anna Cylijska nie piękna jest, ale jeszcze młoda, czemu by na nią podejrzenie zręcznie rzucone być nie miało?

— Ale cóż nam po tym? co nam po tym, powtarzam — odezwał się Ulryk.

— Jak to? Zarzewiem go piec będzie głupia zazdrość — mówił rozogniając się Merheim — porzuci obóz, wojsko, wojnę, a poleci pilnować małżeńskiego łoża,

— A jakże podejrzenie to zrodzić się ma? — spytał Ulryk.

— Trzeba kogoś, co by je rzucić umiał, a nikt lepiej tego nie dokaże nad kobietę... Cóż powiecie, gdyby mu czar zadała, albo i napój jaki... a myśmy się pozbyli nieprzyjaciela, aby na chwałę Bożą pracować spokojnie?

Ze wzdrgnięciem popatrzał mistrz na śmiejącego się podskarbiego.

— Ciemno mi to jakoś i, powiem prawdę, brudno i czarno wygląda — odparł

mistrz — z orężem w rękę walczyć, a życie i gardło dać, to rozumiem, ale tak...

— Boć to nie wasza sprawa — pośpieszył podskarbi — ani wam się godzi mieszać do tego. Idzie o to, abyście przyzwolenie dali, podejmie się tego za grzechy kto inny...

— Czego? — zapytał mistrz.

— Całej roboty... wyboru ludzi, bez których się nie obejdzie, pokierowania siecią, aby ryba wpadła, wyciąganiem na brzeg i reszty.

Machnął ręką.

— A cóż mi po tym, choćby go nawet nie stało? — zawołał mistrz niechętnie

— azali tam nie ma wojownika Witolda i mazowieckich książąt, i rycerstwa, i wojewodów?

— Lecz wodza odjąć w chwili walki, albo go spoić i głowę mu zawrócić, małaż to rzecz? — mówił Merheim.

— Tu o losy Zakonu idzie. Miłość Wasza znasz jedno: w pole iść i bić się, ale w polu różnie bywa. Obiecują się nam wszyscy, a wielu z nich dostoi? Król rzymski, Zygmunt, na dwóch stołkach siedzi; Węgrzy wojnę zapowiedzą, a nie wyjdą; inni się pochowają. Ma Zakon siły, lecz czy równe tym, z którymi walczyć będzie? Ja nie wiem. A to wiem, że gdy szala nie dowoła, rzucić na nią czy flaszkę z napojem, czy kobietę, czy szatana, byle na naszą przychyliła się stronę, powinność każe zakonna.

Zamyślony głęboko siedział mistrz, jakby ważył słyszane słowa.

— Czemuście tu nie byli przed godzinami kilku — ozwał się — a nie

słuchali, co mi tu jakiś starzec rzucał na głowę? Burzyła się dusza moja słuchając, i kazałem go zamknąć do sklepu, a słów jego zapomnieć nie mogę, bo czy Bóg przezeń mówił, czy on sam, słowa to były wielkie i jak ołów a kamienie na duszę padały. Mówił — tu mistrz wstał poruszony — mówił, że Zakon ginie grzechami własnymi, bo krzyż ma na piersi, nie w sercu... Któż wie, czy nie wojują przeciw nam winy nasze?

Ironicznie począł się uśmiechać podskarbi.

— Dla Zakonu — zawołał — grzech chętnie wezmę na duszę moją! Zakon...

dla mnie i dla Waszej Miłości winien być wszystkim. Grzeszny dziś, jutro może stać

się czysty, a przy życiu go utrzymać zmusza obowiązek i przysięga. Co po. tym, gdy giniemy święci? Ja grzech na duszę biorę, powtarzam, będę gorzał w piekle, ale Zakon ocalić trzeba.

— Któż wam mówi, że Zakon zginać może? — zapytał mistrz zdumiony.

— Nie łudźmy się — niższy głos dodał podskarbi — niech drudzy

potęgę Jagiełły a Witoldową umniejszają i w nią nie wierzą, my między sobą obliczmy się.

Ściągnąwszy do ostatniego komtura i knechta przeciwko Mazurom, Litwie, Żmudzi, Smoleńszczanom, Rusinom i ich sprzymierzeńcom jest nas za mało.

Mówią, słomiane to rycerstwo, a nasze żelazne; ale dwudziestu słomianych żelaznego obalą. Zakonowi grozi zguba, ja go ratować chcę, choćby duszę zatracić.

— W zgubę nie wierzę! — przerwał mistrz.

— Wierzcie w niebezpieczeństwo, a dozwólcie mi ratować się, jak umiem.

Co szkodzi, jeśli garstką łez strumień krwi można oszczędzić.

— Byle nie błotem! — rzekł Ulryk.

— Choćby kałem — sprzeciwił się podskarbi. — Chcecie czterdzieści

tysięcy złotych dać Zygmuntowi, aby im wojnę zapowiedział? Weźmie on je, ale wojny nie zrobi. Dacie Sarnowskiemu za zdradę, weźmie i was zdradzi, a ja mu szatana podeślę, i ten mi się lepiej sprawi niż króle i wodze. Zwinie się Jagiełło ukaszony, zamęt mu u łożnicy, w namiocie, w obozie zgotuję, nie licząc tego, że nam donosić będą o każdym jęku królewskim.

Mistrz kilka kroków odstąpił milczący. Podskarbi śmiał się.

— Już od was nie proszę nic prócz kiwnięcia głową, możecie o niczym nie wiedzieć, od wszystkiego ręce umyć i brzydzić się nawet tym, byłem ja wiedział, że nie samowolnie postąpił.

— Pochwalam wielce gorliwość waszą, buduję się nią — odezwał się mistrz

— lecz, bracie mój, ten Zakon, który ocalić chcecie, plamę na białym płaszczu mieć będzie.

— Sprawimy mu płaszcze nowe — zawołał Merheim szydersko.

Wyciągnął ręce obie ku Ulrykowi, który się ku sypialni cofał i na progu stanął zamyślony.

— Byliście kiedy na łowach? — zapytał powoli.

— Jak to?

— Bywaliście na łowach? — ciągnął mistrz. — Trafia się często na nich, że niedźwiedź człeka weźmie pod siebie, nadbiegną strzelcy ratować, pali niezręczny obrońca lub puszcza pocisk i ubija człowieka miasto niedźwiedzia. Bracie mój, bodajecie owym kusznikiem nie byli.

— Gdybym nim był — chłodno rzekł podskarbi — nie strzelałbym, a na swe miejsce zręczniejszego posłał.

— Stoicie przy swoim? — spytał Ulryk.

— Z żelazną wolą.

— Macież owe narzędzia, których użyć chcecie, w gotowości?

Merheim pokorną przybrał postawę.

— Znajdą się — rzekł cicho.

— Jak to? i... niewiasta?

— Choćby i niewiasta — przełknął błyskając oczyma podskarbi.

— A pomocnicy?

— Ci już w miejscu, na dworze, przy królu; tych pewien jestem: płacę ich i trzymam cyrografami na uwięzi.

Zdumiał się mistrz Ulryk, ramiona mu się poruszyły.

— Jeszcze jedno powiedzieć wam muszę — rzeki cicho. — Jeśli się

powiedzie, wiedzieć nie chcę; jeśli się noga powinie, a rozgłosi, zaprę, przeklnę, ukarzę...

— Jak najsurowiej: więzieniem, sądem, śmiercią — dokończył Merheim. —

Ja inaczej tego nie rozumiem. — I skłonił głowę z pokorą wielką. — Zakon przede wszystkim, sława Zakonu, dobro jego, całość. W ogień zań pójdę, a jak widzicie i w błoto.

— W błoto! — machinalnie powtarzał Jungingen — aby rzeczono: ex lutho Marienburg. — I głowę spuścił na piersi.

Podskarbi skłonił się wpół zginając, chciał odejść już i cofał się w tył, schylony, ręce złożony na piersiach, gdy mistrz go odwołał raz jeszcze.

— Król w podróży? Gdzie i jak możecie znaleźć środki?

— To są moje tajemnice — uśmiechnął się Merheim — wasza rzecz

walczyć, moja kopać dołki pod ziemią. Nie chcieliście o niczym wiedzieć i lepiej żebyście nie wiedzieli. Zrzućcie brud wszelki na mnie, a zasługi na siebie weźmiecie.

Mistrz ruszył ramionami i zamilkł, lecz z twarzy widać mu było, że nie bardzo chętnie i jakby zmuszony przystawał.

— Miłość Wasza — rzekł Merheim po cichu, zbliżając się do niego —

mieliście dowody mojej miłości i poświęcenia dla Zakonu; uwierzycie, że teraz dla miłości jego; wszystko poświęcę. Walczyć w polu piękna i wielka rzecz, ale trzeba, by ktoś w domu i poza obozem posiłkował. Z nimi wojna nie jednym żelazem prowadzić się powinna, musimy chytrą przeciw przebiegłości ich postawić. To moja rzecz. Wy tym rąk sobie nie kalajcie...

Bił się w piersi nalegając a patrząc w oczy mistrzowi, jakby zezwolenia jego tylko czekał i dopraszał się.

— Dobrze — rzekł Ulryk zamyślony — czyńcie, co należy, co widzicie potrzebnym, zdaję na was i odpowiedzialność, i zasługę. Zwolnijcie mnie też od przykrew sprawy, którą także wam powierzyć potrzebuję. Doniesiono mi o szpiegu na zamku... kazałem go uwięzić i w Witoldiowym sklepie osadzić.

— Dobrzeście uczynili.

— Sumienie mnie gryzie, duchowny jest i na krzyż chciał przysięgać, że złych nie miał myśli.

— Znamy się na przysięgach! — podchwycił podskarbi.

— Zdaję indagację i los więźnia na was. Rozumiecie mnie!! Czyńcie z nim, co zechcecie. Nie powiem nic, gdy go uwolnicie, ani zaprzeczę, gdy go na czas wojny zamknąć każecie.

— W „Witoldzie” kazaliście go osadzić? — zapytał podskarbi. — Homar wielki dlań i za dobry loch dla starego łotra. Wezmę go jutro na męki, musi wyznać wszystko.

— Z mękami nie śpieszcie — przerwał Ulryk — człek mi się zda niebardzo winnym, choć i ja go sam, i drudzy na dworze Jagiełły pisarzem widzieli, czego się nie zapiera.

— Trzebaż lepszego dowodu, z czym tu i od kogo przyszedł? — zaśmiał się podskarbi. — Powiesić i rzecz skończona.

— Książd jest!

— Choćby i biskupem był! — gorąco odparł podskarbi.

Najniebezpieczniejsi to ludzie, którzy tę suknię noszą, co im bezkarność zapewnia.

Lecz bądźcie spokojni, że z niego dobędę, co potrzeba i jak należy się obejść.

— Po ludzku i jako zakonnik postąpcie — odezwał się Ulryk poważnie —

proszę was. Człowiek ten poruszył mnie śmiałą mową swoją. Nikczemni ludzie pełzają i modlą się, on gromił i nie dawał się złamać, szanuję go...

— A! — przerwał podskarbi — zuchwalstwo też niewinności nie dowodzi; zostawcie go mnie, dam

radę i znajdę środek dobycia z niego złym lub dobrym sposobem prawdy.

To mówiąc klaniał się pokornie Merheim, a mistrz ku sypialni dążył.

Lampka dogasała wieczorna przy klęczniku, gdy Ulryk wszedł, westchnął, rzucił

się przed obrazem na kolana, ręce złożył i, głowę na nich oparłszy, dumął czy modlił się, Bogu tylko było wiadomo...

Nazajutrz rano w kościele Panny Marii na jutrzenkę dzwoniło, a z braci zakonnej mało kto ciągnął do chóru, w którym kilku mnichów stanęło do godzin, gdy podskarbi, otulony płaszczem, klucznikowi kazał iść z sobą do „Witolda”.

Blady był, pogrążony w myślach i pozór przybrał dobrotliwego człowieka.

Klucznik wziął z sobą knechta, aby pierwsze drzwi z zawias poruszyć, i poszedł posłuszny. Gdy i te, i drugie się otwarły, a podskarbi krokiem cichym wszedł do sklepu rozpatrując się w ciemnościach, znalazł staruszka na modlitwie klęczącego. Wkrótce jednak powstał, ręką się opierając o ziemię, bo na nodze dobrze jeszcze oprzeć się nie mógł, i na wchodzącego nie patrząc prawie, usiadł na swym twardym łożu. Twarz jego zdradzała ból i wielkie znużenie po nocy spędzonej na łożu jak kamień twardym, bez garści nawet słomy pod głową.

Po chwilce podskarbi się zbliżył doń z politowaniem i współczuciem, ręce złożywszy i głowę chyląc na piersi, odezwał się głosem łagodnym:

— Cóż to za nieludzkie obejście! Nawet posłania żadnego nie przyniesiono!!

Ksiądz nie mówił nic.

— Jestem jednym z braci zakonnej... — dodał — szanuję wielce

duchownych. Przypadkiem dowiedziałem się, że Waszą Wielbność tu zamknięto, pewnie przez jakąś omyłkę. Wyprosiłem u klucznika pozwolenie widzenia się, może w czym pomocnym być potrafię.

To mówiąc przysiadł także na drewnianym siedzeniu.

— Dziękuję wam — odparł staruszek — będę czekał na los, jaki mi

zgotowano.

— Ale cóż za powód, że was tu zamknięto? — przerwał podskarbi. — Nasz wielki mistrz, mąż szlachetny, ale prędki i gorący jako żołnierz. Omyłka zapewne zaszła.

— Sądzę, że omyłka, bo mnie zamknięto jako szpiega, a tym nie byłem nigdy — odezwał się ksiądz skracając rozmowę.

— Ale cóż w takie czasy burzliwe zmusiło Waszą Wielbność tu przybywać, i to jeszcze od polskie]

granicy?

— Idę ze Śląska; celem moim ślub dokonać, który uczyniłem: pomodlić się u obrazu Marii i rodzinę od- szukać.

— Czasy są ciężkie! — westchnął podskarbi — wszyscy się podejrzanymi stają.

— Miałem i drugi cel, którego nie zapieram — dokończył ksiądz —

szukałem śladu, zagubionego od dawna, siostry, która przed laty za mąż poszedłszy, mówią, że się do Prus wyniosła. O tym nie wspominałem mistrzowi, bo to dla mnie był cel poboczny.

— A ta siostra? — badał Merheim.

— Właśnie o nią dopytać się chciałem. Z mężem swym, który Nosek się zwał, do Prus się wyniosła.

— A! Noskowa! — mruknął zakonnik uśmiechając się.

— Wiedzielibyście co o niej?

— Znają Noskową w Toruniu wszyscy, zna ją i mistrz — rzekł podskarbi —

to wam jednak niewiele pomoże. Brat za siostrę nie odpowiada, siostra bratu za porękę niewinności służyć nie może.

— Mianoż by istotnie mnie podejrzewać tak ciężko? — mówił stary.

— Cóż chcecie? Są to czasy takie, czasy, w których się własnych ludzi obawiamy, a cóż dopiero obcych?

Zamilkł nieco i wtrącił:

— A dawmożeście ze dworu Jagiełły uwolnieni?

— Lata upłynęły, jakem go nie widział — rzekł stary.

— Ale go znacie?

— Nie zapieram się.

— Nieprawda, że poganin i gadzina jest zła? — dodał Merheim.

Była chwila milczenia, uśmiechnął się stary.

— Król a pan chrześcijański jest — rzekł — pobożny, dobroczynny i

miłosierny. Nie wiercie baśniom. Zachował może pamięć pierwszej wiary i gusta jakie, ale w

Chrystusa wierzy i innego Boga nie zna.

— U nas mówią inaczej.

— Ani dziw i nieprzyjaciel jest, i wy z dala go tylko widzicie, albo raczej słyszycie o nim.

— To prawda — odparł podskarbi szydersko — i tak samo nie dziw, gdy my was nie znając bierzemy za szpiega.

— Nie mówię też nic, kapłańską się suknią składam.

— A cóż świadczy, że i ona nie jest wdziana dla niepoznaki tylko?

Obruszył się ksiądz.

— Któż by śmiał ją sobie przywłaszcząć! — zawołał — chyba by Boga w sercu nie miał?

— Są w świecie i tacy, co go nie mają — dołożył Merheim. — Dlatego, wielbny ojcze, na oczyszczenie was z tego coś by potrzeba więcej nad gołe sławo.

— Słowo kapłańskie, więcej nie mam nic — cicho szepnął stary.

Milczeli. Twarz Merheima powoli coraz surowszego nabierała wyrazu.

— Dawnoście tę siostrę widzieli? — zapytał.

— Tak dawno — uśmiechając się smutnie odezwał się stary — że ona mnie może nie poznać, a ja jej.

Podskarbi głową pokręcił.

— Dziwnie się źle rzeczy dla was składają — rzekł — żał mi bardzo. Rad bym wam pomógł, a nie mam sposobu. Lecz posłuchajcie, cóż by zresztą w tym tak złego było, gdybyście królowi waszemu usłużyć chcieli? do tego się przyznać można... a zarazem—usłużyć Królowi Niebieskiemu, który jest Panem nas wszystkich... tamtą służbę porzuciwszy...

Popatrzyli na siebie, staruszek zdawał się nie rozumieć wykrętnej mowy lub nie chcieć pojąć, czego od niego żądano.

— Nigdy nie kłamał — odezwał się po namyśle — i nigdy Chrystusowi, Panu naszemu służyć nie przestawałem. Królowi zaś Jagiełłę do niczegom się nie zdał, stary jestem, modlę się i rodziny szukam, aby ją przed śmiercią pożegnać.

Podskarbi się zawahał, wstał, powiódł ręką po czole, potem zatarł dłonie.

— Ojcze wielbny, bolałoby mnie bardzo, gdybym się od was nic w dobry sposób dowiedzieć nie mógł. Wielki mistrz człowiek sprawiedliwy, ale groźny i surowy, nuż cię na męki wydać każe? Wy

ich nie wytrzymacie.

— To pewna! — westchnął stary i zamilkł.

— Lepiej więc wyznać prawdę i Zakonowi służyć, który sługi swe po królewsku opłacać umie.

— Prawdę mówiłem i mówię ją, służby zaś moje chyba Bogu się przydadzą, ludziom one niewiele warte.

Przechadzał się ciągle podskarbi.

— Więc pani Noskowa siostra wasza? siostra? — spytał.

— Jeśli Barbara jej imię i ze Śląska ona rodem jest...

Gdzież mieszka? W Toruniu?

— W Toruniu i wiedzie się jej wcale szczęśliwie, ale do was, mój ojcze, wcale niepodobna, bo Zakonowi duszą oddana.

— Poświadczy więc za mną — rzekł ksiądz.

— A jak ona, co was lat tyle nie widziała, świadczyć może? Nie mogliście się odmienić od tego czasu? Wy nie wiecie, jak ją znajdziecie, ona też nie wie, czymście się wy stali.

— Ludzie się tak nie zmieniają.

— Gorzej księżycu! — zaśmiał się Merheim. — Nie macie innego środka, ojcze, trzeba albo wyznać wszystko, albo... bardzo mi was żal...

Wsparty na rękę, nie odpowiedział stary ani słowa; zdawał się modlić.

— Przebaczcie mi — mruknął podskarbi — prowadzić was muszę, gdzie mi kazano...

Stary poszukał kija opartego o ścianę, nałożył swą torebkę na plecy, czapeczkę na głowę, i stanął w gotowości do wyjścia. Ręce jego białe, wychudłe, drżały ze znużenia, oparte na kiju. Z ukosa zmierzył go okiem podskarbi i do drzwi kroczył.

Dwóch knechtów stało w korytarzu pomiędzy dwojgiem drzwi żelaznych do sklepu Witolda wiodących, z halabardami w rękę, z mieczykami u pasa, w płaszczkach z półkrzyżem.

Nie mówiąc nic do nich, spojrział tylko i ręką wskazał podskarbi przejście na lewo, którym sam poszedł przodem. Wychodzącego staruszka dwaj pachołkowie wzięli pomiędzy siebie. Zamiast wyniść z gmachu po schodach,

Merheim puścił się długim gankiem podziemnym, sklepionym,

gdzieś z lewej strony oświetlonym małymi okienkami kraciastymi. Kilka razy zwrócił się on i za nim idący w prawo i lewo, ciemnymi przejściami, aż doszli do drzwi okutych, od których żelazny drąg odwalony leżał przy murze. Zagłębione w grubej ścianie, miały zawieszony krzyż czarny na sobie.

Zbliżał się do nich podskarbi, gdy się otwarły i przed nimi ukazała się izba sklepiona, ogromna, na dwóch potężnych słupach wsparta, które ją na dwie części dzieliły.

Naprzeciw wniścia ogromny długi stół pokryty sukniem czarnym jak

katafalk wyglądał. Na nim stał krucyfiks wielki, a dokoła siedziało w sukniach zakonnych kilku ludzi. Jeden bez brody, duchowny, służył im za pisarza i książkę długą a wąską miał przed sobą.

W lewo, po dwóch schodach schodziło się w drugą część sali, niżej położoną i słupami oddzieloną, między którymi balasy stały czarne.

Ksiądz nie zwrócił nawet wejrzenia w tę stronę, patrząc na ów trybunał, który miał przed sobą, a byłby mógł strwożyć się w duszy, gdyby tam padło jego oko...

Za rozsuniętą zasłoną widać było poniżej ogień rozpalony na szerokim kominie, w którym cęgi i sztaby żelazne się piekły. Przy nich stało ludzi kilku z zakasanyimi rękawami, barczystych, silnych, dzikiej twarzy. Na ziemi leżały grube liny i sznury, dalej stało jakby łoże drewniane z dziwnie powprawianymi śrubami i siedzenie na kształt drewnianego konia. Od sklepienia zwisały liny z kółkami.

Sprzęt różny, niepodobien do opisanego, zalegał wszystkie kąty tej izby strasznej, zadymionej, ciemnej, wystawiającej jakby piekielną jakąś komorę.

Pachołkowie w istocie mieli twarze szatanów: niskie czoła, oczy wbite w głowę głęboko i uśmiechy stworzeń, które się cieszą, gdy męczyć mogą a naigrawać się.

Nie trzeba było patrzeć długo, ażeby w tych przygotowaniach domyślić się tortury, bez której żaden ówczesny nie obszedł się trybunał.

Podskarbi zasiadł na ławie z boku, jakby świadek obojętny. Główne miejsce zajmował człowiek stary, przygarbiony, w czapeczce na uszy naciśniętej, z ustami zapadłymi. Przyłożył rękę do oczu i nim się odezwał, długo wpatrywał się w starca.

Poprawił potem stojący krucyfiks i zwrócił go Chrystusowym obliczem do przybyłego, który stał na kiju oparty.

W tej chwili duchowny cichym i słodczym pełnym głosem poczynił badanie.

Stary odpowiadał spokojnie, ciągle na kiju sparty i nogę chorą wyciągając niekiedy.

Nazwisko, wiek, stan, powód podróży — opowiedział tak samo jak przed innymi. Cisza panowała w sali i oprócz jego głosu i pryskania ognia w komnacie a szelestu szat, gdy się ludzie poruszali, nic słyszeć nie było.

— Czego chcecie ode mnie? — odezwał się wreszcie. - Dlaczego

podejrzewacie kapłana i starca? Oto wizerunek Zbawiciela, na niego wam przysiąc mogę, że jestem niewinny. Niczym szpiegiem nie byłem, nikt mnie nie słał, z modlitwą szedłem tylko.

Sędziowie spoglądali po sobie.

— Na kim podejrzenie ciąży, iż źle czyni, ten i źle przysiąc może — odezwał

się stary sędzia. — Zaklinam was, mówcie prawdę, a nie zmuszajcie nas do tego, co was na ciebie, a nas na duszy boleć będzie.

Ręką wskazał na niższą salę. Kapłan zwrócił oczy na nią powoli, lecz nie zdawał się ulęknięty, wlepił je w ludzi i narzędzia meczami długo.

Pachołkowie ruszyli się nieco, żelazo jakby dla postrachu zatrzeszczało; starszy z nich wyjął sztabę rozpaloną z ognia i rzucił ją na kamienie, aż iskrami w koło sypnęło. Milczeli wszyscy.

— Mówcie — rzekł sędzia.

— Nic do powiedzenia na moją obronę nie mam.

Sędzia ręką skinął ku pachołkom i ruszyli się po schodkach ku górnej sali, jak gdyby zabierając się do staruszka przystąpić; on stał nieruchomy.

Podskarbi podniósł się z ławy.

— Proszę za nim — rzekł — dajcie mu czas do rozwagi i namysłu lepszego.

— Chyba do modlitwy i spowiedzi — dodał ksiądz.

Pachołkowie zatrzymali się na schodach.

Obwiniony zwrócił się do siedzącego duchownego, który pióro trzymał:

— O spowiedź proszę.

Ten głową potrząsnął. Sędziowie spoglądali po sobie, zdziwieni wielkim starca spokojem. Zdawał się modlić i myśleć tylko o duszy.

— Chwila wam dana upływa — przebąknął sędzia stary, ręką drżącą

wskazując klepsydrę stojącą na stole, z której piasek zsypywał się powoli.

Nie było odpowiedzi. Merheim przystąpił do księdza i żywo począł mu coś szeptać na ucho. Stary miał oczy w ziemię wlepione i nie odpowiadał już nic.

Czekano jeszcze. Jeden z siedzących przewrócił klepsydrę. Sędziowie zdawali się wahający i niepewni. Starszy z nich spoglądał na Merheima, który ramionami ruszając na swoje miejsce powracał.

— Raz ostatni, w imię Chrystusa, wzywam was do wyznania prawdy —  
odezwał się stary zza stołu.

— Jużem ją rzekł — obojętnie wyjąknął ksiądz.

Była jeszcze chwilka oczekiwania, po czym sędzia wskazał ręką zza stołu ku pachołkom. Ruszyli wszyscy z pośpiechem groźnym ku obwinionemu, który czekał

na nich nieporuszony. Pochwyconego za ręce, z których kij upadł mu na podłogę, wleczono ku schodkom. Nie opierał się wcale, nie obejrzał ku sądowym i nie prosił

o litość.

Ściągnięto go w dół i tu starszy począł z niego zdzierać suknię wierzchnią.

Pod nią ukazała się na ciele włosiennica i pasek kolczasty, który go w pół

obejmował cisnąc i tak już wycieńczonego wiekiem i znużeniem. Na widok tych dobrowolnych narzędzi meczami pachołkowie zatrzymali się; sędziowie szeptać zaczęli, jakaś obawa ich ogarnęła. Podskarbi żywo coś w ucho mówił sędziemu.

Wtem przez drzwi wchodowe wpadł prędko w zakonnej sukni chłopak, który wczoraj w szpitalu posługiwał podróżnemu. Cały zdawał się w ogniu i przejęty obawą; oczyma naprzód rzucił ku lewej stronie, gdzie księdza rozbierano, a upewniony, iż męka nie poczęła się jeszcze, rzucił się przed sędzią na kolana.

— Przychodzę na świadectwo — zawołał nagle. — Ja znam od dzieciństwa ojca Jana, jam patrzył nań i na jego życie... święty człowiek jest! Nie dopuszczajcie się na nim gwałtu... jedna kropla tej krwi niewinnej zaciąży na szali Bożej, ja się zań ofiaruję na próbę, na mękę, na przysięgę gotów.

Mówił, jakby na pół przytomny, z pośpiechem gorączkowym, wciąż się oglądając na księdza, to na trybunał, i drżąc ze strachu.

— Człowiek to Bogu i modlitwie oddany cały, jakżeby mógł myśleć o zdradzie, służyć mocarzom ziemskim!

— Przecie służył im! — zawołał podskarbi — sam to zeznał!

— I to, co zeznał, prawdą jest — mówił braciszek — ale niewinną, a co rzekł, to święte, bo nigdy w

życiu ust kłamstwem nie skalał.

Złożywszy ręce jak do modlitwy, braciszek klęczał.

Z dolnej sali starzec nań patrzył, jeszcze będąc w rękach katów, i łzy mu ciekły; podniósł nieco palce błogosławiąc z dala swojego obrońcę.

Z twarzy Merheima i zasiadających u trybunału widać było, że im niemal w niesmak i nie w czas przyszło to świadectwo. Naradzali się.

Skinął podskarbi na pachołków, ażeby księdza puścili. Jeden z nich podniósł z ziemi zrzuconą suknię, którą staruszek drząc wdziewał na powrót.

— Do jutra! — zawołał sędzia uroczyście. — Odprowadzić go do więzienia!

— Pozwolicie mi, abym z nim szedł? — rzekł braciszek.

Żądanie zdało się dziwnym. Nic nie odpowiadając, skinął podskarbi na braciszka, aby do drzwi się cofnął.

Wypuszczony z rąk oprawców ksiądz z trudnością się po schodach wdrapał

do górnej sali i przykląkł, aby podnieść kij na podłodze leżący. Dwaj knechci mieli go odprowadzać, gdy Merheim zbliżył się ku niemu. — Macie czas... Zakon miłościwy jest, jak na zakonników przystało... winniście mu wdzięczność.

Wzruszony starzec nie mógł, czy nie chciał odpowiedzieć nic. Wiedziono go już do drzwi, wtem podskarbi knechtów ręki skinieniem odprawił.

— Chodźcie ze mną — rzekł — nie do więzienia, lecz abyście spoczęli.

Chcemy wierzyć, żeście niewinni, a ufamy, że nam sprzyjać będziecie. Siostrę macie w Toruniu, pojedziecie do niej pod strażą. Czegóż więcej pragnąć możecie?

Ksiądz głowę uchylił.

W drzwiach stojącemu jeszcze braciszкови, obrońcy, oddał go podskarbi, poszeptawszy mu na ucho. Uradowany chłopak podał staremu rękę i z synowską czcią a miłością powoli z nim korytarzami wyszedł na światło dzienne.

Dziedzińce jak wczoraj pełne były, a może gwarniejsze jeszcze. Posiodłane konie czekały na zakonników i rycerzy odjeżdżających do Święcian, Tucholi, Balgi, Torunia i Elbląga. Tłum sług zwijał się koło nich. Wyprowadzano działa i z wozów zsypywano kule kamienne. Z kościoła słychać było śpiewy pobożne, dzwony były na wieżach, a słońce letnie w całym blasku oświetlało obraz ten ożywiony.

Około infirmerii wstrzymał się braciszek, aby dostać klucz od osobnej celi, do której miał zaprowadzić staruszka.

Weszli znowu w korytarze sklepione, a z nich do izby, z której się widok na szeroką, zieloną okolicę nad Nogatem otwierał. Cella była przestronna i opatrzona we wszystko, co pielgrzymowi potrzebne być mogło. Chłopak okno otworzył, biegnąc prędko, stołki poprzysuwał, dzban porwał, by wody przynieść, księdzę posadził i uśmiechając mu się radośnie wybiegł dla dalszej posługi. Stary dziękował mu ręką i wzrokiem; pomimo mocy duszy przybity był i znękany, mówić mu było ciężko. Osłabł też nic nie jedząc od wczoraj i pierwszą kroplą wody tu dopiero zwilżywszy usta. Zwrócił przez okno wzrok na wesoły kraj, na żyzne łąki, na dalekie osady... pomyślał może, co z nich uczyni wojna i pożoga, i oczy mu się łzami zwilżyły.

Po tej nocy niegościnnej nastąpiło przyjęcie inne, jakby dla zatarcia jej pamięci. Braciszek szpitalny śpieszył z polewką, niósł potrawy, znalazł kubek wina, aby starca posiłkiem odżywić. Na to do skromnego życia nawykłemu niewiele było potrzeba.

Jeszcze miski stały na stoliku przed nim, gdy wszedł podskarbi z twarzą weselszą.

— Ojczy mój — rzekł — do siostry chcieliście jechać do Torunia. Wóz dla was przygotowany, ja też tam jadę, wszystko więc po waszej woli. Nie miejcie do nas żalu, czasy są ciężkie, losy Zakonu zawisły od tych godzin, w których się waży przygotowania wojenne; my nie dla korzyści swej, ale w sprawie chrześcijaństwa pracujemy i troskamy się.

— Bóg dobrej sprawie pomoże — odparł stary — a wam politowanie wasze nad wiekiem i nieszczęściem zapłaci.

— Więc w drogę! — dodał podskarbi — ja na koń niebawem siadam, wy na wóz,

Nagła ta zmiana w usposobieniach z trudnością by się — wytłumaczyć dała, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który staruszka potrzebnym czynił dla Zakonu.

Merheim, już na pół odziany do podróży, zapukał do celi mistrza.

Wpuszczono go natychmiast. Ulryk właśnie odprawiał komtura grudziądzkiego, który na gród powracał, gdy podskarbi stanął na progu.

Po wyjściu jego zostali sami; mistrz posępnie spoglądał na uśmiechniętego Merheima.

— Jadę do Torunia — rzekł z pośpiechem podskarbi.

— Patronowie Zakonu czuwają nad nim, wszystko się składa jak

najpomyślniej, nawet to, co nam się groźnym zdawało. Stary ksiądz, co nam się podejrzanym wydał, gdy go na męki brać miano, znalazł świadka i obrońcę, niewinnym się być zdaje. Co dziwniej, jest bratem osoby — dodał Merheim —

którą mam na myśli podesłać ku królowi, aby mu słabą głowę zawróciła do reszty.

Książd mi się przyda, aby jej towarzyszył w podróży i od napaści ochronił. Nie zdradzi nas, bo o Bogu i niebie myśli, włosiennicę nosi i paskiem kolczastym się opina.. On też nic wiedzieć nie będzie. Niewiasta wybrana nie Jego siostrą, ale szatana być by mogła... Tym lepiej.

Śmiał się Merheim, mistrz zdawał się nie rozumieć nawet... ruszył

ramionami. — Wasze to sprawy, bracie — rzekł — pomnijcie tylko, że zbytnia przebiegłość często zawodzi.

— Gdy jej Bóg nie pobłogosławi — dodał podskarbi — a ja na jego pomoc rachuję.

— I ja też! — westchnął mistrz — a to jest najpewniejsza obrona i puklerz nasz! Gdybyście niewiast nie używali, stokroć by było lepszym — szepnął Ulryk.

— I trucizna lekarstwem stać się może — dokończył skłaniając głowę podskarbi.

— Amen — zamknął mistrz. — Jedźcie z Bogiem.

— Z Bogiem zostańcie.

Wkrótce potem orszak złożony z kilku zakonników towarzyszących

Merheimowi wyruszył z bramy malborakiego zamku, a wśród niego szedł wóz, na którym siedział staruszek odmawiając pacierze.

W początkach już XV wieku Toruń liczył się do najpiękniejszych miast w Prusach szczęśliwym i wdzięcznym położeniem swoim. Piętrzące się mury zamku jego, mnóstwo ceglanych domków czerwonych, co doń przylegały i otaczały go, okrywały piękny brzeg rzeki, już naówczas winnicami z Niemiec sprowadzonymi i ogrodami wesołymi zasadzonymi. Spomiędzy nich wyglądały dworki mieszczan, a sam gród warowny z wieżami kościołów przedstawiał się wspaniale. Stara ta polska osada pod panowaniem niemieckiego Zakonu przybrała wprawdzie fizjonomię niemiecką, lecz część jej ludności i mieszczaństwa nawet charakteru swego pierwotnego nie straciła. Na ówczesnym zamku, który do najważniejszych obronnych grodów się liczył, przebywali często i wielcy mistrzowie, i wielcy dostojnicy Zakonu. Tu się odbywały wojenne narady, tu skupiały siły ku obronie zagrożonej więcej od innych ziemi chełmińskiej. Handel też i rzemiosła kwitły, a niemieckich przybyszów ze wszech stron siła ciągnęło i osiadało. Lubili tu rycerze zakonni na zamku przebywać dla wczasu, bo choć poufalsze obcowanie z ludźmi, a zwłaszcza piękniejszą połową rodzaju ludzkiego, najostrożniej było regułą zakonną wzbronione, tak że rozmowa nawet z kobietą za występki liczyć się była powinna, już naówczas nie liczono się tak ściśle z dawną regułą zakonną, a po folwarkach i szpitalach krzyżackich pełno było tak zwanych pół-siostr zakonnych, w białych habitach z półkrzyżem (T) na ramieniu, których bytność była niezupełnie między pół-bracią i bracią usprawiedliwiona. Po miastach zaś nie pilnowano ściśle stosunków, zwłaszcza starszozyny, która czyniła, co chciała. Pozwalało sobie czasem duchowieństwo krzyżackie sarkać na skażone obyczaje, ale to się raczej stosowało do knechtów i służby niż do rycerzy, którzy tu byli panami, a księżom w ogóle mało swobody dawali i niewiele okazywali uszanowania.

Choć sami zakonnikami się zwali, Krzyżacy obchodzili się ze swym

duchowieństwem surowo. Księża skromne bardzo mieli stanowiska ojców duchownych, rzadko ich do narad przypuszczano, rzadziej do tajemnic i ważniejszych czynności Zakonu. Klasztorom zaś innej reguły wcale się pod panowaniem krzyżackim nie wiodło: podejrzliwie na nie patrzono. Zwłaszcza dóbr i posiadłości nabywać i przyjmować zapisy wcale było zakazane. Kilka domów dominikanów i franciszkanów, dosyć ubogich, naliczyć zaledwie było można w ziemiach podbitych; tuliły się one po miastach z pokorą.

Reguła zakonna, w początkach bardzo ścisła, w czasie wypraw i wojen ciągłych, przy napływie świeckich gości, zupełnie się była rozprzegła. Po domach czasu pokoju wydzwaniano do chóru, ale mało kto na modlitwy wspólne chodził, każdy się miał czymś złożyć, byle od obowiązku uchylić.

Przez szpary na to patrzono, gdy rycerz konia dobrze trzymał, rynsztunek miał w porządku, a na wyprawach zalecał się męstwem i przebiegłością. Przez szpary też i na ucieszających do domów panów mieszczan, choćby w wieczornych godzinach, patrzono. Trudno bo było z dobrego żołnierza mieć razem dobrego zakonnika.

Rynek miasta Torunia wyglądał już bardzo pocześnie, a przyczółki jego kamienic, z pięknej cegły foremnie powznoszone, jak kościółki gotyckie niemal wyglądały. Jedną z najprzedniejszych była naówczas kamienica zwana Pod Jeleniem, bo miała nade drzwiami, w futrynach, z szarego kamienia wyrzeźbioną dosyć nieforemnie głowę o dwóch rogach. Mieszkała w niej i handel swój prowadziła wdowa, pani Noskowa, kupcowa bogata z córką jedynaczką — obie niewiasty piękne i wzięte u ludzi, choć obcy różnie o nich mawiali.

Sama pani Barbara mogła mieć naówczas lat do czterdziestu, ale gdy w złocistym czółku naszywanym perłami, w bindach i manelach, w półszubku z popielic lub kun szła do kościoła, nikt by jej więcej nad trzydzieści nie dał, tak wyglądała świeżo i powabnie. Trochę otyłości nic jej nie wadziło, bo biała była jak alabaster, a rumiana jak róża, i z twarzy nawet świeży puszek młodości zdawał się jeszcze nie starty. Zębki jak perełki, nosek mały, trochę zadarty, włos złotawy, bujny, rączka pulchna, biała, czyniły ją dziwnie powabną dla męskiego oka. Gdy przez rynek szła, od najmłodszego do najstarszego wszyscy ją oczyma gonili. A choć była tylko kupcową i mieszczanką, nosiła się górami gdyby wielka pani, z głową podniesioną, wejrzeniem śmiałym i nie dała się lada komu zbić z tropu, bo i w głowie nieźle miała.

Nie śmiał nikt nawet się jej dopytywać, gdzie i za kim była i dlaczego się wdową zwała, choć tego męża nikt nie zapamiętał, ani mógł co o nim powiedzieć.

Zapewne i ten nieboszczyk musiał mieć u ludzi zachowanie, które żona wzięła w spadku, bo się wysokimi protekcjami cieszyła; poważali ją wszyscy, nikt zadrasnąć nie śmiał.

Raz przed laty dziesiątkiem gdy niejaki Szpot, sąsiad jej o mur, prowadził się był z panią Noskową, a poszła skarga aż do magistratu i prawa, musiał ją potem jak niepyszny przeproszać, ba go omal z miasta nie wyświęcono.

Znano też wdowę, że była bardzo majątna i na złocie siedziała, a co o jej dostatkach opowiadano,

wiarę niemal. przechodziło. Nie było domu

zamożniejszego i lepiej nad ten urzędzonego.

Choć sama pani Noskowa była jeszcze wcale piękną, a gdyby palcem tylko kiwnęła, swatałoby się do niej ludzi bez miary, kupców, burmistrzów i ławników, niczym wszakże była jej piękność przy córce, która dosyć naówczas pospolite, spieszzone imię Ofki nosiła. Podobna do pani matki jak dwie krople wody, przechodziła ją stukroć świeżością, urokiem i ptaszęcym weselem. Taż sama białosc płci i rumieniec, ten sam masek miała odrobinę zadarty, usteczka z koralami i zębki perłowe, ale jak laleczka z pudełka wyglądała wiosennie i jasno. Matka, choć wesołość lubiła, umiała powagę zachować; Ofka o tym nie myślała, żywa była, wietrzna, zepsuta pieściami i psotnicą ze zbytku.

Matka rady sobie z nią dać nie mogła, a że ją jedną miała i kochała mocno, nie bardzo, znać karciała i dziewczę na urwisa wyrosło. Wszystkie plotki miejskie ona pierwsza wiedziała, znała wszystkich i znali ją wszyscy; nie wahała się zaczepić nikogo, a ostrego jej języka obawiały się nawet kumoszki starsze i poważni ludzie. Wszystko jej przecie dla matczynych kufrów i dla jej piękności błyszczącej uchodziło bezkarnie.

Dziewczę na miejscu nigdy usiedzieć nie umiało i chwili. Jeśli nie stała w drzwiach, a nie było jej w sieni, pewnie wyglądała oknem, a gdyby je matka przed nią zamknęła, znalazłaby sposób choć na dach się wdrapać lub spoza muru ogrodowego na ludzi patrzeć i zaczepiać ich. Matka była może zbyt zrazu pobłażająca, ale potem nieraz z płaczem niemal mawiała, że już by ją i przykuwać darmo, boby się urwała i postawiła na swoim.

Płochę to było, wietrzne, śmiejące się, zalotne, śpiewające, ruchliwe a niezmiernie przebiegłe. Umiała daleko więcej niż pani matka, która jak inne kobiety naówczas nigdy się czytać nie uczyła, a choć i ona z papierem do czynienia nie miała nigdy, mówiła po niemiecku jak Niemka i to wszystkimi mowy, jakie się na krzyżackiej ziemi spotykało, mówiła po polsku, od niańki wyuczyła się po litewsku, a byli tacy, co utrzymywali, że gdy umyślnie po łacinie mówić zaczęli, aby się przed nią ukryć, ona i łacinę rozumiała.

W jej główce co raz posłyszała, to na wieki uwięzło. Bystrość też miała wielką w poznawaniu ludzi, tak że w oczy człowiekowi popatrzwszy wiedziała wnet, jak do niego mówić i jak się z nim obchodzić. W początkach się młodzież do bogatej Noskówny tłumnie zlatywała, przez matkę, przez znajomych stręczyli się jej nieustannie ludzie, ale dziecko kapryśne i zaufane w sobie, bawiło się każdym jak kot myszą, a w końcu każdego zębkiem lub pazurkiem drasnęło. Szli tedy precz gachy z uszami spuszczone, narzekając, a dziewczę się śmiało. Czysty to był

szatan z tej dziewczyny.

Gdy kto poważny w domu się zjawił, sędziwy człek, baron, ksiązę, o których nie było wówczas trudno, bo ich Niemcy w gościnę Krzyżakom dostarczały, Ofka umiała się ułożyć, że poznać ją było trudno: minkę nastroić, siedzieć spokojnie, mówić poważnie, śmiech w sobie wstrzymać, oczy spuszczać, tak że brano ją za trusię i niewiniątko.

Nic ją nie kosztowało w jednej godzinie czterokroć być i trzpiotem, i pobożną, i urwisem, i niewinną

dzieweczką.

Do domu pani Noskowej mnóstwo ludzi uczęszczało, już to z powodu

handlu, bo trzymała zamorskie towary, wina, przyprawy, cukier i co do kuchni a piwnicy było potrzeba — od niej też zapasy dla Malborka i innych domów czyniono — już dla jej gościnności wielkiej i stosunków z innymi krajami. A gdy kto chciał listy słać

albo nakazać lub pieniądze wyprawić, przez Noskową było najłatwiej i najbezpieczniej. Sam też wielki podskarbi Zakonu często jej pośrednictwa używał.

Wdowa się na piśmie i rachunkach nie rozumiała na pozór, ale pamięć miała osobliwą i rozum bystry. Ona sama kierowała wszystkim z pomocą jednego starego domownika, który się zwał Wolf, a był człek siwy, przygarbiony i dla głowy nagiej czapki ciepłej nigdy nie zrzucił, nawet w kościele. Oprócz kamienicy od rynku, mieli przypierające do niej składy wielkie, gdzie zawsze win, korzeni i wszelkiej zamorszczyzny pełno było, a beczki i baryły stały jak brogi. Tam szafran, co go gdzie indziej na szczypty ważono, kamieniami leżał na składzie.

A gdy przyjmowała u siebie Noskowa, to nie po mieszczańsku, ale niemal po książęcemu. Ptasiego tylko mleka brakło. Gdy zaprosiła gości, muzyka być musiała i najdowcipniejsi trefnisie z miasta a śmieszkowie i błazny, by kompanię zabawili.

Naówczas też obyczaj był taki i po dworach, że się ucztą, biesiada, przyjęcie, wesele bez błaznów obejść nie mogło. Błazeńskie rzemiosło tak dobre było jak drugie. Każde miasto swoich trefnisiów miało, zamawiano ich na zebrania, pojono, karmiono i bez zapłaty nie odeszli, a często i datków wyłudzili co od gości. Obiad bez trefnisia nie smakował i pełnym nie był, rychlej się bez pieczystego był

obszedł.

Wprawdzie pani Barbara nie wyprawiała często takich szmausów

kosztownych, ale gdy do tego przyszło, wiedzieli ludzie, co to u niej znaczyło.

Występowały wówczas srebra zamiast cyny, weneckie szkła i najprzedniejsze gliniane misy — szafranu, imbiru, goździków nie żałowano, tak że na ulicy je czuć było. Wino pijano grzane z cukrem i korzeniami, że się dusza radowała.

Nie dziw, że na taką wdowę, która za mąż nie idąc, radę sobie dawać umiała i bez pomocy niczyjej się obchodziła, pletli ludzie zazdrośni niestworzone baję; ona o nich albo nie wiedziała lub nie dbała o nie. Mówiono też o Ofce rozmaicie, ani ona, ani matka głowy tym sobie nie suszyły.

Raz tylko, gdy przyjaciel pana Szpota zbyt począł językiem szermować, nie wiadomo z czyjej naprawy czterech pacholków z kijami nocą w ulicy go napadło i na

kwaśne jabłko stłukło powtarzając: „Trzyma język za zębami, chceszli cały być”.

Tych, co bili, nikt nigdy potem wysledzić nie mógł, a razy na grzbiecie owego przyjaciela przepadły. Musiał je parę tygodni smarować, póki się wylizał, i milczał

odtąd ostrożny.

Gdy się zaczęło zbierać na wojnę, której końca zawsze trudno przewidzieć, ostrożna pani Noskowa wcześniej pono swe baryłki ze złotem i srebrem dała do lochu na zamku do przechowania, bo i u wielkiego podskarbiego Zakonu, i u komtura nowo osadzonego, pana Jana von Sayn, miała wielkie łaski.

Chociaż komturowie na zamku odmieniali się często, wszyscy z kolei w wielkim mieli szacunku panią Noskową. Inni też dostojnicy, przybywając do Torunia dla spraw Zakonu, gościli często w jej domu, i nie było w tym nic dziwnego, gdyż ona zapasy sprowadzała kuchenne i piwniczne, a przez nią też, chadzały pieniądze

za granicę i mnogie były z wielkim podskarbib rachunki.

Wkrótce po przyjeździe swym na zamek podskarbi Merheim, wozy

pozostawiwszy w murach, sam nad wieczorem udał się do kamienicy Pod Jeleniem. Niemiłą tę i niepiękną postać z dala zoczywszy Ofka, która swym zwyczajem we drzwiach czatowała na przechodniów, klasnąwszy w dłonie pobiegła do pani matki.

Rzuciła jej tylko słowa:

— Podskarbi się wlecze!!

Sama zaś pobiegła się przybrać co prędzej. Choć Krzyżak był stary i brzydki, i wstrętliwy, a zakonnik w dodatku, dziewczę nawet przed nim chciało wystąpić z całą swą krasą.

Matka zerwawszy się z krzesła też do zwierciadełka włosy przyczesać, krezki poprawić i łańcuch dobywszy z szufladki zarzuciła go sobie na szyję. Siadła potem w krześle z podnóżkiem i czekała nań w paradnej izbie. Mogła się ona paradną nazwać, gdyż rzeczywiście była wspaniale przybrana. Sklepienie malowane w gałęzie zielone, złożone grona i figury świętych, unosiło się nad izbą w kształtne łuki pogięte. Ściany okrywały opony wzorzyste, a gdzie ich nie było, stały szafy z drzewa

misternej roboty, na nich konwie i naczynia srebrne, pozłociste, cynowe i kamienne. Stół w pośrodku okryty był kobiercem smyrneńskim, skatulkami z bursztynu i hebanu i różnymi bawidełkami niewieściami, między którymi kołowrotek mały z różanego drzewa stał do zwijania jedwabiu lub dla przypomnienia, że pokój był niewieści. Od sklepienia spuszczał się pająk mosiężny, świecący, wyginany, cały we floresach i gałęziach. Gdzie było spojrzeć, coś pięknego i kosztownego znalazło oko

dla zabawy. Przez otwarte na pół drzwi widać też było sypialnię z łóżem z kotarami barwistymi, przy nim mosiężne misy do umywania i konewki, i kubki przedniej roboty.

Ledwie pani Noskowa siadła, pogładziwszy włosy i poprawiwszy łańcucha, gdy drzwi się otwarły i

podskarbi wszedł rozglądając się dokoła. Na powitanie jego powstała z uszanowaniem wdowa i na swoje siedzenie zaprosiwszy, sama na niższym stołku nie prędzej miejsce zabrała, aż on jej wskazał. Uśmiechała się wdzięcznie do obrzydłego zakonnika, który też to się uśmiechał do niej, to marszczył i zamyślał, jakby mu niełatwo do słowa przyjść było.

Oczy jego biegały tymczasem dokoła.

— Cóż nam Miłość Wasza przynosisz? — ozwała się wdzięcząc wdowa —

pokój, czy wojnę? Tu u nas ludzie co dzień mówią inaczej, a są tacy, co przysięgają, że król Jagiełło już z wojskami na granicy stoi.

— Nie trzeba ludzi straszyć ani popłochu siać, sławetna pani Barbaro —

odezwał się zakonnik — o królu, gdzie jest, nie wiemy, idzie ku nam, to pewna, wojna za pasem nieunikniona, lecz Zakon nie ma się czego lękać. Zakon potężny jest!

Noskowa w rączki uderzyła i głową z ramienia na ramię wahając milczała chwilę.

— Dla nas wojna — rzekła — straszne słowo, dla żołnierza wesołe, dla kupca groźne. Co my pocniemy?!

Nie odpowiadając wprost na to, podskarbi oczyma powiódł po komnacie, zajrzał do sypialni i antykamery.

— A gdzie Ofka? — spytał cicho, przymrużając oczy. — Nie ma jej tu? bo to ciekawa wiewiórka, gotowa się gdzie w kącie zaczać, a mamy z sobą, moja pani, różnych rzeczy do mówienia wiele, o czym niekoniecznie jej wiedzieć potrzeba.

Usłyszawszy to poszła pani Noskowa dosyć lekką stopą, mimo dobrej tuszy, obejrząc sama wszystkie kąty, za córkę bowiem ręczyć nie śmiała, a raczej mogła chyba ręczyć, że gdy się sposobność nadarzy, figła spłata, a gdy szept usłyszysz, podkradnie się i podsłucha.

— Nie, jeszcze jej nie ma — odezwała się uśmiechając i siadając naprzeciw podskarbiego — ale tylko co nie widać, pewnie włosy trefi!

— Korzystajmy z tego i mówmy, moja jejmość — rzekł schylając się

podskarbi. — Nie potrzebuję was pytać, czy sprzyjacie Zakonowi? Jesteśmy pewni, że jako siostra służycie mu wiernie i służyć będziecie dalej.

— Wszakem i przysięgą, i dobrodziejstwy związana! — zawołała

Noskowa.

— Dlatego z wami tajemnic nie mamy, ufamy wam i gdy trzeba, idziemy do was wprost, jako siostrze mówiąc: to uczynić potrzeba...

— Rozkazujcie, miłościwy panie, rozkazujcie, byle sił nie przeszło!

Spojrzała badawczo wdowa na straszego zakonnika, który wciąż się uśmiechał do niej żółtymi zębami i sinymi wargami.

Już miał rozpocząć dalszą mowę, gdy z drugich drzwi ukazała się Ofka wystrojona jak do kościoła na święto: włosy rozpuszczone, od których woń damasceńskiego olejku różanego się rozchodziła, z wianuszkiem zielonym na skroni, w rękach białych niosąc srebrną misę, a na niej owoce świeże i suszone, i wina flaszkę, i kubek.

Szła piękna podczaszyna wiedząc, że jej z tym do twarzy, przechylając główkę, usteczka składając, ręce wystawiając na okaz, całe w pierścieniach i manelach, nóżkę spod sukni ukazując obutą w niebieski trzewiczek ze sznurówką i chwastami złotymi. Suknia na niej jedwabna składała się, pasem podpięta, w fałdy świecące, a na szyjce przesuwwały się łańcuszki i korale, i bursztyny.

Potrząsała główką, jakby jej włosy zawadzały, lecz w istocie, ażeby szyjkę tę białą lepiej na podziw światu odsłonić. Korale, łańcuchy i bursztyny służyły tylko, aby kość słoniową tej toczzonej szyjki jaśniejszą czyniły.

Podskarbi zobaczywszy ją w niemym osłupieniu jakiś czas patrzył na dziewczę, oczu od niej oderwać nie mogąc. Przystąpiła do stołu, niziutki czyniąc pokłon; wyprostowała się i owe dary zakownikowi podała z uśmiechem. Matka tymczasem mały stoliczek wzięwszy ze strony sama go przed Merheima stawiała; na nim tacę umieściły bezpiecznie, aby Krzyżak sobie gospodarzył, jak chciał.

Wiedziano pewnie, iż łakocie lubił.

Zrazu jednak więcej się wpatrywał w Ofkę niż w owoce, i ręką sięgnąwszy machinalnie do flaszki, trzymał ją nieruszoną. Rozglądał się do zbytku ciekawie w tej świeżo rozkwitłej różyczce, która się czując na oku, z radości i dumy płonęła i uśmiechała się.

— Królewski kąsek! — szepnął niedosłyszonym głosem, a raczej zamruczał podskarbi.

Wtem matka jej coś na ucho szepnęła, Ofka skłoniła się jeszcze raz wdzięcznie i jak ptaszek uleciała.

Zakonnik siedział zadumany.

— Czego taka kobieta, gdyby rozum miała, dokazać nie może? — mrucał sam do siebie.

— Pani Barbaro! — odezwał się głośniejszym głosem — przyszła godzina wreszcie, że Zakonowi za opiekę wywdzięczycie się możecie... posłuchajcie mnie. Czasu wojny kobiety wiele mogą, bo na nie nikt nie patrzy...

Noskowa się zarumieniła.

— Słucham was — rzekła.

— Co uczynicie dla Zakonu — ciągnął podskarbi — to zaskarbicie sobie u Boga i u niego. Czasy są niezwykłe i do sposobów się trzeba niezwykłych uciekać.

Pochylił się zakonnik niemal do ucha pięknej wdówki, która z natężoną uwagą i błyszczącymi oczyma słuchała.

— Pani siostro! — rzekł zasłaniając się ręką — musimy do Polski słać listy ważne... Nie mamy ich komu powierzyć, mężczyźni plądrują i wieszają, trudno się nawet żebrakowi tam przebrać... Kobiety nam do tego potrzeba. Rozumiecie?

— I mnie chcecie z listami słać do Polski? — przerwała Noskowa, ręce mimo woli załamawszy.

— Nie ma się czym trwożyć — mówił Merheim — najprzód glejt mieć

będziecie, potem to, żeście niewiastą, dalej wasz wdzięk, nie pochlebiając, który ludzi rozbraja, potem zręczność waszą... w ostatku i... przewodnika dobrego, o którym wam powiem później.

Wdowa patrzyła mu w oczy z natężeniem.

— Czy ja temu podołam?

— Któż, jeśli nie wy? Słuchajcie mnie, bo o wielkie rzeczy chodzi. Z

chytrymi ludźmi chytrze poczynać potrzeba. Oręż orężem, a głowa więcej jeszcze od niego znaczy...

Nam wiedzieć trzeba o obrotach nieprzyjaciela, mieć kogoś swego tam..

Wasz wyjazd nikomu dziwnym się nie wyda: polskiego jesteście rodu, do swoich wracacie. Dlaczego teraz? — spyta kto. Ano, rzecz jasna! Losy wojny niepewne, nuż wtargnie Witoldowa dzicz pod Toruń, do Torunia... nie chcecie córki i siebie na łaskę tatarską oddawać, wolicie w Polsce przesiedzieć burzę spokojnie.

Uśmiechnął się.

— Nieprawdaż? Czy nie uwierzy tu każdy łatwo, że wy ową śliczną jagódkę chcecie w bezpiecznym miejscu mieć? Co dziwnego, że się tam przy jakim dworze przytulicie?

— Przy jakim-że dworze? — spytała ciekawie Noskowa.

— Przy książęcym, u Mazowieckich! pod opieką księżnej Aleksandry

Olgierdówny — dodał uśmiechając się podskarbi. — Wszak miejsce dobre? Tam o wszystkim wiedzieć będziecie, a stamtąd nam donosić.

— Siebie to ja nie żałuję — rzekła Noskowa — z Ofką bieda; o, z tym dziewczęciem i siedzieć trudno, i jechać niebezpiecznie. W oko to każdemu wpadnie, a samowolna, co jej do głowy przyjdzie, zrobić gotowa.

— Hm! hm! — mruknął podskarbi — ano, ją też użyć można, byle umieć!

Ona spod serca każdemu dobędzie tajemnicy, przed nią wyśpiewałby człek grzech śmiertelny.

Jedna taka Ofka na świecie. A rozumu jej nie brak.

— Gdyby tyle statku miała! — westchnęła matka — ale to ogień i siarka!

— Drugich ona spali — począł śmiejąc się podskarbi — a jej się nic nie stanie. Strachu o nią nie mam i wy mieć nie powinniście, raczej o tych, co się z nią spotkają.

Noskowa sparłszy się na dłoni, milcząc rozmyślała.

— Ciężka sprawa, ciężka!

— A cóż lekkiego, gdy wiele jest warte. Złoto ciężkie też, bo drogie.

Słuchajcie mnie dobrze. Listy są pilne, dla Zakonu ważne, nikomu ich nie powierzemy, ino wam.

— Dalekoż je wieźć?

— Na Mazowsze — dodał Merheim — do siostry Jagiełłowej, która nam od całej rodziny więcej sprzyja, choć nie zawsze wyjawić to może. Jej listy oddacie, a sami pozostaniecie na dworze.

To mówiąc wina sobie nalał w kubek i podnosząc go zawołał:

— Zdrowie wasze, pani Barbaro! zdrowie wasze i ślicznego kwiatka,

któryście wyhodowali, niech kwitnie na waszą pociechę. Zdrowie wasze, pani siostro!

Noskowa schyliła się nisko, trochę zmieszana. Znać było, że odmówić nie śmiała, a podróż jej nie bardzo szła w smak. Cóż miała czynić?

— Daj Boże tylko, aby się nam udało przerznąć szczęśliwie — rzekła — w taki czas wojenny, dwie baby same, gdzie żołnierstwa obcego stek a ludzi, co ni życia, ni czci nie poszanują...

— Nie będziecie sami! Zaraz o przewodniku, mężu duchownym... mówić będziemy, a na ochronę przecież dwudziestu zbrojnych pachołków przy glejcie, to aż nadto.

— Skądże ich wziąć? — zawołała Noskowa — teraz i o ludzi trudno.

— Znajdą się, znajdą! — mówił śmiejąc się Merheim. — Po zamkach u nas zbierze się takich niepozornych, a mądrych chłopaków łatwo, płaszczce pozrucają, kubraki szare włożą, z polska po

litewsku mówić będą, a na Krzyżakach psy wieszać. I cóż potem jejność winna, gdy oni, łajdaki, po jednemu uciekać do nas zaczną i przynosić od niej ciche słowo?

Począł się śmiać patrząc na Noskową.

— Wojna, moja siostrzo — mówił — ma swoje prawa, nam trzeba wiedzieć o wszystkim, nawet jak się król prześpi i czy mu się jego Perun nie przyśnił.

Tymczasem na dworze księżnej Aleksandry będzie siostrze jako w raju, za to wielki mistrz ręczy i ja... Któż wie, jakiemu kniaziątku Ofka w oko wpaść może?

Czemu nie? Nieprawdaż?

— A co mi po tym? Choćbym za nią faskę złota dała, to jej nie weźmie do ołtarza — zawołała Noskowa.

— E! z faską złota... siostrzo miła, biorą oni i nie takie różowe kwiatki jak ona. Przez Ofkę jejność wszystko wiedzieć możesz, co zechcesz, przez nią wnijsć choćby do króla. A, gdyby poganinowi zawróciła głowę!

— Tego ani sobie, ani jej nie życzę — rzekła Noskowa — paść na ludzką zazdrość i języki, Boże uchowaj!

— Wiecznie tam z nimi żyć nie będziecie, wojna się skończy, wróćcie do domu, a co było... w wodę!! Dla Zakonu wy tam potrzebni i wiele uczynić możecie, takich oczu czworo za dziesięcioro męskich stanie.

Noskowa wahać się jeszcze zdawała.

— Musi się tak stać, jak mówimy — kończył podskarbi żywo — wiozę wam rozkaz wielkiego mistrza, a nad bezpieczeństwem waszym czuwać będziemy, boście dla nas drogą. Listy ważne; jeśli posłowie króla Zygmunta nic nie uczynią, aby wojnę zwlec, nim nam posiłki nadejdą większe z Niemiec, może to wyrobić na bracie księżna Aleksandra. Ona niedaleko będzie drogi i obozu Jagiełły, dojedzie do niego lub on do niej. Będziecie króla pewnie widzieli.

— Nie ciekawam go oglądać — odezwała się Noskowa.

— Owszem, zobaczą go i opiszą nam przez posła każde słowo, każdy fałd na jego czole. Niechby stary i Ofkę zobaczył, ma holofernesowskie pasje, a z niej by-

łaby Judyta!

Podniósł ręce do góry, potem popatrzył na zmieszaną kupcową i z kubka sączył wino powoli.

— Cicho! — oglądając się zawołała Noskowa — a nuż dziewczyna to

posłyszysz, gotowa oszaleć. Jej tylko tego trzeba, żeby się głowa zawróciła. W niej gasić trzeba ciągle,

nie rozżarzać! nie chcecie nieszczęścia mego!

— Szczęścia chyba! — przerwał Merheim — całe by chrześcijaństwo za bohaterkę ją sławiło, gdyby od chytrego ocalała je wroga.

Noskowa oglądała się niespokojnie, palce trzymając na ustach. Zakonnik śmiał się.

— Nie miejcie obawy — rzekł — tymczasem o listy idzie i o wieści, pachółków my wam dobierzemy...

Rozmowa cała toczyła się po cichu, a niedaleko od na pół przymkniętych drzwi sypialni. Ani Noskowa, ani Merheim nie spostrzegli, że dziewczę, które podawszy wino i owoce ustąpiło, potem się, suknię unosząc, podkradło za drzwi przymknięte i podsłuchując, ale to, co podskarbi mówił głośniej nieco, łatwo jej było podsłuchać.

Noskowa i podskarbi milczeli, gdy szelest sukni dał się zza drzwi słyszeć i Ofka śmiejąc się a w ręce klaszcząc, nastraszywszy matkę, wpadła do izby.

Stała naprzeciw niej, z kolei na zakonnika patrząc i na nią.

— Pani matko! — zawołała — wszystkim słyszała! Wiem wszystko i serce mi skacze. Pojedziemy, matuniu, pojedziemy!

Noskowa strwożona i gniewna, z groźną twarzą odwróciła się do córki, dawała jej znaki, by milczała. Podskarbi śmiał się pełen radości.

— Otóż to mi niewiasta! to mi Judyt! — krzyknął — to mi wierna sługa Zakonu! Nie lęka się niczego, gotowa w ogień i w wodę. Bóg ci to zapłaci!

— A, ja? choć jutro na koń i w drogę! — odezwała się wesoło. — Matuś! w drogę! Ja dotąd nie byłam nigdzie, jak raz w Malborku u Matki Boskiej i w Tucholi! Ja się tu już duszę w tych murach, za którymi świata nie widać!

Pojedziemy wspaniale, po książęcemu, dwudziestu pachółków zbrojnych dokoła, po pańsku, i na dwór książęcy do sławnej księżnej, Jagiełłowej siostry. Za to warto wielkiemu mistrzowi nogi całować!

Podskoczyła, w ręce białe klaskając.

— Na koń! w drogę! Konia się nie boję, żołnierstwa nie lękam, a szeroki świat zobaczyć to rozkosz, matuniu! Książąt, królów, księżne, baronów, dwory, zamki...

Z ukosa spoglądała na podziwiałego ją Merheima, który za nią gonił oczyma.

— O listy — szepnęła — nie macie się co obawiać, założę je za sukienkę, a nożyk zawsze u pasa noszę; gdyby mnie kto śmiał tknąć, zabiję!

To mówiąc ręką uczyniła ruch, jak gdyby istotnie w serce kogo ugodzić miała.

— Na głowę moją! to królowa ta dziewczyna! to delicje! — krzyknął wstając podskarbi — ona wszystko od pół słowa rozumie, a niczego się nie lęka. Nie ma lepszego posła nad nią.

Noskowa z pewną dumą podniosła się zapomniawszy o niebezpieczeństwie, pochwyciła ją za głowę i pocałowała w czoło. Dziewczę całowało ją po rękach.

— Jedziemy, matusiu, jedziemy, a zobaczycie, że nas aniołowie poprowadzą bezpiecznie i koń w drodze nie utknie. Nikt nam nic uczynić nie będzie śmiał! Póki jesteśmy na ziemi Zakonu, tośmy Niemkinie, wyjedziemy za granicę do Polski —

Polki jesteśmy. Ja nawet umiem takie piękne polskie zawodzić pieśni, że się ich obsłuchać nie można.

Cała już nadzieją tej jazdy rozplamieniona Ofka, niewiele zważając na dostojnego podskarbiego, latała po izbie, we wszystkich zwierciadełkach przypatrując się sobie.

— Widzicie, siostrzo Barbaro — rzekł w końcu Merheim — że dziewczę się podróży wcale nie złąkło, a wy byście jej obawiać się mieli? Zatem rzeczy ułożmy wszystkie na razie, aby nic na jutro nie zostało. Dwudziestu pacholków wam przyślemy, za których ręczymy. Z tutejszych nie weźmiemy żadnego, aby się nie wydało, że zrzucili habity. Sprowadzimy ich z Balgi, Elbląga, Grudziądza, a zwiążemy mocną przysięgą. Wy woźników i kolebkę znajdziecie w domu. Trzeba też szat i ochędóstwa białogłowego wziąć pod dostatkiem, aby mieć czym na dworze książęcym wystąpić. Glejt i listy wam przywiozę, lecz o listach dusza żywa wiedzieć nie powinna, a doręczyć ich nie można nikomu innemu, krom księżnie samej, i tak, by świadków przy tym nie było. Podarki dla niej mistrz przyśle; one nigdy sprawy nie psują; z gołymi rękami nawet chłop do sądu nie chodzi.

Podskarbi nalał sobie nowy kubek i oglądał się, Ofka chciwie go słuchała.

— Dajcie no drugi kubek dla pani matki — rzekł — niech kropelkę choć z cukrem wypije, to jej ducha pokrzepi.

Wnet zakręciła się Ofka i przybiegła ze szklaneczką wenecką przezroczystą, po której bokach, jak nici, białe żyłki szkła się kręciły.

Podskarbi nalał trochę wina, jejmość ze stojącej miseczki cukru wzięła kawałek i z nim, zasłaniając się ręką, wina odrobinę wysączyła leniwie.

— Wszystko tedy dobrze — mówił Krzyżak — a jeszcześmy jednej rzeczy nie tknęli, zaraz o niej pocznę. Bądźcie tylko dobrej myśli, bo wam niespodzianą jedną a miłą nowinę przyniosę... zobaczycie.

Noskowa spojrzała jakoś zadumana i posepna, a Ofka, uprzedzając jej odpowiedź, ozwała się prędko:

— Niech Wasza Miłość nie zważa, że matusi tak zrazu smutno. Ona tak zawsze w początku na rozum

bierze, ale potem i sama będzie rada! Jak na wóz siądziemy a w pola wyjedziemy szerokie... w świat, rozraduje się jej dusza! Ona tego jeszcze nie widzi, a ja już mam wszystko przed oczyma. Lasy szumią, pola się złocą, obłoki białe ciągną skrzydlate, rzeki wrą... konie rżą... a my lecim coraz dalej, w świat! w świat!

Krzyżak słuchał rozradowany, matce się też oczy zaśmiały.

— Teraz — rzekł — niech Ofka idzie sposobić się do podróży, my jeszcze mamy pomówić dwa słowa.

— Których mnie słyszeć nie wolno? — śmiejąc się przerwało dziewczę. —

Niech Wasza Miłość będzie pewny, że ja się ich domyśle nie słysząc... więc idę.

Ukloniła się nisko i znikła.

— Jeszcze jedna sprawa — rzekł podskarbi — a tej nie wiem, jak tknąć.

Odwrócił się ku wdowie.

— Macie jaką rodzinę? Myśmy nigdy o żadnej nie słyszeli?

Zdziwiona mocno, ruszyła się wdowa z siedzenia.

— Rodzinę? — powtórzyła marszcząc czoło — rodzinę?

Jam o niej, ona o mnie zapomniała. Nie wiem, wymarli może; nigdy się nikt nie zgłosił, jam też nie mogła... Miałam jednego przyrodniego brata, z jednego ojca, a nie jednej matki, ten młodo pono z domu wyszedł i zakonnikiem, albo księdzem został.

— Niewątpliwa więc rzecz — rzekł podskarbi — iż go widzieć będziecie.

Noskowa poskoczyła przerażona niemal tą wiadomością.

— Skądżeby się u Boga wziął? tu? on? powiedzcie, proszę. Nie wiedziałam, że żyje i gdzie się obraca.

— Ja go wam przywiozłem — rzekł zakonnik — lecz posłuchajcie... Przybył

z Polski, podejrzewano go, iż wysłany został przez króla, u którego służywał. Zdaje się, człowiek świątobliwy. Jego weźmiecie za towarzysza podróży, bezpieczniej z nim będzie. Pomnijcie jednak, że i brat nawet o tajemnicach Zakonu wiedzieć nie ma, przestrzeżcie córkę, by milczała.

Kupcowa słuchała coraz więcej zdziwiona i niema prawie, tak ją ta

wiadomość wzruszyła.

— Gdzież jest? — spytała niespokojna.

— Tu, na zamku!

— Tu? brat? Któż mówił, że on jest bratem moim?

— On sam.

Noskowa zamilkła.

— Dziwne zrządzenie Boże.

— Tak, dziwne i dla Zakonu pomyślne. Dla bezpieczeństwa podróży waszej, jakby naumyślnie Bóg go zesłał. Jemu niech będą dzięki. Przyjmijcie starego jak brata, ale milczcie przed nim jak przed obcym, on o niczym wiedzieć nie ma, ani o listach, ani o poselstwie waszym. Ofce zamknijcie usta.

— Dziewczę ma rozum, dość dlań pół słowa, nie lękajcie się.

— Przyślę go tu, lecz czyńcie, jakbyście nawet nie wiedzieli o nim i nie mówili nic ze mną.

Podskarbi położył palce na ustach.

— Siostrą jego jesteście — dodał — ale i siostrą w Zakonie, a kto w naszą wszedł rodzinę, ten innej nie ma...

Noskowa skłoniła głowę. Niespokojna przeprowadziła do drzwi Merheima, który szepnąwszy jeszcze słów kilka, w ciemnych schodach kamienicy zniknął.

\* \* \*

Mrok już był w izbie i dwie sługi przyszły ze świecami zapalonymi.

Noskowa, wróciwszy od drzwi, padła na siedzenie i nieruchoma siedziała na nim podparwszy głowę na rękę. Cicho było dokoła, tylko oddalony głos Ofki, która jakąś śpiewkę na górze nuciała szturmując do kufrów i już sposobiąc się w drogę, dochodził przytłumiony uszu wdowy.

Wspomnienie tego nieznanego prawie brata wywoływało całe pasmo dawno grobową ziemią przysypanych pamiątek rodziny i domu. Siedziała pogrążona w nich, gdy w korytarzu szelest i kroki oznajmiły czyjeś przybycie.

Knecht zamkowy otworzył drzwi i wpuścił starca w wyszarzanej sukni, idącego o kiju. Ręka jego u wnijscia zaraz szukała kropielnicy, której naówczas w żadnym nie brakło domu; przeżegnał się. Oczy jego zdziwione po wspniałym toczyły się mieszkaniu, stąpał z obawą, czuł, że jego ubóstwo dziwnie na tle tych dostatków wydawać się musiało.

Noskowa zwolna wyszła ku niemu i patrzyła milcząca. Twarz starca

obudziła w niej dawno zatarte wspomnienie rysów ojcowskich. Wstrząsnęła się cała, jakby widmo ujrzawszy z grobu powstałe.

Ksiądz oparł się na swym kiju i zdawało się, że słowa wyrzec nie śmiał.

Wpatrzył się w twarz gospodyni.

— Barbaro! — rzekł stłumionym głosem — dzieckiem cię pamiętam... ty mnie nie możesz... brat Jan jestem z Zaboru. Pomnisz Zabór, dworek nasz... ojca?...

Głos mu osłabł. Noskowa, patrząc długo, coraz mocniej wzruszona,

zaryczała wielkim płaczem niewieścim i do nóg mu się rzuciła. Ksiądz na ramionach jej ręce drżące położył i całując w głowę płakał także.

Na tę scenę niemą, śpiewając weszła, a raczej wbiegła Ofka i ujrzawszy matkę klęczącą przy nieznanym starcu, stanęła jak skamieniała. Nie mogła pojąć ani co się stało, ani kto był ten człowiek, który Zakonu sukni nie miał na sobie, a jak żebrak wyglądał.

Wtem matka przeczuła ją raczej niż zobaczyła i zawołała:

— Ofka! stryj twój! brat mój! klęknij, niech cię pobłogosławi.

Staruszek się odwrócił nieco, a ujrzawszy dziewczę śmiejące się jeszcze weselem, które nie miało czasu zejść z jej twarzy, uśmiechnął się do niego dobrotliwie i łagodnie.

— Bóg Abrahamów i Jakubów niech wam błogosławi i będzie z wami na

wieki wieków. Amen.

Urok głosu odbił się w sercu płochego dziewczęcia; z rozrzewnieniem przypadło rękę starca całować.

— Chodźcie, chodźcie — odezwała się podnosząc Noskowa i biorąc pod rękę księdza Jana — pewnie spoczynku potrzebujecie, widać to po waszej twarzy.

Uśmiechnął się staruszek.

— Piechotą do Malborka, do Matki Boskiej idę z naszego Śląska... o jałmużnie — zaczął mówić usiadłszy. — Aż do progów kościoła anioł mnie stróż prowadził. Przyjmowano po klasztorach, noclegowałem po plebaniach, ludzie karmili dobrzy, jałmużnę miałem nieproszoną. Takem się dowlókł aż do wrót. Tu mnie nieszczęście spotkało. Koń nogę mi zdusił, alem był gościnnie przyjęty...

— A, w Malborku — zawołała Noskowa — pielgrzymom tylko spoczywać a używać.

Staruszek nie zaprzeczył.

— Dobrzy byli, miłosierni — mówił dalej — póki zły duch im nie

podszeptał, że z Polski szpiegiem być mogę.

Wdowa pobladła.

— Gdyby nie miłosierdzie Boże, byłbym wydany na męki.

Ofka krzyknęła z oburzenia i strachu.

— Czas wojny straszna na ludzi godzina — ciągnął staruszek spokojnie —

oni niewinni, ja raczej, żem listu i świadectw nie miał... jak gdyby czasu pokoju.

Bóg jednak chciał obronić sługę swego, znalazł się w szpitalu chłopak, co poświadczył za mną; odwołałem się i na was, siostró kochana. Przysłano mnie tu i dzięki im winienem tylko, że was widzieć mogę a pobłogosławić.

Opowiadanie księdza oniemiało kobiety.

— Wszystko to jak sen przed oczyma — poczęła mówić Noskowa. — Jakież to szczęście dla mnie!

Staruszek z obawą spoglądał po mieszkaniu bogatym, a oczy jego padły potem na wyszarzaną suknię własną.

— Widzę, że Bóg wam w dobrach ziemskich szczęścił — rzekł powoli —

jam się nie dobijał o nie. A mąż wasz?

— Owdowiałam już od dawna — cicho odezwała się kobieta — sierotą

zostałam z tym- dzieckiem, ale Bóg się opiekował nami.

Tak rozpoczęła się rozmowa, której Ofka, ciekawa wszystkiego,

przysłuchiwała się zmarszczywszy czoło.

Starzec ten, tak ubogi i wynędzniały, pociągał ją jak zagadka, której nie mogła zrozumieć.

Wpatrywała się i wsłuchiwała w niego z podziwem i niepokojem. Płochę stworzenie czuło się pierwszy raz w życiu pokonane, onieśmiałe jakąś siłą, której nie pojmowało. Chciała odejść i nie mogła. A gdy staruszek począł z cicha opowiadać o sobie, o życiu swym, usiadła w nogach jego, by słowa nie stracić.

Tak zszedł wieczór. Przygotowano izbę wygodną po skromnej wieczerzy, bo innej przyjąć nie chciał; obie kobiety zaprowadziły go do gościnnej. Ksiądz Jan prosił o łożo twarde, o pokrycie proste i nic więcej. Musiano zrzucić poślanie i zsunąć kotarę.

Ofka sama posługiwała milcząca, a matka wydziwić się nie mogła jej posłuszeństwu i skromności. Gdy kobiety wysuwały się z izdebki, ksiądz Jan na twardą podłogę klęknął do modlitwy.

— Matus! — szepnęła Ofka na ucho wdowie — mnie się tak zdaje, jakby św. Franciszek przyszedł do nas w gościnę. Ja mu nie dowierzam, on gotów w nocy do nieba ulecieć! To człowiek święty, ale ja się go boję. Zimno mi, gdy nań patrzę; zdaje mi się, że czyta w mej duszy i wie wszystkie grzeszne myśli moje.

Trwały jeszcze pozorne rokowania około pokoju z Krzyżakami, Jagiełło ociągał się z rzuceniem ostatnich kości, trwożąc się nie tyle potęgą Zakonu, jak intrygami jego i opieką króla Zygmunta, a zapowiedzią wojny od węgierskich granic. Wprawdzie Zygmunt mówił cicho, że wojnę wypowie, ale jej nie rozpocznie, a mimo to usiłował Witolda odciągnąć na swą stronę i oderwać od przymierza z Jagiełłą. Możnaż było wierzyć tak dwoistej polityce?

Nikt nie wątpił, że wojna, a wojna krwawa i stanowcza, wybuchnąć musi.

W całym kraju przysposabiano się do niej i ściągano pod chorągwie.

Rycerstwo całe albo na koń już siadło lub gotowało się wyruszyć z domów.

Mnóstwo nawet tych, którzy poza granicami szczęścia, albo nauki rycerskiej szukali, i ci, którym się tam dobrze miało, rzucali przy dworach urzędy, nadane majątki, a z ludem do domu śpieszyli.

Wszędzie czuć było i widać nadchodzącą wojnę. Gościńcami i szlakami, drożynami leśnymi ciągnęli rycerze i zaciężne pułki, roty i poczty, wozy za sobą ciągnąc, ciurów i gawieź niezbędną. Po rzekach opatrywano brody, gotowano mosty, a po puszczech, kędy dróg nie bywało tylko ścieżyny kręte a ciasne, spędzone gromady w pień stare waliły drzewa i zasiekami spychały je na boki, czyniąc nowe dla wojsk królewskich gościńce.

Wszędzie ruszał się lud, gromadziła wrzawliwie szlachta, a przed chatami i dworami stały smutne, z założonymi rękami niewiasty lub tuliły dzieci myśląc, co wojna przyniesie, patrząc czy lasy, schronienie ostatnie, daleko.

Gdzieniedzie z rozpoczętymi żniwami śpieszył lud rankami i nocami księżycowymi, aby się prędzej ze zbożem do brogów uprzątnąć; bo gdzie żołnierz i koń głodny nadszedł, a chorągiew popasem lub noclegiem stanęła, już potem nie było czego szukać w polu. Kręcili się posłowie i kursorzy na zwiady wysyłani za językiem na rubieże, a po grodach nad granicą u Krzyżaków pilność była wielka, bo szpiegów co chwila łapano. I nie nowiną było w polu na dębie zobaczyć wiszącego człowieka lub świeżą na rozdrożu gałęźmi nakrytą mogiłę.

Z puszczy królewskich ogromne zapasy solonego mięsa, łosiny, dziczyzny, rogaczów nabitych wcześniej puszczano z wodą, aby wojsku żywności dostarczyć; wozy też długimi sznurami ciągnęły zapasy wojenne, wlokąc je do obozowisk królewskich.

Nad granicami zwłaszcza niepokój był najwidoczniejszy — tu się wszystko gromadziło i spływało: jedni, by wtargnąć, gdy godzina uderzy, drudzy, by do odwetu nie dopuścić, bo nieprzyjaciół ogniem

za ogień, a mieczem za miecz płacił.

Tu każdy zameczek musiano opatrzyć i uzbroić, aby na przypadek i z małą garścią wielkim, męstwem mógł się obronić.

Z miasteczek i wsi ludność na wozach ściągła mienie swe do grodków, cisnęła się pod mury i za mury, wioski zostawiając na łaskę Bożą, a nie spodziewając się chat swych zobaczyć, bo nieprzyjaciel szedł ogniem, szedł

mieczem, a gdzie żelaza nie miał na kim stępić, głównie podrzucał. Kędy przeszedł, nie zostawało nic, tylko ziemia czarna i zgliszcza siwe.

Po wszystkich kościołach nakazane były modlitwy, duchowieństwo, ducha zagrzewając, przemawiało, niewiasty łamały dłonie, rycerstwo błogosławiono na wojnę. Dzieci patrzyły z dala i śmiały się zbrojom błyszczącym.

Choć wojna przeciw niemieckim rycerzom nie była nowością dla Polski, zawsze ten krzyż czarny na mniszym a rycerskim płaszczu jakąś trwogę obudzał, aby, walcząc przeciwko zakonnikom, z krzyżem Chrystusowym się nie wojowało.

Miał też zakon niemiecki w sąsiednich krajach przyjaciół mnogich i półbraci i współbraci jawnych i tajemnych, którzy siali jak mogli wątpliwości, a potęgą Zakonu

straszyli i Bożą pomstą za rycerzy Marii.

Mówiono, że na hasło z całej Europy ściągnie tam rycerstwo co

najdzielniejsze, a Polska mu jedna ze swoim nie sprostą. Rzym i cesarstwo było z Zakonem i za Zakonem. Chciwe łupieży rittery z całych Niemiec wychylali się ze swych burgów stojących na czatach nad gościńcami, śpiesząc na zawołanie wielkiego mistrza, a spodziewając się obfitej zdobyczy.

Nie łudzono ich ani odpustami, ani świętością wojny krzyżowej, ale daleko ponętniejszymi honory i obietnicami łupów. Zakonu los obchodził Niemcy całe, bo nie było kątką w Germanii, który by tam kogoś ze swoich nie wysłał: brata, stryja, krewniaka. Najsłynniejsze imiona na spisach Zakonu świeciły; Lichtensteinowie, Zollerny, Saynowie, Hatzfeldowie, Salzbachy, piastowali najwyższe w Zakonie dostojęstwa. Ziemie, które Zakon trzymał, były kolonią niemiecką i zdobyczą dla przyszłych osadników, darem cesarskim i papieskim. Ci, co swojej własności bronili, wydawali się napastnikami, a napastnicy pokrzywdzonymi.

Wieściami o bałwochwalstwie pogan litewskich, żmudzkich, ba, polskich, karmiono Europę, która naówczas tyle wiedziała o tych krajach co dzisiaj. Jagiełłę wszędzie malowano jako poganina, a Witolda nie odróżniano od Tatarów, których zaciągi miał pod sobą.

Zakon zwlekał walkę stanowczą i może by ją odłożył do innej chwili, bo czuł, że ona o losach jego przyszłych rozstrzygać może; lecz niemniejsza obawa panowała w Jagiełły obozie, bo i tu przegrana nieobrachowane za sobą ciągnęła skutki.

Nemiecki świat, mieczem pracy ku wschodowi, miał się zetrzeć z

obrońcami ziem słowiańskich od napływu germańskiego plemienia; wojna rozstrzygnąć miała, czy zaborcze hufce, poprzebierane za mnichów, zagarną ziemię aż do Herodotowych białych ciemności.

Świeżo ochrzczony poganin lękał się, by mu nie zadano, iż walczy przeciw chrześcijaństwu. Dlatego może, i dla przejednania Boga, którego mniemane sługi miał wojować, Jagiełło po drodze nabożnym był jak zawsze, albo nabożniejszym jeszcze.

Jechał król z Nowego Korczyna z dworem na Stopnicę do Słupi, jak na wojnę przystało z niezbyt gromadnym, przecież królewskiemu dostojeniu odpowiednim orszakiem. W Koronie już on naówczas nie królował, zdawszy namiestnictwo swej władzy księdzu Mikołajowi z Kurowa, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, sam zostawszy wodzem a żołnierzem tylko... Przeto i dwór bez mała składał się z samych ludzi rycerskich, z wyjątkiem panów pisarzy, kapelanów i duchownych, których do nabożeństwa, pism i listów potrzebowano, bo król sam, jak wiadomo, czytać ni pisać nie umiał. I służyło mu to dobrze, bo gdy mu co zarzucano, tłumaczył się skromnie, iż tyle tylko wie o sprawach, co mu ludzie powiedzą, choć wiedział o wszystkim lepiej od wszystkich.

W Słupi, u stóp góry dwór na noc stanawszy rozłożył się po miasteczku i poza nim obozem, bo orszak królewski i chorągwie ciągnące z nim pomieścić się w domach nie mogły.

Wiedziano już w otoczeniu pańskim, że nazajutrz pieszo pójdzie Jagiełło na Łysą Górę, jak ślubował, i tam dzień na modlitwie spędzi. A nie dawniej jak czterdzieści lat temu też sama Litwa jeszcze klasztor i kościół ten splądrowała!

Dziś przychodziła się modlić. Wysłano do mnichów, by z nabożeństwem byli gotowi.

Nazajutrz, że dzień obiecywał się upalny bardzo, O brzasku ruszyło się wszystko, co królowi towarzyszyć miało, a oprócz czeladzi przy obozie nikt nie został. Szli za panem wszyscy na Łysą Górę. A był to widok uroczysty owego długiego orszaku duchownych i rycerzy, żołnierstwa i czeladzi, ciągnących pieszo za kapłanem, który drogę wskazywał czytając modlitwy i zawodząc ze śpiewakami pieśni nabożne. Kto Jagiełły nie widział wprzódy i nie znał, nie byłby go pewnie za króla wziął zobaczywszy skromnie idącego wśród daleko strojniejszych panów, co mu towarzyszyli.

Jagiełło, naówczas już niemłody, nie miał rysów twarzy ani postawy majestatem uderzającej. Znać w nim było wszakże puszcza litewskich wychowańca, nawykłego do obozowania pod gołym niebem, spoczywania w niepogodę pod dębami a spędzania całych miesięcy w lesie, nie zajrzawszy pod dach i nie skosztowawszy miękkiego łoża. Mąż to był wzrostu średniego, tuszy niewielkiej, smukły i dość zręczny. Głowę miał małą, podłużną, nieco już łysą, osadzoną na szyi długiej i żyłastej; twarz płci ciemnej uderzała najwięcej dwojgiem oczu czarnych, małych, żywych, niespokojnych i biegających. Zdawały się one badać każdego i chcieć pochwycić wszystko. Z ust trudno było coś wyczytać, oprócz łagodności i dobroduszości, która łatwo się mogła w gniew gwałtowny a krótki zamienić. Naówczas zacinały się usta, oczy błyszczały, żyły wzdymały na skroniach i król strasznym się stawał.

Takim bywał najczęściej na łowach i w gromadce dworskiej, a gdy do ludzi występował, hamował

się i sypał chętną dłonią złoto, byle pokój okupić.

Na ten dzień uroczysty król, który zimą w kozuchu prostym chadzał, a na posłuchania płaszcz brał szary, odział się swoją zwykłą szarą aksamitną suknią dostatnią, spod której jedwabny taftowy żupanik widać było, z pasem szerokim czarnym, obramowanym, jedwabnicą brunatną ujętym. Na nogach miał czechczery sukienne ciemne, a w ręku czapeczkę szytą złotem. Za nim na obronę od słońca Nowek, sługa pański, niósł zapaśny kapelusz słomiany, jedwabiem podszyty, aby król włożył, gdy zechce. Za nim długim szeregiem szli rycerze i panowie, dowódcy, marszałkowie, podskarbiowie, krajczowie i wielka siła dworzan, sług, urzędników, pacholąt, czeladzi.

Z obu stron drogi stał tłum pospolity, mieszczaństwo ze Słupi, włościanie ze wsi okolicznych, żebracy ze świata całego, z wyciągniętymi rękami. Królowi do kalety podawał garściami grosze podskarbi, a on ręką własną jałmużnę dzielił

cisnącemu się ubóstwu. Cała góra roiła się ludem.

Na pół rycersko, pół księzo wyglądał dwór pański, bo w nim kleryków i duchownych dość było. Szlachta na ten dzień prawie cała zbroje ciężkie złożyła, przy szablach i mieczykach idąc, z czapkami zamiast hełmów w ręku, aby ramionom i głowom dać spocząć nieco. A szli wszyscy w porządku wielkim z procesją, bo ksiądz przodem niósł krzyż srebrny i odziany był w komżę, a stułę.

Na kilkoro staj od kościoła wyszło duchowieństwo całe przeciwko królowi i we dzwony uderzono. Niesiono chorągwie kościelne i relikwię ową, której Litwa uwieźć nie mogła. Tę spotkawszy, król przyklękawszy ucałował i ciągnęły tłumy wprost do kościoła. Do zachodu słońca klęczał potem na wezglowiu modląc się i ciągle rozdając jałmużnę, a gmach ledwie mogący pomieścić dwór pański, stał

oblężony ludem do mroku.

Dwór też, naśladując pana a skarbiąc sobie łaskę i błogosławieństwo Boże, o głodzie przetrwał dzień, późnym dopiero wieczorem podążywszy do miasteczka, aby się przed snem posilić. Czekwały stoły niewykwintnie zastawne z mięsiwem, rybami i warzywem a plackami. Król oprócz wody innego nie używał napoju, dla rycerstwa stały kadzie i konwie z piwem; miód się ledwie gdzie pokazał. Noże i łyżki mieli wszyscy przy sobie i z jednej misy jedli. Mięsiwo i ryba z lada jaką przyprawą starczyły na zabicie głodu. Po czym jak kto stał, legł gdzie mógł, nie szukając innego posłania nad wojłok, siodło i siano. Nie opodal konie rżały, co było najmilszą dla żołnierza muzyką. Nie wszyscy namioty mieli i nie każdy rozbijać je kazał.

Na niebie gwiazdy się posiały, gdy król z izby wyszedł, w której siedzieć nie lubił, i na podsieniu na ławie przypadł, rozpatrując się po okolicy.

Wtem Zbyszek z Oleśnicy, jeden z pisarzy królewskich, wielce przez niego lubiany, nadbiegł z pokłonem i uśmiechem na twarzy, który się u niego rzadko widzieć dawał, bo mimo wieku młodego surowości był i powagi wielkiej. Król nań grubym swym głosem zawołał pytając, co by za wesołą nowinę niósł i czego się tak śpieszył?

W istocie Zbyszek miał co zwiastować, dowiedział się bowiem pierwszy, iż panowie, którzy służbę króla rzymskiego i węgierskiego porzucili, aby do swojego pana powrócić, nocowali niedaleko i nazajutrz się Jagiełłę do boku stawić mieli.

Między nimi byli: Zawisza Czarny z bratem Farnrejem, Sulimczycy, Kalski Różyc, Wojciech Malski Nałęcz, Puchała Wieniawczyk, Janusz z Brzozogłów i wielu innych. Wiedziano już, że ich król Zygmunt zatrzymać pragnął i łaskami łudził, i groźbami straszył; przecież nie złamał ani zniecił, bo porzuciwszy dobra i skarby, precz poszli przebojem do swoich, zasłyszawszy o gotującej się wojnie.

Rozradowała się twarz pańska i uśmiechnęła, a miał to za wyraźny znak łaski Bożej i owoc modlitwy, że mu teraz o nich znać dano.

Inny z dworzan oznajmił też, że księżna Aleksandra, siostra Jagiełły, wielce mu ulubiona, drogę chce zabiec, aby go widzieć i mieć z nim rozmowę.

Spodziewał się też książąt mazowieckich obu, Janusza i Siemiszki (Ziemowita), którzy z ludźmi nadciągnąć obiecywali ku Kozienicom pod Czerwieńsk, gdzie dla wojsk cieśle i budowniczowie niewidziany most na łyżwach budowali, któremu, kto go nie widział, wierzyć nie chciał.

Późną godziną król, na rozmowie spędziwszy czas, szedł do przygotowanej łożnicy, gdzie nań słudzy: Borowiec, Czochal, Jurad i Nowek dla ściągnięcia szat czekali.

Izbę dla króla w domu burmistrza obrano wprawdzie najlepszą, przecie mało co od tych, jakie po wieśniaczych bywają dworach, pokąźniejszą. Podłogę wysypano tatarakiem, łoże świeżym sianem i skórą łosimi usłano. Tu miednice mosiężne i konwie do umywania stały, dalej leżały szaty i kożuch, co go nigdy nie odstępował, i drobny sprzęt podróżny. Para świec woskowych w lichtarzach srebrnych, ciężkich, nieco izbę oświetlała. W progu legła czeladź na straży, a w sieniach pacholęta i słudzy.

Nazajutrz król, choć się obudził do dnia, bo w miasteczku wrzawa była od rycerstwa, które przychodziło i odjeżdżało, wywczasowywał się, poufalszych tylko przypuszczając do siebie wedle zwyczaju, gdy Dobek znowu panów z Węgier zwiastował, że już się zbliżają, a oprócz nich posłów księcia słuńskiego, szczecińskiego i meklemburskiego.

Książęta ci na pół, jeśli nie całkiem już zniemczeni, niechętnie tu byli widziani. Miano ich w podejrzeniu, że nie posłów ślą, ale szpiegów, którzy by o siłach donieśli, choć się z pomocą i posiłkami ofiarowali.

Słońce się jeszcze nie było dobrze podniosło, gdy wesołe okrzyki oznajmiły o przybywających: Zawiszach, Malskim, Puchale, Brzozogłowie i innych. Wszedł

król sam na ich spotkanie. Orszak też był, na którym mile oko spocząć mogło i dusza mu się radowała.

Jechali z pocztami świetnymi, wszyscy w zbrojach jasnych i pozłocistych, przepasywani wstęgami krasnymi, na koniach silnych, w rynsztunku pełnym, z mieczami kowanymi srebrem i złotem.

Gdy zatoczyli przed Jagiełłą, co było rycerstwa i dworu wybiegło się im przypatrywać. Zsiedli wszyscy z koni i z Zawiszą na przedzie przyszli się do kolan pańskich pokłonić, których Jagiełło z niewymowną radością przyjmował, gości karmić i pić rozkazując. A jako był do datku ochoczy, gdyby był tyle zamków podoręczu miał, ilu go rycerzy witało, dalby pewnie każdemu po jednym.

Wnet za nimi, ale znacznie nędzniejszym pocztem, przyjechali

zapowiedziani posłowie książątek, którym z oczu zaraz źle patrzało.

Meklemburski, starzec z siwą brodą, a miną lisią, mówił za innych.

Królowi wyniesiono na podsienie siedzenie pokryte i tak ich tu przyjmował

w szarej opończy i słomianym kapeluszu, kazawszy rycerstwu strojnemu stanąć dokoła. Poseł foremnymi słowy oświadczał od książąt, iż gotowi byli króla posiłkować przeciw Krzyżakom, na co z polecenia Jagiełły podkanclerzy Klemens (z Moskorzowa) odpowiedział, że za dobrą ich wolę król ksią żętom dziękuje uprzejmie, lecz że już przy pomocy Bożej sam się zebrał z ludem swym i litewskim, i ruskim, więc bodaj czy nie byłoby za późno.

Meklemburski szeroko prawił o potędze i o wielkich przygotowaniach Zakonu, jakby trwozę siać pragnął, dowodząc, że posiłki by nie zawadziły, bo i Zakonowi z Niemiec ciągną drudzy. Na co Klemens podkanclerzy odpowiadał, iż jakkolwiek krzyżacka potęga wielka, Boża jest jeszcze większa, a jeśliby do obozu książęta ich miłością przybyć raczyli, gdziekolwiek króla zastaną, bodaj już na pobojuwisku, rad im będzie.

Posłów potem marszałkowie u stołu swego przyjmowali i podejmowali

hojnie z polecenia króla, a ci podochociwszy sobie, odzywali się z różnymi mowy i przekąsy, ale na odpowiedziach też nie zbywało.

Nie dano się im bardzo rozpatrywać po obozie, ani na zapytania

odpowiadano chętnie, ale ich do następnego dnia znosić musieli, dopóki się obdarzonych nie pozbyto.

Dostał każdy po kozuchu pokrytym i po kubku pozłocistym, aby precz jechali.

W Sulejowie król już miał około siebie mało nie wszystkie siły, oprócz Wielkopolanów i Mazurów, którzy się z nim mieli połączyć dopiero nad Wisłą.

Tam też nadciągnąć mieli Czesi z Morawianami, Sokół, Sarnowski i inni z zaciężnym żołnierzem, taborami, wozy, działami i żywnością, którą różnymi drogami wieziono ku Czerwieńskowi.

Wszystko dotąd składało się bardzo pomyślnie, Jagiełło też był dobrej myśli, chociaż przypadały nań i dni posępne, w które mało mówił, a przystęp doń nie był

bezpieczny. Rycerstwo szło duchem wielkim, pieśnią zawodząc, mieczami brzękając, zbrojami

świecąc, a rano i wieczorem gromadząc się na modlitwy. I gdzie obóz przystanął, kapliczny namiot rozbijano, aby służba Boża nie ustawała.

Król mszy co dzień słuchał, nim na koń siadł.

Dziesięciodniowe zawieszenie broni dozwalało wojskom nie spiesząc dociągać do samych granic krzyżackich.

Nie było prawie w tym ciągnięciu ani przypadku, ani szkody, co dziwna, gdzie taki tłok ludu orężnego z różnych stron ściągniętego i prawie obcego sobie.

W Sejmicach tylko nade stawem, gdy namioty rozbijać właśnie zaczęto i o posiłku myśleć, burza napadła wojska sroga.

Był to dzień sobotni i właśnie się rybami raczyć miano, bo ich było pod dostatkiem, gdy w namiocie Dołka z Oleśnicy, który ze swoimi przy misie ryb siedział, piorun padł na samą misę, ryby ze szczeniem spalił i zniszczył, tak że ich nic nie zostało, nikogo z siedzących nie tknąwszy. Za cud prawdziwy poczytano, iż się na wielkiej trwodze skończyło.

Na św. Piotra i Pawła ciągnęło wojsko do Kozłowa nad Bzurą, tam niedzielne i świąteczne razem odprawiając nabożeństwo.

Niepokojono się nieco wieści od Witolda oczekując, gdy goniec od niego do Jagiełły przybył, że ze wszystkimi siłami swymi stoi nad Narwią, nie śmiać się przeprowić przez nią w obawie, aby go nieprzyjaciel nie zaskoczył z tyłu lub z boku. Zaczem mu chorągwi kilka zaraz dla obrony posłano.

Ciągnęło tak wojsko dalej do Kozienic, gdzie ów sławny most dlań

budowano, na owe czasy osobliwy i niewidziany. Był to pierwszy tego rodzaju do przeprawy użyty, a tak mocny, iż po nim nie tylko wojsko całe, ale działa i kule kamienne, i wozy z żywnością bezpiecznie przeprowiać się mogły na przeciwny brzeg do obozu, kędy Czechowic kunsztem swym tabory ustawiali. Tu dano znać królowi o Witoldzie, naprzeciw którego ze .świątecznym pocztem jechał Jagiełło na powitanie i prowadził go do owego mostu umocowanego kobylicami ogromnymi u brzegów i obwarowanego strażą.

Rycerstwo całe wysypało się niemal dla widzenia Witolda, który sam miał

postawę pańską i orszak piękny, ale wojska jego, szczególnie Tatarowie, dziko wyglądali, szli niesfornie i uzbrojeni byli lichy.

Rycerstwo Jagiełłowe, w żelazo okute, uzbrojenie miało przedziwne, kopie długie i daleko sięgające; u Tatarów i Litwy oręża i zbroi było za mało, kopie lekkie i krótkie, a lud szedł tłumnie, kupami i hałaśliwie. Dopiero się to miało później w chorągwie i szeregi, wedle wzrostu i siły uporządkować i ustawić.

Tu tedy wraz wojska oba poczęły zwolna przez most przeciągać, chorągwie ze starszyzną na czele, lud jak na procesji w porządku... i zaraz na drugim brzegu namioty rozbijano. Tu też, zaraz obok królewskiego, pierwszy wielki namiot na kaplicę przeznaczony ustawiono, w którym chór był i wszystko, czego kościelny wymaga porządek.

W święto Nawiedzenia N. M. Panny, jechał król do Czerwieńska do

klasztoru na nabożeństwo ze znaczną częścią rycerstwa swojego. Tam nań czekał

Jakub biskup

płocki.

Mszę dla wojska, które się w kościele pomieścić nie mogło, odprawiano na wzgórzu przed murami, u ołtarza umyślnie ustawionego, obok którego też i kazalnicę wzniesiono dla biskupa, kobiercami obwieszoną. Z niej biskup Jakub miał po polsku do tłumów zgromadzonych przemowę, przekonywując tych, którzy by jakową trudność w sumieniu mieć mogli, iż wojna przeciwko Zakonowi niemieckiemu sprawiedliwą była i tysiącnymi krzywdy a przemieszorstwy i chciwością ich nienasyconą wywołana.

A był ów biskup Jakub człowiekiem nie tylko uczonym z ksiąg, ale

natchnionym i wymownym, tak że gdy za krzywdy o pomstę do Boga wołać zaczął

na Niemców, szmer się stał i okrzyki, jakby wnet kto żyw biec chciał i wojować z nimi. Słuchali wszyscy poruszeni mocno i szable w pochwach brzęczały, bo po nich niecierpliwe uderzały dłonie. Niejeden, co ostygłym tu przyszedł, gorącym powrócił.

Tu także na obozowisku pod Kozienicami a Czerwieńskiem posłowie panów węgierskich, którzy pokój niby mieli układać między Jagiełłą a Krzyżakami, z Torunia jadąc, przysłali Polaka, Dobiesława Skoraczewskiego, z prośbą, aby im król dzień na posłuchanie naznaczył. Żądania krzyżackie były im już bowiem wiadome, chcieli posłyszeć królewskie.

Gdy Dobiesław do obozu przybył i oznajmił się, król zaraz z księciem Witoldem naradzał się, jaką by dać odpowiedź. Obaj oni znali doskonale Niemców i Zakon, a wiedzieli dobrze, że rokowania te do niczego doprowadzić nie mogły.

Nie chciano ich jednak odrzucać, ażeby nie mówiono, iż chciwymi byli wojny, a pokojem pogardzali.

Zaniósł więc podkanclerzy Dobiesławowi odpowiedź, iż król następującą sobotę i niedzielę na posłuchanie naznacza, ale miejsca wskazać nie może, bo wojsko dalej ciągnąć musi i stanowisk pewnych wyznaczonych nie ma.

Skoraczewskiego, Polaka, który przy Jagiełłę znajomych wielu miał, a w obozie pokrewnych, z Torunia wyprawiono i dlatego, ażeby się w wojsku rozpatrzył a opowiedział, jak je znalazł.

Gotowi do wyjazdu, czekali jeszcze w Toruniu na wysłańca panowie

węgierscy, Mikołaj Gara i Ścibor ze Ściborzyc. Na zamku ich komtur ugaszczał z wielkim mistrzem. Gdy o Dobiesławie znać dano, że wrócił, zbiegło się co żyło słuchać, co powie i co z sobą przynosi.

Komturów i starszyny na zamku było wielu, wszyscy czekali odpowiedzi; gdzie króla zastał, i z jaką siłą i z jakim sercem?

Skoraczewski, który całe dwa dni w obozie przebył, a miał czas się wszystkiemu dobrze przypatrzeć, rzekł, że król Wisłę przeszedłszy stał już pod klasztorem w Czerwieńsku.

Zdumieli się wszyscy, ale uwierzyć nie mieli ochoty;

Skoraczewskipgo podejrzewano o kłamstwo.

— A księżę Witold? — zapytał mistrz — czy się już z królem połączył?

— Tego właśnie samego dnia, gdym ja do obozu przybył, nadciągnął z licznym, dobrze uzbrojonym i silnym zastępem — rzekł Dobiesław.

Na to uśmiechnął się wielki mistrz, a za nim i inni śmiać się zaczęli.

— W Witoldowym wojsku — rzekł — więcej ludzi do łyżki niż do zbroi!

— Wasza Miłość mi przebaczy — mówił Dobiesław — oczom moim

wierzyć muszę. Lud dobry, odziany porządnie i wygląda na dzielnych rycerzy.

Na to jeden z komturów wyrwał się: — Lepiej my ich od waszmości znamy, bośmy z nimi nieraz do czynienia mieli: policzyć byśmy mogli i ludzi, i konie.

— Lecz — wtrącił wielki mistrz — powiedzcież nam coś jeszcze o tym sławnym moście, który mieli na powietrzu zbudować.

Zaczęli się inni śmiać, most miano za bajkę.

— Widziałem i most — rzekł Dobiesław — nie w powietrzu wprawdzie,

tylko na wodzie zbudowany bardzo misternie. Wolno kto chce szydzić z niego, ale całe wojsko przeszło przezeń suchą nogą i wozy po nim przeprowadzano w oczach moich, a most ani się ugiął pod ich ciężarem.

Za przykładem wielkiego mistrza śmiać się znowu poczęli Krzyżacy,

podejrzewając już coraz bardziej Dobiesława o kłamstwo i przesadę przez miłość dla swoich.

Wielki mistrz odwrócił się od niego i podszedł do siedzącego Ścibora, któremu szepnął cicho:

— Wasz poseł bajki nam prawi do prawdy niepodobne. Posyłaliśmy tam od siebie ludzi wiary

godnych i przynieśli nam oto pewną wiadomość, iż król Jagiełło nad Wisłą się błąka, próbuje przeprawy przez rzekę, próżno szukając brodu, że wielu potracił ludzi, którzy potonęli w Wiśle usiłując ją przepłynąć, Witold zaś stoi nad Narwią i przejść jej także nie może.

Pomimo że wielki mistrz mówił z cicha, usłyszawszy to Skoraszewski uniósł się gniewem, bo szlachcicowi kłam zadano.

— Wasza Miłość zadajesz mi fałsz — zawołał — opowiedziałem wszystko, jak widziałem naocznie. Raczcie ze mną kogo ze swoich wyprawić, a w ciągu trzech dni dowiodę i przekonam, że praw jestem i że tak jest, jak donoszę.

Mistrz się odwrócił.

— A nam to na co potrzebne? — spytał. — Ani słać, ani na nowo badać nie mamy ochoty. Okaże przyszłość, kto z nas lepiej wiedział. Wy jako Polak mówicie, wynosząc potęgę swojego króla, którego my wcale się nie lękamy.

Stanęło na tym.

Wielki mistrz zaufany był w siły, w sposób prowadzenia wojny Zakonu i w zasoby. Mało co potem nadbiegł posłaniec od komtura ze Świecia. Co przyniósł

tajono ściśle, leż wyrozumieć było łatwo, że nic dobrego.

Wojna się pod złą wróżbą rozpoczynała. Janusz z Brzozogłowy, starosta bydgoski, właśnie pierwszy na swą rękę wojnę rozpoczął. Natychmiast po wyjściu rozejmu zebrał garść ludzi i z nią puścił się pod krzyżacki zamek Świecie. Gdy łuny dokoła zaświeciły niespodzianie, uderzono na gwałt w grodzie; Krzyżacy siedli na koń i sądząc, że z małą jakąś garścią mają do czynienia, rzucili się śmiało w pogoń. Tego właśnie chciał starosta. Uciekający na pozór żołnierze wciągnęli pogoń w zasadzkę uczynioną w miejscu dobrze osaczonym. Wszystkich

Krzyżaków wybito lub do niewoli pobrano. Oprócz knechtów i czeladzi, samych braci pięciu do niewoli się dostało. Przestraszony o los zamku wielki mistrz posłał

liczniejszą załogę i zwołał rycerstwo z całego powiatu na jego obronę. To było pierwsze spotkanie i pierwsza wróżba, której Krzyżacy nie wzięli do serca.

Przypisano to nieudolności komtura i przypadkowi; zemsta tylko rozbudziła się w sercach.

Król Jagiełło w pochodzie między Czerwieńskiem a Żochowem radosną tę odebrał nowinę.

Wojsko ciągnęło lasem i zaroślami, dzień był skwarny, król uznojony i posępny jechał z głową okrytą na powolnym koniu, który miał nogi zdrowe i chód lekki, co rzadko razem się łączy.

Opodal nieco, konno i pieszo, szli i jechali dworscy, rycerze i panowie, rozmawiając po cichu. Z dala słyhać było pieśni, które Witoldowi Rusini zawodzili, wytrwać bez nich długo nie mogąc w

milczeniu. Lasem ledwie wolny wietrzyk poruszał, pogoda obiecywała się na dzień cały. Gdziekolwiek źródło lub studnia znalazła się na drodze, rzucało się do niej co żyło i wysączano ją do dna.

Niejeden konia wprzódy pojąc, sam potem kropli już nie dostał, ale koń był

pierwszy u żołnierza. Niektórzy po borze, przypominając lata młodsze, dojrzewających jagód szukali, by nimi zwilżyć usta spalone, inni grzybami napełniali hełmy, aby je upiec na noclegu. Łamanymi gałęzmi opędzano od much zmęczone rumaki.

Zdążano już ku granicom, gdy wpośród gościńca, gdzie się drogi

krzyżowały, a za pogańskich czasów stały bożyszczka na słupach, na których miejscu później powznoszono figury i krzyże, ujrzał Jagiełło, podniósłszy oczy, widok szczególny, a że bojaźliwym był na białogłowie czary, spotkania i wszelkie uroki, zrazu konie zatrzymał, zzymając się.

W dąbrowie na rozstaju widać było rozłożony dosyć szeroko obóz, zapalone ognie, rozstawione stoły, rozbity namiot, wyładowane wozy, około których zwijało się więc j niewiast niż mężczyzn. Na gałęziach kilku dębów rozpięta ogromna opona różnobarwna osłaniała proste, z opiłków zbite stoły i ławy na pieńkach wymoszczone. Niektóre z nich przysłaniały wschodnie kobierce.

Przodem przed tym gospodarstwem leśnym, z chlebem i solą na pozłocistej misie, stała kobieta średnich lat, słusznego wzrostu, silnej budowy, poważnej postawy, w ciemne szaty ubrana, z białą na głowie zasłoną. Twarzy była już niepięknej i zmarszczkami wczesnymi zoranej, ale ślady piękności i siły w niej się zachowały.

Uśmiechała się z dala do króla, który konia wstrzymawszy, przeciwko czarom możliwym usiłował się na wszelki wypadek obwarować, spluwając dokoła i złamane słomki, które zawsze przy sobie nosił, przez głowę koniowi rzucając na gościniec.

Jechał tuż za królem dworzanie Wąsko i szedł pieszo podkoniuszy Hanusz.

Odwrócił się Jagiełło ku nim, wskazując ręką na obóz i pomrukując, aby się dowiedzieli, kto by to był, co go chciał niespodzianą uczcić gością. Wąsko konia spiął, kilkanaście kroków pośpieszył naprzód i popatrzywszy tylko, nie pytając nikogo, do stojącego króla zwrócił nazad z twarzą rozjaśnioną wołając:

— Książna Aleksandra Olgierdówna Siemiszkowa (Ziemowitowa).

Im chmurniejszą zrazu twarz był uczynił Jagiełło, tym się teraz rozśmiał

weselej, koniowi popuścił cugli, ale nim do miejsca dojechał, zsiadł i z wielką czułością siostrę poszedł witać. Grubym swym głosem, który im weselszy był, tym silniej brzmiał, począł jej czynić wyrzuty, że go tą niespodzianką nastraszyła. Ale tuż, zrzuciwszy nakrycie z głowy, na ławie siadł i o wodę do swoich zawołał, bo jej nikomu oprócz pod czaszych podawać mu nie było wolno. Nadjechał też i książę Witold, który się witał i obok miejsce zabrał.

Księżna z licznej rodziny dwóch tylko synów z sobą miała, ale kobiecy dwór bardzo liczny, który w tej chwili zza namiotów, drzew, krzaków i zza wozów stojących dokoła wyglądał, ciekawie się przypatrując przeciągającym rycerzom i stojącemu orszakowi pańskiemu. Szło bowiem wojsko chorągwiami dalej ku Zochowu, a z dworu tylko i przybocznej straży cokolwiek przedniejszych zostało przy królu i Witoldzie.

Rozchodząca się woń pieczonego mięsiwa i kuchennych przypraw

niejednemu wygłodniałemu wyrwała westchnienie. Król był jak zawsze siostrze niewymownie rad, mając do niej z lat młodych przywiązanie szczere.

Dwóch jej chłopaków, którzy mu do nóg upadli, król po głowach i

policzkach poklepał, a oczyma też z ukosa, ostrożnie, i ku białym paniom w głębi stojącym spozierał. Znano go z tego, że do niewiast miał słabość do najpóźniejszego wieku. Dwór księżnej krył się niby wstydliwie, naprawdę jednak rad by się był pokazał i bliżej napatrzył na rycerzy. Szmer słychać było i śmieszki za oponami, a ciągnący żołnierz oczyma ścigał równie pożądanymi piekącą się zwierzynę i chowające

niewiasty.

Jagiełło jął stojącą księżnę wypytywać o rodzinę jej liczną, każdego wymieniając po imieniu, śmiał się rad i czekał, aż mu co jeść podadzą. Wtem nagle oczy jego, biegające niespokojnie, zatrzymały się i utkwily w niej- scu jednym, oderwać się od niego nie mogąc.

U wejścia do namiotu stało dziewczę strojne, piękne, uśmiechnięte, z kwiatkami powtykanymi we włosy, śmiało patrząc w oczy królowi, jakby się nic majestatu jego nie ulękło. Wielka piękność i świeżość tej twarzyczki nie samego tylko króla uderzyła: księżę Witold, a dalej nieco stojący dwór, oczy w nią wlepione mieli. Było coś wyzywającego i niepokojącego w tym zjawisku leśnym, które jakąś boginię puszczy litewskich przypominało.

Król z cicha szeptał: Ragana! i znowu rzucał słomki dokoła siebie, ale oczu oczarowanych oderwać od niej nie mógł.

Księżę Witold wreszcie przystąpiwszy do księżnej Aleksandry spytał, kogo by to z sobą przywiozła?

— Czarownicę jakąś macie, która ludzi oczyma pęta i— rzekł śmiejąc się.

Księżna odwróciła się i postrzegła dziewczę.

— Dowiedzie się co za jedna — odpowiedziała — nie należy ona do mojego dworu, w gościnie u mnie z matką i wujem, a spotkałam ich właśnie, gdym tu w drogę jechała.

Jagiełło przysłuchiwał się ciekawie, patrzył i s pluwał, coś szepcząc.

— Dziwnie piękna — ciągnęła dalej księżna — a co więcej, dziwnie śmiała, wesola i mądra, więcej

niż na dziewczkę przystało. Od wczoraj mi cały mój dwór zbałamuciła.

Na tym się przerwała rozmowa, gdyż na stół właśnie przynoszono misy z polewką i mięsiwa dymiące parą, a w koło zwijały się kobiety księżnej i pachołkowie, naprzód stół zastawiając w pośrodku przed królem.

Nie tknął jednak Jagiełło nic, dopóki mu jego podczaszy z podróżnej skrzynki nie dobył kubka, misy, noża, łyżki, których nikomu się dotknąć nie było wolno, oprócz niego, i nikomu królowi do stołu posługiwać, oprócz tych, co byli do osoby jego przywiązani.

Gdyby przypadkiem czy umyślnie ktokolwiek ruszył kubek pański lub łyżkę, już by ich król więcej nie użył, tak się czarów obawiał i złych ludzi. A kiedyż więcej mógł się ich lękać, jak przed tą wojną, której był głową, czując, że go Krzyżacy zgładzić byli by radzi?

Zasiadł książę Witold opodał naprzeciw, księżna przy bracie, rycerstwo, kapelan i kilku duchownych w końcu i przy drugim stole. Podczaszy przyniósł

miednicę, nalewkę i tuwalnię królewską, wszyscy dokoła ręce umywać zaczęli, aż wstał kapłan i błogosławieństwo odmawiał, którego wszyscy, stojąc, słuchali pobożnie, Siedli potem, ale nikt do misy nie sięgnął, póki król nie począł jeść i nasyciwszy głód nie posunął jej od siebie.

Wszczęła tedy księżna Aleksandra cichą rozmowę, o czym, jeśli nie o wojnie a Krzyżakach? Jagiełłę wiadomym było, że książęta mazowieccy, sąsiedztwem zmuszeni, w stosunkach byli z Zakonem, a mistrzowie krzyżaccy zawsze sobie łaski i względy księżnej, jako siostry króla, zaskarbić starali. Szły często podarki z Malborka do Płocka i Warszawy, posyłano je też stąd do Torunia i Malborka wraz z przyjacielskimi listy. Mówiono, że księżna Aleksandra potajemnie Zakonowi sprzyjała. W Płocku wiedziano o Krzyżakach i ich obrotach lepiej częstokroć niż w Krakowie i Wilnie.

Szli teraz książęta mazowieccy razem z królem na wojnę, bo inaczej począć nie mogli; lecz więcej niż ktokolwiek życzyli lub walnego zwycięstwa, co by nieprzyjaciela na wieki złamało, albo uniknienia wojny, za którą pomstą straszną grożono.

— Idziemy więc na tę wojnę — szeptał Jagiełło — niechętni, przymuszeni, bo pokoju sprawiedliwego nie chcą i nie dadzą; idziemy Bogu ufając i dobroci naszej sprawy.

Westchnął, a księżna powtórzyła za nim to westchnienie.

— Zawsze wojna jest nieszczęściem — odpowiedziała — cóż dopiero z

takim nieprzyjacielem, który ma stu jawnych, a dwustu potajemnych

sprzymierzeńców i przyjaciół, i tysiące kunsztów nam nieznanych. Sami się Panem Bogiem zaślaniają!

— Wiem-ci ja, co ta wojna znaczy — rzekł Jagiełło — albo trzeba ich wywieść precz lub głową

nałożyć. Nie chciałem jej i nie chcę. Czemuż nie przyjmą słusznych warunków? Ja tylko tego, co nasze pragnę... Któż wie, azali, gdy panowie węgierscy nadejdą, nie ułoży się coś i daj Boże, aby się ułożyło, jeśli jeszcze czas po temu.

Ale cóż słyhać z tamtej strony? co od nich?

— Właśnie mi wieści kobiety te z Torunia przywiozły, uciekając i szukając schronienia przed wojną.

— Jakie kobiety? — spytał król.

— Te, o które Witold pytał, a wy na jedną patrzyliście, bo dziwnie piękna jest.

— Cóż mówią? co mówią? — poczęli król i Witold.

Któż wie, czy one co wiedzą i czy nie rośnie im w oczach potęga Zakonu? —

mówiła księżna. — Przygotowania wielkie i straszne być mają, jakby nie na wyprawę szli, ale na zawojowanie krajów naszych. Z zagranicy, z Niemiec, z Anglii, płyną goście niepoliczeni z orszakami łuczników, kuszników, rycerzy.

Ściągają działa, kule, prochy. Najemny żołnierz znad Renu, ze wszystkich ziem niemieckich, z Czech i Morawy nieustannie przybywa.

— Czechów i Morawian i my mamy dosyć — odparł król — dwom Bogom służyć.

— Byle obu nie zdradzili — wtrącił Witold — boję się najemników, co się na cudzej ziemi, za cudzą sprawę dla chleba biją, zły to żołnierz.

— Mówcie — rzekł Jagiełło — co więcej? Gotowi oni tam?

— Wszystko w poruszeniu: na zamkach, po grodach, w powiatach osadzają załogi knechtami, mało co zostawiając rycerzy, co żyje ciągnie ku granicy zastępami ogromnymi. Najdzielniejsi komturowie i sam wielki mistrz na czele.

— I nie trwożą? — spytał Witold.

— Odgrają się tylko — mówiła księżna.

— Mistrza tego znam z dawna — przerwał Witold — jeszcze za Wallenroda czynniejszy był od niego. Rycerz mężny, dzielnego serca, ale pycha wielka. Jeśli go co zgubić ma, to chyba gorączka i porywczność.

— My Bogu ufamy! — dokończył król. — Nie tajna nam potęga Zakonu, ale mężnych ludzi i u nas sporo, a z zagranicy coś się też zebrało.

Westchnął król spochmurniawszy, zawołał na podczaszego, aby wodę

podano, ręce chciał myć, jedzenia mając dosyć. Drudzy w końcu stołu dopiero byli mięsiwa rozbierać zaczęli; pozostali dłużej nad nimi, noże odpasawszy i krając każdy sobie.

Wstał tedy Jagiełło i odszedł z siostrą na stronę nieco, a tuż znowu spoza namiotu ukazała się twarz uśmiechnięta dziewczęcia i obok siwa głowa staruszka, na którą król popatrzawszy z uwagą, uderzył się w czoło.

— A ten kto jest? — zapytał wskazując.

— Duchowny, który kobietom tym towarzyszył w drodze, krewny ich.

— Ja go znam — żywo dodał Jagiełło — jam go kędyś widział? Był między pisarzami moimi. To ksiądz Jan!!!

Skinął ręką, ksiądz poruszył się, ale przybliżyć jeszcze nie śmiał sądząc, że nie jego wołano; powtórzył król wezwanie ręką i dopiero się stary wychylił prędko, idąc ucałować rękę pańską.

Weselszą twarzą witał go król.

— A witajże, witajże — zawołał — już was to dawno nie było? Coście czynili? gdzie bywali? co czynicie i jakeście się tu dostali?

— Sądzę, że mnie chyba Bóg tu wysłał, abym miał to szczęście jeszcze raz królewskie oglądać oblicze, bom się ani spodziewał tu być, ani nawet śmiał

pragnąć.

— Ano mów, księże Janie — dodał król — skąd? jak?

— Wprost z Malborka i Torunia jadę.

— Po dobrej woli? — rzekł król zdziwiony.

— Pielgrzymowałem do N. Panny pieszo, a razem siostry szukałem

straconej. Wzięli mnie za szpiega Krzyżacy i uwięzili chcąc dać na męki. Cud Boży od śmierci mnie uchronił, z siostrą razem uchodzimy z Torunia.

— A prawda to — wtrącił król żywo — że tam taka burza na nas się zbiera?

— Niewielem widział — odparł ksiądz Jan. — Kobiety moje, które tam mieszkają, więcej o tym wiedzą, ale jako niewiasty tyle tylko, że się tam wszelka siła zbiera i gniew a zaciętość wielka.

Popatrzał nań król.

— Cóż wy mówicie, księżo Janie? Co wy nam wróżycie?

Twarz starca zadumana, jakby od lampy w piersiach płynącej ożywiać się i rozjaśniać zaczęła; mienił się natchniony a w oczach rosnał.

— Ziemskich spraw wiem niewiele — zawołał — rozumiem je mało.

Przeszedłem, pielgrzymując, znaczną część ziem Zakonu, stawałem po ich zamkach, patrzałem na życie, dziwiłem się temu Zakonowi z krzyżem chodzącemu wszędzie, a pogańskiego ducha i pychy!! Nigdy Bóg dumnym a ufającym sobie nie daje długiego zwycięstwa. Cieszyć się im dozwoli, aby ich więcej jeszcze poniżył i zgniótł. Kto z Bogiem w sercu idzie — zwycięży. Oni się Bogiem posługują, a nie Jemu służą.

Księżna słuchając pobladła nieco i spuściła głowę; zdawała się nierada tej mowie.

— Potęga Zakonu wielka — odezwała się — a nie wszyscy w nim źli są i zepsuci: nie bronię ich, lecz się lękam. Za nimi papież rzymski, za nimi król Zygmunt, cesarstwo i Niemcy całe; za nimi skarbiec ich: nauka, jaką mają, i lud rycerski.

— A z nami idzie Bóg! — odparł ksiądz. — Na czyjejże ziemi siedzą, dlaczego sobie ją przywłaszczają? Nędza i niewola ludu podbitego, na którą patrzałem, woła o pomstę nad nimi.

— Mój ojciec — przerwała księżna — nie podżegajcie króla do wojny, lepiej być go ku pokojowi skłaniali.

— Bóg świadek, nie do wojny zaczepnej kuszę, bom kapłan Boga pokoju —

odezwał się ksiądz Jan — ale do obrony ducha dodaję a mówię, czym mnie sumienie natchnęło. .

Spuścił głowę z pokorą i umilkł; na twarz księżnej wystąpił rumieniec.

— Posłuchajcie, co mówią te kobiety — odezwała się żywo — wszak ci to siostra księdza Jana.

— Siostra wasza? — wtrącił król — rad posłyszę.

Zwrócili się ku namiotom. Ksiądz za królem szedł. Księżna skinęła na stojącą Noskową z córką i kazała jej przystąpić. Rozkaz ten zrozumiała też Ofka, jako jej dotyczący i nie chcąc samej puścić matki, zdążyła za nią ku królowi, który na idące kobiety, strojne i bogato przybrane, ciekawym spozierał okiem. Obu piękność czyniła na nim widoczne wrażenie, jednakże, choć siostrze księdza Jana i jej córce, przystępu do siebie bliższego nierad był dozwolić i cofnął się kilka kroków, dając poznać, by z daleka stanęły.

Z równą ciekawością wdowa i córka jej w króla się wpatrywały. Noskowa pochylila się w niskim ukłonie, który Ofka powtórzyła za nią. Piękne dziewczę przybrało poważny pozór na twarzyczkę niewinną, oczy jej tylko strzelały niepohamowane.

Stały tak milczące, nie śmiejąc przemówić pierwsze, gdy Jagiełło zagadnął:

— Cóż się tam u Krzyżaków dzieje? Wielki wybór na wojnę?

— A! — łamiąc ręce poczęła Noskowa — ludzie mówią, że nigdy jeszcze takiego nie pamiętają. Co żyje ciągnąć musi. Co dzień nowe poczty przybywają z Niemiec. Siła ogromna. Pola około zamczysk jak mrowiem okryte orężnymi ludźmi, zbrojownie wszystkie otwarto i wypróżniono. Zaklinają się i przysięgają, że nie włożą do pochew mieczów, dopóki nie zwyciężą i w Krakowie nie zawrą pokoju.

Jagiełło pobladł nieco.

— Kobieca to mowa — wtrącił ksiądz Jan. — Powtarzacie, co na rynku w Toruniu słyszeliście.

— Wielki mistrz — dodała — pała gniewem wielkim, o pokoju i słyszeć nie chce.

Jagiełło milczał. Ofka przypatrywała się, ksiądz po chwili dodał:

— Bóg wielki, Bogu ufać i serca nie trwożyć.

— Tak się czyni — dodał Jagiełło cicho.

— Ja do stóp Waszej Królewskiej Mości schylam się — dodał ksiądz Jan —

o pozwolenie wolnego przejazdu i schronienie siostrze mojej.

— Pójdźcie do pisarzy, znacie ich, niech glejt wydadzą, niech jadą, kędy chcą.

Skloniła się Noskowa. Król, popatrzawszy długo, dał im znak, by odeszły.

Ofka obejrzała się raz jeszcze za siebie i pobiegła za matką.

— Dziewczyna osobliwa — szepnął Jagiełło — coś nieczystej siły ma w oczach.

Księżna Aleksandra ramionami ruszyła.

— Dziecko to jest — zamknęła.

Konie królewskie już czekały; sam na sam pozostawszy z bratem księżna go dalej jeszcze uprowadziła pod drzewa, gdzie ich nikt podsłuchać nie mógł.

— Trwożę się — rzekła mu. — Nie można przed ludźmi pokazywać obawy, aby im serca nie odejmować, ale w moim jest przerażenie wielkie. Zewsząd dochodziły nas do Płocka wiadomości o przygotowaniach Zakonu

nadzwyczajnych. Nigdy tyle nie wysypali złota, nigdy tylu nie sprowadzili ludzi, tylu nie rozesłali szpiegów i posłów. Mają wszystko i wszystkich za sobą.

Jagiełło słuchając westchnął.

— Wiem o tym — dodał — i niemniej od was się trwożę, ale ludowi memu własnej obawy

wszczepiać nie chcę. Cóż począć? Panowie się na pokój nie godzą, Krzyżacy sami go nie chcą.

— Owszem, oni go pragną — odezwała się księżna dobywając papier z

pieczęcią zza sukni i oglądając się wkoło. — Wielki mistrz pisze do mnie... nie chce przelewu krwi chrześcijańskiej. Oczyma prawie przerażonymi spojrział król na list i cofnął Się.

— Kto go przyniósł? — spytał.

Księżna pomilczała nieco, wahała się powiedzieć prawdę, a kłamać nie chciała.

— Ksiądz nic o tym nie wie — rzekła cicho — kobiety te sekretnie mi go oddały.

Widać było, że król się wahał, chcąc Ust zabrać i tknąć się go obawiając; odwrócił oczy: z dala stał Zbyszek z Oleśnicy, skinął nań. Gdy nadszedł, pochylił

mu się do ucha:

— Weźcie list do siebie i nie okazujcie nikomu.

Zręcznie bardzo księżna papier podała przybyłemu, król znowu dał mu znak do odejścia. Jagiełło był poruszony.

— Czemuż nie przyjmą warunków, jakie im panowie moi podają? — rzekł

zniżając głos — ja cofnąć się nie mogę! jam zmuszony, ja po niewoli idę, bo miary dopełnili. Chytry Zakon wciągnął nas w tę wojnę pewien zwycięstwa.

— Nakłaniajcie do pokoju, królewskie słowo wiele znaczy — mówiła

księżna — jeszcze jest czas, jeszcze dla układów rozpoczęcie wojny przeciągnąć można.

— Wojna się już rozpoczęła pod Świeciem — odparł król cicho.

Księżna ręce załamała.

— Nasi zwyciężyli — dodał Jagiełło — lecz cóż znaczy jedna porażka i to pierwsza. Mówią, że to wróżba dobra ja ją mam za nieszczęśliwą.

— Jest żeś pewny Witolda?

Król spod oka spojrział i nie odpowiedział nic.

— Nie jest że on z nimi w znowie?

— Będą czuwać nad nim — krótko dorzucił Jagiełło.

— Wisi nad nami miecz, który nas wszystkich zgładzić może — mówiła księżna — zwycięzcy nie

przebaczą nikomu, najadą Polskę, zniszczą Mazowsze, złupią Litwę. w perzynę obróca wsie i miasta.

— Alem ja nie wyzwał i nie chcę wojny, ja pragnę pokoju — powtórzył król oglądając się i ocierając pot z czoła — jam go dziś zawrzeć gotów. Czemuż odrzucają słuszne warunki?

— Więc zwlekać trzeba, zwlekać do ostatniej godziny.

Konie zaczynały rżeć, a rycerstwo siadać, ruch wszczynął się na rozstajach.

Król też spojrział niespokojnie dokoła i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Losy wojny — rzekł głosem przejętym — nieodgadnione. Kto wie, czy nie ostatni raz się widzimy. W duszy mam złe przecucia, nic mi ich odjąć nie może. Módlcie się za mnie.

Księżnej Aleksandrze, niemniej poruszonej, łzy płynęły z oczu, schyliła się do ręki brata, który ją ścisnąć począł milcząco. Wszystek dwór księżnej wysypał

się z namiotów i obozowiska patrzeć na rozstanie i odjazd dworu.

W gromadce kobiet stała Ofka z oczyma jakby rozognionymi, którymi

rzucała po wszystkich, drżała z jakiejś niecierpliwości.

— Co ci, szalona dziewczyno? — szepnęła matka czując jej poruszenie.

— Co ci jest? — na ucho poczęła mówić Ofka. — Oto bym z nimi na koń

siadła. Dałabym rok życia, dałabym dwa, żebym mogła pojechać w tym orszaku.

Noskowa odwróciła się aż strwożona i z lekka trąciła ją po twarzy.

— Milczałabyś, nieszczęśliwa — odezwała się niespokojna, aby kto nie usłyszał — co ci się po głowie roi?

— Siedzieć za piecem i nie wiedzieć, co tam będzie? A, to nie do

wytrzymania! — powtarzała tupiąc nogami Ofka.

Właśnie królowi konia prowadzono. Koniuszy strzemię podawał, księżna szła aż do miejsca, skąd wyruszyć miano, to łzy ocierając, to ręką śląc pożegnanie.

Witold już na koniu siedział. Zaledwie Jagiełło spał się na siodło, dwór pobiegł też do swych koni i każdy co najspieszniej cugle zgarnawszy, strzemięcia nogą szukał, a drugi i bez niego na grzbiet koniowi skoczył. Zawrzało i zatętniało w tym tłumie, bo niektóre konie w las niosły, inne się spinały, kąsały się dzikie i biły między sobą dopóki silną ujętą dłonią nie przyszły do porządku.

Ruszył tedy cały dwór, ustawivszy się jak wprzód, zegnając czapkami i głowami księżną i dwór jej,

który coraz dalej występował na drogę. Już czoło kolumny ciągnęło lasem, a za nim Jagiełło z Witoldem, dworscy, wojewodowie, rycerstwo, dalej konie, kolebki pańskie i wozy, i psy myśliwskie, i czeladź, i ciury.

Księżna zadumana stała z chłopakami swymi nad drogą, aż przeciągnęło wszystko i znikło w oddaleniu, a ksiądz Jan, modląc się, zegnał ich długo krzyżem, który trzymał w rękę.

Na ostatek umilkło w lesie i wozy księżnej ładować do powrotu zaczęto.

Noskowa też z córką cofnęła się na bok ku swoim ludziom i koniom stojącym dalej nieco w zaroślach. Tegoż wieczora zapowiedziany był wyjazd do Płocka. Kazano się toruńskiemu orszakowi Noskowej do niego gotować, gdy ksiądz Jan przyniósł

wiadomość nową, że księżna Aleksandra spocząć pragnie i noc w lesie spędziwszy, o brzasku dopiero w dalszą wyruszyć drogę.

Jakoż wkrótce potem zwolna mrok padać zaczął, a ludzie się obwarowawszy od dzikiego zwierza, wszelkiej napaści wozami, konie wzięwszy w środek, sposobili się do spoczynku. Małe ogniska zostały tylko niedogaszone.

Rozstawione straże pilnowały obozu noc całą. Dzień się robił i ludzie koło koni chodzić zaczęli, gdy od namiotu, w którym nocowała Noskowa, krzyk się dał słyszeć i płacz niezmierny. Wszyscy pobiegli dowiedzieć się, co się dzieje. Z

rozpuszczonymi włosy, ledwie obrzuciwszy się odzieżą, z lamentem wielkim biegła wdowa do księżnej namiotu.

— Córki mojej nie ma! córkę mi porwano! — wołała.

Ruszyło co żyło szukać śladów dokoła. Ksiądz Jan osłupiały, z załamanymi stał rękami; młodszy na koń skoczyli rozbiegając się na wszystkie strony. Nikt nie mógł pojąć, w jaki sposób od matki, przy której spoczywała, nie rozbudziwszy jej, mogła się dać porwać. Znikła zabrawszy część odzieży, a co więcej, znikła znaczna część złota, w które wdowa na podróż opatrzona była, i znikł sam dowódca straży z Torunia dodanej, człek stary, siwy, ponury, milczący ale z wierności swej znany i ten, któremu najwięcej ufano.

Domyślić się więc było już i matce samej łatwo, że nie siłą pochwycona została, ale po dobrej woli uszła.

Dlaczego? dokąd? niepodobna było odgadnąć; przypomniała sobie tylko Noskowa wczorajszy jej okrzyk, gdy dwór ruszał i rycerstwo — ł padła na posłanie zalewając się łzami.

Nie było już mowy o czym innym, tylko o pogoni; ruszyli ludzie księżnej i kilku z toruńczyków, a obóz zwinawszy księżna rozkazała jechać do Płocka, dokąd Noskowa i ksiądz Jan za nią dążyć musieli.

Im bardziej zbliżano się ku granicom, tym surowiej pilnowano porządku w ciągnięciu, a te tysiące

ludu zbieranego po całym kraju i poza granicami utrzymać w karności i ładzie nie łatwo było. Straże swoich własnych i od swych stawiać musiano, a karać bez litości niesfornych.

Nie było noclegu prawie, na którym by mogła nie pozostała

zamordowanego w waśni lub na drzewie nie zawisł winowajca bez pogrzebu.

Ludzie się między sobą nie znali i językiem a mową ledwie porozumieć mogli.

Obce twarze w tym tłumie ukazywały się nieraz, a opowiadały, że zbłąkały się od innych chorągwi. Zjawiali się ochotnicy zaciągający się na drodze, nadążali opóźnieni. Poza samym wojskiem wlokło się samopas idących ludzi wielu, niby doń należących, w istocie jak kruki czatujących na zdobycz jaką lub złą sprawę.

Choć wojsko się trzymało chorągwiami i ziemiami, coraz w nich nowe jawiły się twarze.

Rankiem w Zochowie, gdy hasło do zwijania namiotów otrąbiono, a w

królewskiej kaplicy dzwonek się dał słyszeć, z którym zakrystian chodzi do mszy wołając, właśnie pan Andrzej z Brochocina miał już zbroję wdziewać, którą mu pacholę podawało, gdy w otworze namiotu zjawiła się postać zupełnie mu nieznamoma. Był to młodzieńki chłopak niepocześnie ubrany, ale bardzo pięknej twarzy, lekko zaledwie uzbrojony, który z panem. Andrzejem mówić pragnął, trochę zakłopotany i jakby czymś strwożony.

Brochocki prawdzie był mężem statecznym, nie pierwszej młodości,

zawołanym wojakiem, który więcej życia spędził w obozach niż w domu, gdzie gościem bywał.

Prawy żołnierz, choć we dworze żonę i dzieci zostawił na Bożej opiece, choć gospodarstwo całe też więcej Opatrzności zdał niż włodarzowi, ducha był

niezlomnego i wesołej twarzy. Śmiało mu się oblicze, bo czuł, że się do granic zbliżali, gdzie się ciągnięcie owo ciężkie zakończyć, a wojna rozpocząć musi. Cała szlachta z jego ziemi uważała go niemal za wodza, bo im wszystkim przodował

doświadczeniem i męstwem a przebiegłością wielką. Postawy był prawie olbrzymiej, kościsty, silny, twarzy krągłej, bladawej, oczu i włosów czarnych, ust rumianych, nieco wydatnych, a zarosły jak żubr, że mu tylko z brody i wąsów czerwone wargi uśmiechnięte, a ponad nimi oczy wypukłe i ogniste świeciły, Rubaszny był jak żołnierz i do żartu ochoczy.

Obaczywszy chłopaka, który się kręcił w progu namiotu, zapytał go raźnie:

— A co ci to? czego chcesz?

— Mam poufne słówko do Miłości Waszej.

— Miłość moja zbroję wdziewa — zawołał pan Andrzej — trąbią na konie, gdy masz mówić, mów a

śpiesz.

Stojący w progu wskazał na pacholę, które pan Andrzej wypchnąwszy z namiotu, w kaftanie, jak był, zbliżył się do młodego przybysza.

— Mów! — rzekł krótko.

— Uciekłem od matki, aby się do wojska zaciągnąć — rzekł chłopiec rumieniąc się — przyjmijcie mnie do pocztu waszego.

Rozśmiał się Brochocki rozpatrując w przybyłym. Wziął go za ramiona i potrząsnął nim.

— Świerszcz jesteś! — zawołał — gdzie ci to zbroję nosić! zgniecie cię na miazgę. Tfu, podobniejszy do dziewczyny niż do żołnierza. Wracaj do pani matki i gęsi paś, lepiej zrobisz.

Chłopak zakwitł jak wiśnia i do ręki Brochockiemu się rzucił.

— Mój panie! mój ojciec! ja muszę iść na wojnę!

— To cię znój, głód i niewczas zamorzy. Gdzieś musiałeś się chować w pierzynie, jeszcze ci nie czas. Próbuj konia i kopii doma, a na przyszłą wyprawę...

Chłopcu się aż łzy z oczu potoczyły, lecz raczej z gniewu niż ze smutku.

Poskoczył w głąb namiotu za Brochockim.

— Wy mnie musicie wziąć! — zawołał — to darmo.

— Cóż ty za jeden? skąd, utrapienie jakieś? — śmiejąc się pytał pan Andrzej.

— Nie mogę powiedzieć — odezwał się przybyły. — Mam ochotę do wojny i rycerskiego rzemiosła. Na imię mi Teodor, a jeśli chcecie nazwiska... to z Zaboru.

Ruszył ramionami napastowany.

— Cóż ty myślisz, jak stoisz, bez zbroiczki, z mieczykiem, jak na ptaszki w pole iść! A konia masz?

— Koń jest, zbroję kupię i co trzeba.

— Kupisz? Toś u pani matki grosza szarpnął, widzisz, niegodziwcze!

— A cóż było począć? To nie kradzież!

— Szalona pałka! — rzekł przypatrując mu się pan Andrzej, i obrócił go kilka razy w drzwiach namiotu. — Do czego by się to zdało? Siły żadnej, chrząszcz... w pierwszym lepszym ścisiku swoi cię zduszą, i na dziewczynę wyglądasz, jak Bóg miły.

Chłopiec się czerwienił.

— Gdybym chciał ulitować się nad tobą, na co byś mi się zdał? Niańki jeszcze by dla waszeci potrzeba. Sam jeden jesteś? — dodał Brochocki.

— Mam starego sługę.

— Dwie gęby więcej, a tu i tak często nie ma co jeść!

— Ja się wyżywię sam.

— Matczynym groszem — śmiał się Brochocki — to mi zuch.

Wtem zatrąbiono po raz drugi. Pacholę nadbiegło oznajmiając, że obóz się ruszać zaczyna i że na chorągiew niedługo przyjdzie kolej.

Brochocki więc co żywiej poszedł zbroję wdziawać, lekką, jakiej do pochodu używano. Myślał, że chłopaka się pozbył, ale ten stał uparcie u namiotu.

— Mój ty Teodorku! — krzyknął — czy jak cię tam zowią, ruszaj skądś przyszedł, ja cię nie wezmę. Dlaczego chcesz do mnie przystać, kiedy tu tyle innych jest, co cię chętnie razem z pieniędzmi wezmą.

— Nie pójdę od was — rzekł chłopak — jak wola wasza, jużci mnie nie odpędzicie. Wlec się będę, choćbyście bili. Na pierwszym was trafił, Opatrzność Boża. Tak sobie rzekłem, że gdzie mnie oczy zanosą — zostanę.

— Prawdziwe utrapienie! — zawołał Brochocki — idźże ty mi!

— Nie pójdę! — krzyknął śmiało Teodor.

Brochocki już zbrojną ręką zamierzył się uderzyć go po plecach, ale mu się go żal zrobiło. Byłby mu niechybnie połamał kości, bo chłopię było mdłe i delikatne.

Splunął więc.

— A więc na koń, do licha! — rzekł nagle — jedź za mną, ale pamiętaj, żem surowy i to pomnij, że jeśli ci się co złego przytrafi, o co łatwo, sameś chciał.

— To wiem — rzekł Teodor całując go w rękę — niech się dzieje wola Boża, jadę za wami. Nie zważajcie, żem lichy wybrany, kupię sobie napatrzwszy co potrzeba.

Ponieważ namiot zbierać było potrzeba i czeladź się zwijała około reszty rzeczy, wyszli więc na pole. Tu gotowało się jak w garnku, roiło ludem, zamęt był

zwyczajny przy wyruszaniu i żegnaniu obozu. Krzykliwe głosy i śmiechy, i klątwy latały w powietrzu. Brochocki postrzegł opodal stojące dwa konie. Odgadł, że należały do przybyłego i poszedł je

zobaczyć. Przy jednym z nich stał z siwymi wąsami stary sługa. Konie były tłuste, ciężkie i silne.

Pan Andrzej na starego począł gderać.

— A po coś to dziecko do uciezki posiłkował, hę? a godziło się to?

— Niech pan próżno doń słów nie szafuje — rozśmiał się chłopak — ani jednego nie zrozumie, Zmudzin jest.

— Kukutis! — mruknął Brochocki — doskonale się do pary dobrali: jedno dziecko, a drugi niemy starzec. I na mnie to lichy spaść musiało. Szczęście jeszcze, że ich karmić nie trzeba.

Na chłopaka, który konia dosiadał dosyć niezgrabnie, co stało dokoła patrzyło; tak dziecinną, a raczej kobiecą miał twarz.

Śmiali się niektórzy, markotno się zrobiło panu Brochockiemu i splunął.

— Jeszcze mnie kto oczernić gotów, że dziewczkę za pacholę przebrałem! —

mruknął. — Tego by jeszcze trzeba, żeby o tym jejmości doniesiono, toby mnie z domu miotłą wygnała za powrotem.

Wojsko z obozowiska ruszało, siadł i Brochocki na koń, już się nie bardzo troszcząc przybłądą, ani nań spojrzął do wieczora. Wieczorem nie spytał o niego, myślał, że się to albo gdzie zgubi lub nastraszywszy drapnie do domu.

Aliście nazajutrz rano chłopak się zjawił w namiocie. Wyglądał nieco inaczej, bo już i zbroiczkę miał, i hełm lekki, i wszystko, co żołnierzowi mieć przystało, a twarz znać sobie czymś umył, że mu ściemniała znacznie i kobiecej tej białości nie miała.

Obejrzał go Brochocki wkoło i nie rzekł nic.

— Gdzieżeś to waszec zdobył tak naprędce? — spytał później.

— Ludzi tu siła — odparł chłopiec — każdy ma zbroi pod dostatkiem zapaśnej, a nie wszystkim grosza staje, kupić tu łatwiej jak w mieście.

— Aby było za co! — wtrącił Brochocki śmiejąc się,

Choć sam pan Andrzej na chłopaka niezbyt łaskawym patrzył okiem, w poczcie, do którego się tak trafunkowo przyczepił, przyjęli go towarzysze zrazu obojętnie, a drugiego, trzeciego dnia umiał się im przypodobać; młodość też jego jednała mu serca, słowem, polubiono go bardzo i choć go zwano i prześmiewano dziewczyną, przyjaciół miał we wszystkich. Wesołością, dowcipem i chętną szczodrobliwością najwięcej sobie ludzi przyciągnął. Sypał pieniądze garściami koło siebie, poił i karmił, tak że mimo nieznanego nazwiska, mieli go za jakieś przebrane

i utajone książątko.

Brochocki na to z dala patrzył nic nie mówiąc; prawdę rzekłszy, nie było tam czasu lada czym się zajmować, bo wojna stała za pasem; wszystkim do niej serca były i wszyscy pytali się w duchu sami siebie, czym się ona skończy.

Na owe czasy, gdy z kilku tysiącami ludzi przedsiębrano wyprawy dalekie, przygotowania z obu stron były olbrzymie; łącno było przewidzieć, że na małej utarczce skończyć się nie może.

Dwie potęgi zetrzeć się miały, na które cały świat zwracał oczy.

Żaden z sąsiednich krajów nie mógł wojska tak ogromnego wystawić, jakie z sobą Jagiełło prowadził. Sześćdziesiąt tysięcy rycerstwa szło z Polski samej, czterdzieści i dwa wiódł Witold z sobą ze Żmudzinami i Rusią, na czterdzieści tysięcy liczono Tatarów, a zaciąg z Czech, Morawy, Węgier i Śląska przechodził

dwadzieścia. Prawie sto tysięcy było pieszego ludu, reszta lekkiej konnicy i ciężko uzbrojonego rycerstwa. Sześćdziesiąt ciężkich dział wlokło się za tą olbrzymią siłą.

Nie można było obrachować wojsk krzyżackich, nie dorównywały one

jednak sprzymierzonym Jagiełły, chociaż przechodziły je niewątpliwie ryszunkiem, wprawą i ładem. Trzydzieści i kilka tysięcy miał mistrz zaciężnego ludu z zagranicy, doskonałych wojsk niemieckich i pocztów gościnnych, ale potrzebował obsadzić wielką przestrzeń granic, pozostawić na zamkach załogi i czuwać nad ogromną rozległością, nie wiedząc zapewne, skąd nieprzyjaciół wtargnie. Dawniejsi sprzymierzeńcy, książęta mazowieccy i wielu innych, wypowiedzieli wojnę Zakonowi, a groźba króla węgierskiego i Inflantczyków przeciwko Witoldowi nie bardzo dla Jagiełły była groźna.

Wojska z Zochowa ciągnęły zaraz dalej ku granicom, które były już blisko, pojedyncze oddziały wyskakiwały potajemnie na łupieżę i pożogi. W wojsku, z wyjątkiem Tatarów i części Litwy, którą w karności utrzymać było trudno, panował

porządek surowy i powaga wielka na duchu. Dzień każdy zaczynał się od nabożeństwa, każdy nim kończył; pobożne pieśni rozlegały się po obozie i osiwiiałych rycerzy klękających po dniu znojnym ze swoim ludem do pacierzy widzieć było można wszędzie.

Zdawało się to niezmiernie dziwić młodego przybysza. który inaczej sobie życie obozowe wystawiał. Często niedaleko od namiotu pana Andrzeja, przy którym się mieścił z poczem jego, rozbijano drugi dla biskupa Wojciecha z Kraszewa Jastrzębca (poznańskiego). Poważny starzec gromadził zaraz lud, zagrzewając do modlitwy.

— Zaprawdę — mówił wesoły chłopak do towarzyszków — u was w obozie

jak w klasztorze, a zakonne rycerstwo krzyżackie pewnie się tak nie modli i tak ściśle jak wy godzin nie pilnuje.

— Za to nas w czambuł poganami nazywają! — od- powiedzieli śmiejąc się towarzysze.

Trzeciego dnia stary sługa, którego z sobą ów młokos przyprowadził, z noclegu zniknął. Nie można wiedzieć było, czy się gdzie zabłąkał i zważszy został zabity, o co nie było trudno, czy zatęskniwszy, do domu uszedł.

Chłopak nie zdawał się tym bardzo dotknięty, drugiego sobie ciura nająwszy, aby mu koło konia chodził.

— Stary Żmudzin — rzekł do towarzyszów — zanudził znać, że nie miał się z kim rozmówić, może do domu drapnął, a innego mi w swe miejsce przyśle. A że nie było komu już pieniędzy, które z domu zabrało pacholę, pilnować, Teodor zaniósł je Brochociemu prosząc, by je przechował. Trzos był ciężki i pan Andrzej poważwszy go na dłoni rozśmiał się.

— Opatrzny z waszeci chłop — rzekł — matusię dobrze skrobnałeś, ale tego na wyprawę nie będzie nadto, gdy konie zaczną zdychać.

Stanął obóz pod Jeżowem, gdy dano znać, że Węgrowie przybywają o pokój traktować. Rozeszła się wieść po wojsku błyskawicą, a że Teodor był ciekawy wszelkiej nowości, wprosił się z drugimi popatrzeć ku królewskim namiotom.

Wojsko zalegało przestrzeń tak ogromną, że jej okiem objąć nie było można.

Królewskie obozowisko stało na boku wzgórza, gdzie i kaplica, i Witoldów namiot, i pisarze pańscy, i co przedniejszego się gromadziło.

Wjechali panowie węgierscy wiodąc z sobą Ślązaka, Jerzego Gersdorfa, który u Krzyżaków gościł, a miał polecenie rozpatrzyć się w wojskach i sile Jagiełły.

Teodorek z towarzyszami poskoczył ku drodze, kędy panowie jechali, ale Gersdorfa zobaczywszy cofnął się rychło i za innych skryć usiłował. Poczęli zeń żartować, że się brody Ściborowej uląkł. A co dziwniejsze, Ślązak ów zobaczywszy chłopaka, jak osłupiały stanął. Pomimo że się chłopię zasłonić starało, podjechał ku niemu wpatrując się bacznie.

Z początku się to zdało dziwne towarzyszom, lecz Teodorek im szepnął, że Gersdorf znał jego rodzinę i, zamyśliwszy się, postąpił odważnie naprzeciw.

Węgierscy panowie szli do namiotu króla. Ślązak pozostał z oczyma w chłopaka wlepionymi.

Na ostatek zbliżył się ku niemu.

— Skąd wy, z przeproszeniem? — spytał — i co za jedni?

— Z pocztu pana Andrzeja z Brochocina — rzekł chłopak uśmiechając się

— dlaczegóż to pan pyta?

— Twarz mi się waścina zbyt podobna do znajomej wydaje, ale małoż to do siebie podobnych?

— A pewnie — rzekł chłopak podchodząc do Gersdorfa i przeprowadzając go ku namiotom. — Z pozwoleniem Miłości Waszej, do kogóż to we mnie widzicie podobieństwo?

Gersdorf się rozśmiał.

— Nie mogę wam tego powiedzieć, bobyście się, młody rycerzu, pogniewali na mnie.

Gersdorf był człek chytry i przebiegły, z oczu mu to patrzyło; udawał

towarzysza obojętnego panów węgierskich, a oczyma chciwie na wsze strony rzucał, więc też rad był może, iż chętnego młokosa złapał, aby z niego co wyciągnąć.

Chłopak równie zdawał się z tego zadowolony, jak to u młodzieży nie nowina, byle świeżą zawrzeć znajomość.

Rozmawiając odeszli nieco od stojących kup, co się ciekawie przypatrywały wjazdowi posłów.

— Wasza Miłość, panie Gersdorf — rzekł zwawo chłopiec, gdy

dosłyszany już być nie mogli.

— A skąd o mym nazwisku wiecie? — spytał zdumiony Ślązak.

Teodor się uśmiechnął figlarnie.

— Gdzieś tu w tłumie mi ktoś je powiedział. Wasza Miłość ciekawi pewnie jesteście naszej potęgi. Jak mrowia nas tu. Wszak ci do króla nie pójdziecie, chodźcież za mną.

— Dokąd? — zapytał Ślązak.

— Niedaleko — rzekł chłopak wskazując wzgórze — z wierzchołka tej

wyniosłości będziecie mogli jeśli nie policzyć, to choć okiem objąć ten lud, który idzie z nami. Myślicie, że drugie tyle będą go mieli Krzyżacy?

Gersdorf milczał niedowierzająco. Chłopak, który się już z obozem zapoznał, powiódł go między namiotami, sunąc się przez lud i konie, przeciskając zręcznie, aż na sam wzgórze wierzchołek. Tu dla upałów nie rozbijano namiotów, więc przestrzeń znaczna dosyć, piaskiem i jałowcami okryta, pusta była. Stanęli na niej tak jakby byli sami.

Widok, jaki się z góry przedstawiał, najbardziej oswojonego z rycerskimi pochody i wojnami mógł wprawić w zdumienie. Było to jedyne miejsce może, z którego rozlane na niezmiernej płaszczyźnie obozy obejrzeć było można. Równina ku stojącym w dali lasom ciągnęła się jak okiem sięgnąć i jak wzrok sięgał cała była ludem usłana.

Gersdorf ręce załamał. Widać stąd było tabor królewski, Mazurów,

obozowisko Tatarów i Rusi; namioty, szałas, ognie, pasące się konie, utkwione w ziemię spisy ze znakami, wiechy, złożone w kupy długie kopie polskiej jazdy, całe sznury wozów z kulami, żywnością i zapasami.

Gersdorf odwrócił się w drugą stronę i zewsząd ujrzał to niezmierne mrowisko okalające górę, z którego głuchy szmer, kiedy niekiedy okrzykami przerywany się unosił.

W ogromnej dali widać było kupy konne, które się rozbiegały ku lasom i nikły w pyłu tumanach. Kilka krzyżów błyszczących, wetkniętych nad namiotami, oznaczało kaplicę króla ogromną, Wojciecha z Kraszewa — biskupa poznańskiego i innych chorągwi.

Majestatyczny widok ten dwukroć stutysięcznego ludu, stojącego niemal już na granicy dla obrony swej ziemi od najazdu, zamknął usta Gersdorfowi. Stał

osłupiały.

Towarzyszający mu chłopak przerwał nagle milczenie głosem drżącym:

— Nie pytajcie mnie — zawołał — ani kto jestem, ani co tu robię, ani się domyślajcie nawet; dosyć wam wiedzieć, że życie i cześć stawił, aby Zakonowi służyć.

— Zakonowi. — zawołał Gersdorf cofając się — co mówisz?

— To, co słyszycie, wy także mu służycie — dodał żywo chłopak.

Dlatego was tu pierwszego przywiódł, abym wam tę potęgę ukazał. Słyszałem, że wielki mistrz lekko ją sobie waży, iż ją tłumem nędznym nazywa. Patrzcież dobrze, byście mu sprawę zdali.

Gersdorf podwójnie zdumiony, i widokiem, i mową, przyjść do siebie nie mógł.

— To nie zwykła wojna, co się kończy grabieżą i spaleniem kilku wiosek —

podchwycił Teodor — to szarańcza, co leci na ziemie Zakonu i żdźbła na nich nie zostawi.

Gersdorf się wstrząsnął.

— Ale kto ty jesteś, chłopcze?

— Na co ci to wiedzieć? — smutnie się uśmiechając dodało pacholę —

zanieś tam wieści, które już i z innych stron odebrać musiano. Ale czy im Zakon uwierzy? Policz oczyma, ile to tu tysięcy ludu? jaka to nawała stoczy się na krzyżackie kraje. Macież wy tyle, aby stanąć przeciw nim murem?

Ślązak wciąż patrzył oczyma chmurnymi.

— Naszych stu zakonnych braci — dodał — popędzi tych tysiące, zbroi nie mają, żelaza im braknie i.. serca!

Chłopak się począł śmiać, ręką wskazał na prawo, gdzie się zwijała i warczała dzicz tatarska.

— Tam może — rzekł — to dzicz, ale chciwa łupu i mnoga, a tu — odwrócił

się w lewo ku rycerstwu polskiemu, którego zbroje świeciły w słońcu — i serca, wierzajcie mi, są, i koncerze, i zbroje.

Dziwna ta rozmowa pacholęcia, któremu się coraz baczniej przypatrywał

Gersdorf, byłaby się dłużej przeciągnęła, gdy na wzgórzu nadbiegli ludzie z pocztu Brochockiego i otoczyli Ślązaka i Teodora.

— Tam — rzekł jeden — szukają was, Miłościwy Panie, na obiad do króla, do którego i panowie Węgrowie proszeni.

— A traktowanie? — spytał Gersdorf.

— W wojsku słyhać, że król je kilku słowy odprawił; więcej nic nie chce, jak zwrotu ziemi dobrzyńskiej i Żmudzi, a za ubytki — co Zygmunt przysądzi.

Zamilkł Gersdorf, skinął swojemu towarzyszowi ręką i począł schodzić ku namiotom królewskim.

Młodzież na wzgórzu pozostała ciesząc się wojsk widokiem, w których ruch wielki panował. Szczególnie na prawym skrzydle u Witolda kręcili się ludzie, bo ich ze zmieszanych kup dobierano i ustawiano w szeregi, dzielniejszych na przedzie, słabszych za nimi. Rozdawano znaki, do których się kupić mieli i z dala widać było na tykach rozwijające się różnobarwne chorągwie, malowane w bramy, pogonie i słupy. Każdą z nich witał lud okrzykiem, który się po obozie rozlegał.

Jeszcze stali na pagórku, wpatrując się w ten widok, gdy już obiad się znać w namiocie Jagiełły skończył i wszystko z niego ciągnęło na toż samo wzgórze.

Chciał

król, nie tając swej potęgi, pokazać ją panom węgierskim.

Główny wódz tych sił szedł w szarym swym płaszczu i kapeluszu ze słomy, wydając się pośród orszaku jednym z ostatnich; ale na twarz jego, gdy wstąpił na wzgórze i objął oczyma okolicę, wystąpił rumieniec i uśmiech.

Węgrowie obaj i Ślązak w ponurym milczeniu stali.

Stał też nieco opodal miecznik krakowski, Zyndram Maszkowski, herbu Słońce, jeden z najdzielniejszych rycerzy i dowódców, który samego króla w dowództwie zastępował. A gdy obejrzeli wkoło obozowisko, skinął nań Jagiełło dając mu znak. Małego wzrostu, ale krzepki i

wejrzenia bystrego człek, ledwie postrzegł rękę króla wzniesioną do góry, wnet z pagórka schodzić zaczął. Poniżej stali z różnych chorągwi ludzie, trębacze i oboźni.

Zyndram powtórzył ów znak i naraz ozwały się naprzód u stóp góry, a potem dalej i dalej po obozie całym, jakby głosy sobie podając, trąby i bębny na trwogę...

Wszystka ta fala głów ludzkich, jak morze wiatrem nagle wzdęte, poruszyła się, zakipiała. Widać było kupy biegnące do koni i rozpierzchłe tłumy zbijające się w szeregi, w górę podniesiono znaki, co żyło skupiało się przy nich. Zagrzmiały hasła ziem i rodów, gwar ogromny rozniósł się w powietrzu. Był to znak na trwogę dany, aby Węgrom pokazać, jak też to wojsko, które Krzyżacy hałastrą zwali, ładu i porządku pilnować umiało. Jagiełło stał i nie upłynęło kilka pacierzy, gdy u stóp wzgórza zaczęły przeciągać już w ściśnionych szeregach chorągwie, witając króla.

Mogli Węgrowie napatrzeć się na zbroje i hełmy, i kopie, i miecze, rozliczne znamiona i rosły a barczysty lud idący z dzielnością wielką.

Przeciągały tak jedna po drugiej chorągwie i pułki, a posłowie milczeli.

Ścibor miał w ręku długą brodę. Gersdorf wyciągał palce, które mu w stawach trzeszczały.

— Najjaśniejszy Panie! — ozwał się wreszcie skłaniając głowę przed Jagiełłą — widzimy już, jak wielka jest twoja potęga, i że jej się lekceważyć nie godzi, niechże ona ku chwale Krzyża obrócona będzie, a nie przeciw niemu!

Godziż się ją słać na Zakon Chrystusowy:

— A godziż się Zakonowi Chrystusowemu zabierać cudze ziemie? — odparł

król krótko. — Jam człowiek prosty, ale mi co dzień kapłani ewangelię czytają; nigdzie w niej nie znalazłem, aby Zbawiciel nie tylko nakazywał, ale dozwalał

najeżdzać spokojne kraje i krew niewinną rozlewać-

Zamilkł Gersdorf i inni. Słońce zapadające już, jaskrawo oświecało najwspanialszy widok, który raz w ciągu wieków ziemia ogląda. W milczeniu uroczystym stał król posepny niemal. Pomimo własnej jego potęgi, tajemnicza, nieobliczona Krzyżaków moc trwożyła go jeszcze. Nie wierzył sobie, w świeżo nawróconym sercu budziła się trwoga, aby Bóg chrześcijan nie mścił się za tych, co się zwali dziećmi Jego.

Długo trwało wojska ciągnięcie, aż znużony król i dwór, i posłowie poczęli schodzić ku namiotom.

Był to dzień niedzielny i w kaplicach na nieszpór dzwoniono, chórem odzywały się pieśni do N. Panny.

Na całą noc śpiesząc puścili się posłowie, którym dano osłonę aż do granic.

Nazajutrz rano zwinięto obóz, który stać nie mógł ani czekać, i tabory sunęły ku Będzinowi nad Wkrę.

Tu się okazało, jak niezmiernie trudno jest tłumy utrzymać w karności, gdy je wojenny szal ogarnie. Witoldowi Tatarowie po swojemu rozpuścili zagony, mordując, paląc i niszcząc, bo im ktoś podszeptał, iż tę ziemię trzymali Krzyżacy. Wygnane z wiosek pożarem i mordem kobiety wpadły z jękiem do obozu; poruszyły się serca.

Książęta mazowieccy, do których owa ziemia należała, podnieśli krzyk i narzekania; poszedł do króla biskup Wojciech, zbiegło się rycerstwo oburzone grożąc, że pójdzie precz do domów, jeśli dzicz nie zostanie pohamowana.

W obozie stał się rozruch groźny. Biskup Jastrzębiec zbiegłym niewiastom i dzieciom namiot swój odstąpił, inni nieśli im chleb i słowa pociechy, pognano zaraz z rozkazu Witolda za rabusiami, uwolniono jeńców i obdarzonych do domów odprawiono.

Tu biskup Wojciech, nie chcąc patrzeć na obraz zniszczenia i mordów, jako mąż pokoju pożegnał króla i wojsko, któremu aż do granic towarzyszył i nazad ku domowi zawrócił.

Widok tłumów zbiegłych ze wsi okolicznych króla zaniepokoił. Spadła wina na Witolda i jego niesforne chorągwie, a w koronnym obozie nieprędko ukoilo się oburzenie.

Wojska wkroczyły za Będzinem w ogromną puszcę, która granic broniła.

Nietknięty ten las odwieczny cieniem swym przysłonił od upału i dał wytchnąć nieco.

Tuż leżała rubież krzyżacka i gdy się dęby rozstępować zaczęły, a pola i kraj ukazał nowy, król jadący z Witoldem, widocznie wzruszony, konia zatrzymał.

Jeszcze kroków niewiele, a rozpocząć się miała wojna z nieprzyjacielem chytrym, ostrożnym i wytrwałym.

Przed nimi rozwijała się równina wielka, zieleniejące pola pokryte gdzieniegdzie zaroślami i łąki.

Wodzowie i dwór skupił się cały przy Jagiełłę, była to chwila uroczysta.

Drożyna ledwie dostrzeżona dzieliła od nieprzyjacielskiego kraju. Rycerstwo hełmy wznosiło do góry z okrzykiem. Stały w szykach chorągwie i tu dopiero podniosły się nad nimi rozwinięte godła i znaki. Każdy z wodzów stawał na czele chorągwi, kapłani w komżach święcili je. Chorążowie wznosili je do góry, a rycerstwo klękało do modlitwy.

Królowi Jagielle podano chorągiew wielką z orłem. Wzruszony łzy miał w oczach powtarzając za kapłanem słowa, które razem z nim w tej chwili wojsko całe odmawiało:

„... W imię Twoje, Boże, w obronie sprawiedliwości i narodu mego,

chorągiew tę podnoszę. Ty, litościwy Boże! racz być obrońcą i pomocą mnie i ludowi mojemu, a krwi chrześcijańskiej niewinnie przelanej nie na mnie racz poszukiwać, ale na tych, którzy obecną wojnę wznecili i dotąd ją podniecają”.

Gdy po odmówionej modlitwie wstało rycerstwo, zanucono Bogarodzicę. Sto tysięcy ust śpiewało ją i zagrziała jak głuchy grom po dolinie, płynąc ku krzyżackiej ziemi.

Razem z innymi stanęło pacholę pana Brochockiego blade i wylękłe niemal.

Spojrzeli nań towarzysze, a pan Andrzej widząc twarz zmienioną i przypisując to znużeniu, ulitowawszy się chłopięciu, sam się zbliżył ku niemu.

— Co waszeci jest, młode rycerzanko? — zapytał — jeśli ci serca zabrakło, czas nazad do boru, dziecko moje. Dotąd szliśmy krajem swoim, od dziś wchodzimy w nieprzyjacielski; nie ma tu już żartów, a kto siły nie czuje, albo męstwa, lepiej pod strzechę niż na srom.

Teodorek się zarumienił i z bladego jak mur stał się czerwony jak wiśnia.

— Sromu nie uczynię — zawołał — ni sobie, ni wam, ale gdy zagrziała wojną i śmiercią, pomyślałem o krwi, która się lać będzie i serce mi się ścisnęło.

Dziko spojrzało chłopię na pana Andrzeja, który niewiele na oczy jego zważał. Poklepał go po ramieniu.

— Słyszę, że ci aż dwóch sług znowu przybyło? — zapytał — czy przywieźli ci dobre słowo od matki?

Teodor milczał chwilę.

— Matka nie wie o mnie — rzekł — ludzi mi nadesłał stary mój, co stąd uszedł.

— I znowu, słyszę, takich, co się z nikim rozmówić nie umieją, a, do kata, na Niemców wyglądają.

Chłopak zamilkł.

Wojsko z pieśnią i okrzykami ciągnęło dalej, a tu już niczym

niewpowściągnięte, chciwe oczekiwanych łupów tłumy Witoldowe rozlały się znowu po kraju.

Na noc stanęły wojska pomiędzy dwoma jeziorami, na piaszczystym błoni pod Ludborzem, a gdy słońce zaszło i mrok gęsty osiadł na ziemi, z dala na ciemnych niebiosach ze wszech stron poczęły się roztaczać łuny krwawe.

Wojna słała przodem swe gońce: paliły się wsie krzyżackie. Niekiedy przygasały te ognie, to unosiły się i kłębiły dymami czerwonymi ku górze, i zdawało się wśród milczenia nocy słyszeć jęki i płacze.

Nocy tej młode pacholę nie spało. Siadłszy przed namiotem, z oczyma wlepionymi w pożarne łuny, skamieniałe przetrwało do późna. Pan Andrzej obchodził swoją chorągiew, gdy dostrzegł chłopca, który zadumawszy się nie widział swojego dowódcy. Brochocki stanął i wlepił w niego oczy długo, aż zbliżywszy się po ramieniu uderzył. Przestraszony porwał się z iskrzącymi oczyma Teodor i

poznawszy starszego stanął w milczeniu.

— Co ci to dziś jest? — zapytał nadchodzący — wojna ci już dojadła, widzę nim się poczęła? Nie w swoją się rzecz wdałeś, dzieciaku. Spać do namiotu! I chłopak zniknął, wsunąwszy się szybko za płócienną ścianę.

Lecz nocy tej połowę obozu też snu nie skosztowało, a rano wielkim się rozruchem zwiastował. Tatarska dzicz wyrwała się była przodem, aby pierwsze łupy pochwycić.

Do dnia przyszła wieść do Zyndrama Maszkowskiego, któremu król zdał nad całym wojskiem władzę, że Tatarzy okrutnych gwałtów dopuszczali się w okolicy.

Rabowano kościoły, znieważono hostię, trupami dzieci i niewiast zasłano gościńce; na przebudzenie Jagiełłę przyszedli zwiastować pobożniejsi rycerze, iż w wojnie takiej, obawiając się pomsty Bożej, służyć nie chcą. Król pobladł załamując ręce.

Posłano do Witolda. Zebrała się rada, niepokój wielki wszczął się w obozie.

Opowiadano straszliwe dzieje nocy, a tuż, nie poczuwając się do grzechu, nadciągać zaczęli Tatarzy, na postronkach ciągnąc lud okrwawiony, do siodła i wojłoków poprzywiązywane wioząc kielichy i sprzęty kościelne. Jeden jechał w ornacie na ramiona narzuconym, na głowę włożywszy misę srebrną kościelną, inny omdlałą dziewczynę przewieszoną przez konia uwoził.

Na ten widok wrzask zgrozy się podniósł okrutny, obstąpiono Tatarów, przypadł Witold. Wojsko stało na skraju starego lasu, z którego kilka dębów osamotnionych tylko sterczało wśród obozowiska. Poruszenie rycerstwa było tak groźne i wielkie, iż je tylko doraźna a straszna sprawiedliwość uśmierzyć mogła.

Książę Witold podjechał sam z przyboczną strażą ku pędzonym i

przestraszonym już wrzawą, jaka ich witała, łupieżcom. W mgnieniu oka ściągnięto ich z koni. Tłum rycerstwa otoczył hołotę drżącą; nie było rozpraw długich, bo Witold czuł, że na nim ciąży wina tych zbytków.

Dwom najwinniejszym wystąpić kazał. Całe wojsko patrzyło. Ściąć nie było ich komu, powiesić najnędzniejszy ciura nie miał ochoty, aby rąk nie pokalać.

Ogromna gałąź dębu, zwisała nieco, stała nad ich głowami. Witold kazał im rzucić sznury.

— Na gałąź zbójcy! — zawołał.

Z pośpiechem niezmiernym dwaj Tatarzy z ziemi podnieśli sznury i wiązali już pętle. Witold stał.

— Prędzej! — krzyknął podnosząc rękę.

— Prędzej! słyszysz? — powtórzył jeden z winowajców do drugiego —

prędzej! Widzisz jak książę gniewny. Anu, prędzej...

To mówiąc pierwszy z nich pętlę założył na szyję siadłszy na gałęzi, skoczył w dół i zawisł. W tejże chwili, drugi nie dając się wyprzedzić, sznur ściągnął, rzucił się — wisiał. Reszta leżąc na ziemi błagała o życie.

Milczenie głucho objęło obozy.

Na ramiona towarzyszków wspiąwszy się młody ochotnik patrzył na ten obraz zarazem dziki, dziwny, śmieszny i okrutny; w chwili gdy winowajcy na sznurach okręcając się dogorywali, zakrył sobie oczy i jak na wpół omdlały osunął się na ziemię. Inni się śmiali.

Szczęściem, tej chwili słabości pacholęcia nie widział nikt, a chłopak mógł się znowu wcisnąć ukradkiem do namiotu, nie będąc postrzeżonym.

Jeszcze leżało wojsko na granicy, król zdawał się ociągać; czuł, że wszystko ważył: koronę, życie, kraj.

Codziennie wysyłani szpiedzy donosili, że krzyżacki obóz stał w pogotowiu nad Drwęcą, że siła w nim była niepoliczona, że wszystkimi językami ziemi mówił

z całego świata pościągany żołnierz krzyżacki, że ze wszystkich grodów co było dział pościągano, że kuł kamiennych leżały góry, że brzegi rzeki ostrokołami obwarowano. Siano zawczasu w wojsku trwożę. Nie można było dośledzić, kto wieści przynosił, kto je po wojsku rozsypywał, a z każdym dniem rosły baśni o niezmożonej potędze Zakonu.

Mówiono o przysłanych z Jeruzalem relikwiach wielkich, które im zapewniać miały zwycięstwo.

W wieku tak wiary pełnym przerażała więcej ta siła nieobliczona, ta niebieska potęga niż tysiące zbrojnego ludu. Jagiełło dumiał posępnie, ale nie czas było się cofać ani wahać. Pokój był niemożliwy i sromotny, należało zginąć, lecz trzeba było walczyć. Witold, który Krzyżaków znał dobrze, dodawał serca.

Następnego rana do namiotu pańskiego zwołano radę.

Komu nad tym ludem, jakiego te ziemie nie widziały, dać dowództwo?

Słyszeli naówczas Czesi i Morawianie z umiejętnego ciągnięcia i zakładania obozów, król niemal pragnął oddać jednemu z nich dowództwo naczelne.

Słońce wschodziło, gdy z namiotów swych w pół-zbrojach poszli na

zawołanie przedniejsi panowie, a na czele ich książę Witold, najdzielniejszy i na j wprawniejszy ze wszystkich w wojnie z Krzyżakami, z którymi to się bił, to przyjaźnił od dzieciństwa.

Lecz Witold rady i zarządzania takim ludem nie chciał się jąć, miał dosyć, by swoich utrzymać i nimi dowodzić.

Szedł tedy za księciem Zyndram Maszkowski, miecznik krakowski, człek mały, szpakowaciejący, silny i bystrego wejrzenia, na którego już wszyscy niemal jak na wodza patrzyli.

Szedł Krystyn z Ostrowa, kasztelan krakowski, żołnierz niepośledni i człek powagi wielkiej; i Jan z Tarnowa Leliwita, z rodu, który się sławił rycerską sprawą i jej jednej pilnował, ale w radzie też głową najmędrszym sprostał; i Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, do dowództwa nawykły; i Mikołaj z Michałowa Sandomierski; i Mikołaj, podkanclerzy, mąż do pióra, rokowania i rady w zawikłanych sprawach zdolny; i marszałek królewski, Zbigniew z Brzezia; i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły, podkomorzy krakowski.

Kołem stanęli około króla, który siedział na stołku jeszcze, bez zbroi, a frasobliwą miał twarz, jaką prawie przez cały ciąg wyprawy zachował.

Powitał ich Jagiełło ręką.

— Posłaliśmy — rzekł — raz ostatni zapytać panów węgierskich, azaliby była jaka pokoju nadzieja; pojechał Piotr Korcbog, ale żeby przywiózł co dobrego, wątpię.

— Miłościwy Panie — wtrącił Jan z Tarnowa — najgorszą by nam uczynił

przysługę, gdyby pokój zwiastował. Teraz, gdyśmy się na wojnę wybrali jako nigdy jeszcze, raz skończyć potrzeba. Cóż po pokoju, który oni łamią, gdy im będzie dogodniej?

— A jednak z Krzyżem walczyć nie chcę — odezwał się król.

— I z Krzyżem my się bić nie będziemy, ale z Niemcem, a to jest wróg przysięgły rodów słowiańskich, których ziemię zajął, wytepił z niej ludzi i tępić ich nie przestanie, dopóki żyw.

Jagiełło ręką milczenie nakazał.

— Radźcież, waszmość, ilu was tu jest — rzekł — bo ja na moją głowę losu tych wojsk brać nie chcę. Radźcie i prowadźcie.

— Nielatwo to — odparł Zyndram — ale porządku trzeba i surowości. —

Stoimy już niemal przed nieprzyjacielem — wtrącił Sędzi woj.

— Czuć go, jeśli nie widać! — rzekł Witold. — Dotąd szliśmy własną ziemią i godziło się dać trochę swobody ludziom, teraz by ona była zgubną.

— Nie ma ładu, gdzie nie ma głowy jednej; dziesięć rozkazów, gdyby najlepsze były, zamęt sprawią,

jednego trzeba, aby wiódł i rozkazywał. Temu ja władzę zdam chętnie.

Spojrzał na stojących, wszyscy też po sobie patrzyli, ale każdy drugiego oczyma wskazywał.

— Zdaniem waszym, czyjeż tu dłoni cugle zwierzyć? — zawołał król i popatrzył na miecznika krakowskiego.

Wszyscy zgodnie też oczy zwrócili ku Maszkowskiemu.

— Tak jest, dał dowody, że rozumie sprawę; niech rozkazuje — rzekł król rękę ku niemu wyciągając.

Chciał się wymawiać miecznik, ale mu słowa rzec nie dano.

— Rozkaz pański! — rzekł Jan z Tarnowa — usłuchać go i milczeć trzeba!

— Jednej tu głowy za mało, by wszystkiemu podołała — odparł Zyndram —

ja nie wodzem, ale panów Rady ręką prawą będę.

— Słusznie — rzekł Jagiełło — niech wszyscy radzą, niech jeden wykonywa.

— Księżciu Witoldowi to przystałoby — odezwał się Zyndram.

— Nie — odrzekł Witold — panowie koronni złym by na mnie okiem patrzyli, a ja mam dosyć moich bojarów, by ich w ryzie trzymać.

— Radźcie nie zwłócząc — rzekł król.

— Pierwsza rzecz — zawołał Zyndram — ład... jeszcze go nie mamy.

Trzeba surowe rozkazy po wojsku otrąbić, aby nikt nie śmiał samowolnie ruszyć z obozu, ani się na swą rękę wrywać, dopóki by hasło nie było dane: gdy marszałek Zbigniew z Brzezia chorągiew królewską podniesie.

— Trąbi i hasła daje, komu się zamarzy — przerwał Jan z Tarnowa —

niechże tego nadal nie będzie, niech nie śmie nikt, oprócz trębacza królewskiego, dawać znaku.

— Nie może być, aby jedno trąbienie starczyło — mówił Zyndram — trzy trąbienia ustanowić należy. Na pierwsze zagranie o świcie, a choćby i nocą na trwogę, aby się wszyscy mieli do koni i zbroi; na drugie niech siodłają konie i zwijają namioty, a za trzecim hasłem rycerstwo w gotowości być ma do ruszenia.

Na to się wszyscy zgodzili.

— Nikt z nas tych pruskich ziem nie zna lepiej — dodał Zyndram — nad wielkiego kniazia Witolda, który je stokroć wszere i wzdłuż przerzynał.

— Alem pamięci nie pewien i sobie nie wierzę, gdzie o powodzenie dwustu tysięcy ludu idzie — odezwał się Witold — trzeba przewodników.

— Tych mamy — rzekł Zyndram — wcześnieśmy się o nich postarali.

— Co zacz są? — spytał Jagiełło.

— Prości ludzie: Trojan z Krasnego Stawu i Jan Grunwald, wójtowie parczowscy, obaj z Prus rodem.

— Niech ich tu przyprowadzą — rzekł Jagiełło — często z oczu ludzkich więcej się dowiedzieć można niż z powieści.

Podszedł tedy Zyndram do płotka w namiocie i uchyliwszy go dał znać służbie królewskiej, aby onych Prusaków przywiedziono.

Cicha rozmowa wiodła się między panami, gdy podniesiono zasłonę i dwóch z prosta ubranych, w kapotach, mężczyzn z ogorzałymi twarzami, z długimi włosy wprowadzono przed króla. Ci od tego poczęli, że do nóg mu upadli.

Zaczął im tedy mówić podkanclerzy, ksiądz Mikołaj, o wielkich

obowiązkach, jakie na siebie brali, o wielkiej zasłudze lub wielkiej winie, na jakie zarobić mogli.

— Żadnemu z was chleba na starość nie zabraknie — odezwał się król —

byle służba wierną była.

— Miłościwy Panie a Ojczy — rzekł śmielszy Trojan — obajśmy, Janasz i ja, rodem z tych krajów, obaj je znamy, przeszedłszy nieraz pieszo, tak że każdą rzeczulkę i ścieżynę, i bór, i kałużę po nocy znaleźć możemy; a resztę Bóg miłościwy zrządzi.

Kazano im tedy zaprzysiąc zaraz na krzyż i ewangelię przed księdzem podkanclerzym na wierne służby, co też uczynili, i w gotowości być dniem i nocą dla wskazywania drogi. Tu obradzono i obmyślono też dalszy pochód ku Drwęcy, bo nikt już ścierać dłużej nie chciał dla samego żywienia tak wielkiej wojsk liczby, co niełatwo przychodziło.

Kędy przeciągnęły te tłumy, końskie zęby i kopyta nie zostawiły ani trawki, studnie stały suche, a żywności naokół kęska by nie znalazł. Więc w imię Boże iść, a wojnę rychło kończyć było potrzeba. Król jeden jeszcze się na panów węgierskich oglądał; w innych gorzały już dusze do boju.

Tego dnia na noclegu pacholę królewskie, jeden z najulubieńszych jego, Janko Dobrek, który od dni kilku, dochwyciwszy się wody zgrzany, zachorzał

mocno, w gorączce wielkiej na noclegu zmarł, z żalem wszystkich.

Sam Jagiełło dowiedziawszy się o tym, za złą wróżbę znowu to wzięwszy, wielce był markotny. Jankowi mogiłę usypano za obozowiskiem i biały krzyż naprędce wystrugany na niej zatknięto.

Poszedł Jagiełło sam oglądać poczty i ludzi, szczególnie co przedniejsze chorągwie, kiedy już ruszać miano i wszyscy na koniach siedzieli. Zdała widzieć wojsko niczym jest, jak mrowie wygląda i bucha życiem, lecz z bliska oglądać, w oczy zajrzeć, w twarze i czoła, dopiero po nich ducha poznać i wróżyć można o wojnie.

Tego chciał Jagiełło, a wielu też z rycerstwa radzi byli pana bliżej powitać i słowo od niego posłyszeć.

Tak się rozpatrując, nadszedł król do pocztu pana Andrzeja z Brochocina, którego dawno i dobrze znał, a liczył go do tych, którym najwięcej ufał. Stali ludzie jego dobrze zbrojni i dobrani, młodzież dziarska, a między nimi krył się i ów Teoderek z Zaboru, znać wstydząc się swojej młodości. Ale trafiło się tak, że drudzy, ustępując, obnażyli go i królowi w oczy wpadł, schować się nie mogąc.

Zdumiał się czegoś bardzo Jagiełło zobaczywszy go i splunął.

— A tegoś to skąd wziął? — pytał wskazując na chłopca.

— Ten mi się, Miłościwy Panie, przyplątał sam, ochotnikiem, a radbym się go był pozbył, ale się odpędzić nie dał. Dzieciak to i do niczego, w wojnie się chyba przyuczy.

— Skąd jest?

— Ani go dopytać.

Skinął pan Andrzej, aby z konia chłopak zsiadł i do stóp królewskich przyszedł, choć król mu się do siebie zbliżyć nie dał.

Rad nierad zsunął się chłopak z konia i stanął zarumieniony.

— Osobliwe podobieństwo — odezwał się Jagiełło — albo niegodziwe

czary. Spytajcie go, czy siostry nie ma?

Pytanie to posłyszawszy, pacholę szybko odparło, iż siostrę ma i że do niej wielce jest podobnym, a siostra jego na dworze księżnej Aleksandry Mazowieckiej pod tę porę być musiała.

Dopiero się król uspokoił i uśmiechnął, a w chłopca dziwny jakiś duch wstąpił, iż zamiast nieśmiało stać, Jagiełłę w oczy wprost z natarczywością dziecinną patrzył.

— Zginie to gdzie marnie w ciężkim pochodzie — rzekł pan Andrzej — ale samo sobie winno, gdy mu się przedwcześnie rycerzem być zachciało.

— Do domu wracać za późno — odezwał się chłopak śmiało — może mi we zbroi za ciężko, a w lada służbie niemiło, lecz gdyby król, pan miłościwy, przy swej osobie raczył mi dać przytułek, wiernie bym służył.

Wszyscy się temu zuchwałemu żądaniu i prośbie niezmiernie zdziwili; spojrział Brochocki, inni uśmiechali się. Król zdawał się nie rozumieć zrazu, dopiero, gdy mu

Brochocki powtórzył, śmiejąc się, to życzenie, jakby namyślać się począł.

Na dwór królewski niełatwo dostać się było niewypróbowanemu; myśleli więc, iż Jagiełło zbędzie go niczym, gdy popatrzywszy nań bacznie odezwał się:

— Odeślijcie go marszałkowi, szkoda dziecka, jeśli z niego co może urosnąć.

Skłonił się do stóp pańskich, niepomiernie uradowany chłopak, na konia skoczył, na ludzi swych mrugnął i zajechawszy za szereg a pożegnawszy dowódcę, który go też rad się pozbywał, pośpieszył do dworu królewskiego. A że już obóz miał się ruszać do dalszego pochodu, marszałkowi się przedstawivszy, pacholę za dworem, który nań cały koso patrzeć poczynał, w milczeniu ciągnęło od Ludborza o mil dwie ku jezioru wielkiemu Rupkowu i Kurzętnikowi.

Lipcowe upały i spieka, która w tym roku zdawała się większa niż innych lat, wielce pochód utrudniała. Mdleli ludzie i padały konie od znoju. Zbroi nikt w pochodzie udźwignąć nie mógł, bo żelazo i przez kaftany piekło. Wieszano więc ją na koniach, składano na wozy, a innym i suknie ciężły, i koszuli było zanadto.

Gdy się nad wieczorem ukazało jezioro, do onej wody śpieszyło wszystko, konie i ludzie, jak do zbawienia. Lecz tu już samopas iść, ani się bezpiecznie wrywać nie godziło. Krzyżacy stali w niewielkiej odległości nad Drwęcą, tak że na drzewo wlaższy dostrzec już było można obozy i ostrokoły.

Ledwie namioty u jeziora rozbijać zaczęto, gdy panu Brochockiemu, który był tylko co z konia zsiadł, dał znać jeden z jego ludzi, że Krzyżacy nieopodal konie pławią i że tam już garść ochotnika na nich się zbiera. Nie zważając więc na surowe rozkazy, na powrót konia, zbroję wdziawszy, dosiadł pan Andrzej i puściło się cwałem co było gorętszych, tak że ich już ani wołanie, ani trąba wstrzymać nie mogły. Król tylko co był rozdziewać się począł, gdy się to stało. Rycerstwo, które samo nie zdążyło do harcowników przyłączyć się, powłaziwszy gdzie kto mógł, patrzyło, lecz tuman kurzu wprędce kupkę tę oczom zasłonił. Drudzy też jeść siedli i spoczywać.

Słońce zaszło było i upał nieco ustawał, gdy nagle krzyk i trąbienie na trwogę cały spoczywający tabor jak piorunem poruszyło. Jak to bywa w zgrai wielkiej, gdzie niewiele widać, a z ust do ust podają sobie słowo, każdy doń coś swojego przyczyniając, gruchnęło: — Krzyżacy!

Konie były rozsiodłane, ludzie porozbierani; kto jak stał, dopadłszy miecza tylko, w mgnieniu oka prawie siedział już na swoim; ale zamęt wszczął się niewysłowiony, który mrok pomnażał: swoich nie rozpoznawali swoi, trącano się i łajano, nim starszyzna ład krzykiem i trąbą wprowadziła.

Król też, jak stał w białym żupaniku, z namiotu wyszedł dopytując, co się działo i rozsyłając gońców na wsze strony. Nikt dobrze nie wiedział, co było przyczyną popłochu. Od strony tylko krzyżackiej wielki pyłu i kurzawy kłęb się wznosił, który się napastniczym wojskiem wydawał.

Dopiero w chwilę przybieżono królowi dać znać, iż Brochocki z innymi na konie przedniej straży krzyżackiej napadłszy, rycerzy z nich zwaliwszy, pięćdziesięciu ich zabrał i prowadził. Zmieniła się tedy trwoga w radość, a pan Andrzej ze swymi konie przed namiot prowadził, jako pierwszą zdobycz na nieprzyjacielu. Cieszono się z niej pomieranie, bo nie tyle konie warte były, ile popłoch mógł zaszkodzić przedwczesny. Lecz co się stało, przyjąć trzeba było za dobre.

Wybiegł z królewskimi dworzany świeżo do służby zaciągniony Teodorek, a kto by go był widział, jak się owym koniom przypatrywał i oczyma wodził po tych, co je przywiedli, łącznie by się w nim żalu i gniewu, niż radości domyślił.

Tu znowu radzono w nocy, jak sobie począć wypadało. Czekano na powrót Korcboga, lecz już w pokój nikt nie wierzył; od obozu dostano języka, iż nad Drwęcą przeprawy broniąc Krzyżacy ostrokoły pobili i zza nich mogli się ostrzeliwać; postanowili więc wodzowie i przewodnik Trojan, aby spod Kurzętnika wrócić do Ludborza i stamtąd próbować wkroczyć, kędy mniej się obrony spodziewano.

Nocą wyszli szpiedzy na wsze strony. Obóz się uciszył i legł, straże tylko przednie jedne i drugie czuwały dokoła i ludzie do trzymania porządku wyznaczani.

Wieczorem spodziewano się z powrotem Korcboga, ale go nie było, ani żadnej innej od Węgrzynów wieści. Jagiełło ze zwłoki wnosił, azali do pokoju się nie skłonią; drudzy Boga prosili, ażeby im rozumu tego nie dał.

W falach jeziora odbijały się gwiazdy i cisza była dokoła uroczysta, a wąski pas ziemi dzielił dwa obozy uśpione, które lada godzina jak lwy spać się miały i walczyć o śmierć lub życie.

Po drugiej stronie Drwęcy na błoni szerokim rozłożony był wspaniały obóz Krzyżaków. Na uboczu, panując innym, wznosił się namiot wielkiego mistrza, nad którym powiewała chorągiew z krzyżem jego podwójnym; na innych godła niemieckich książąt, baronów i szlachty, która przybyła w pomoc Zakonowi. Nieco opodal wozy z działami leżały jak wał straszny, paszczami zwrócone ku granicy.

Ponad rzeką widać było naprędce rozszczepionymi palami, które białym rdzeniem świeciły, obwarowane brzegi.

Tu chodziły straże jak na blankach murów zamkowych.

W namiocie mistrza Ulryka w godzinie rannej on sam tylko i podskarbi się znajdowali. Na twarzy rycerskiej mistrza, pomimo że go jeszcze nic zaniepokoić i zburzyć nie mogło, malowało się zniecierpliwienie, gniew i rozdrażnienie. Chodził

krokami wielkimi, myśląc. Podskarbi stał wpatrując się w niego.

— Straszą nas tą potęgą na próżno — zawołał Ulryk — znam ją, nie lękam się jej! Liczbą mnie chcą

przerazić, ona tylko popłoch, zamieszanie i ofiary powiększy. Kości rzucone.

— Tak, i rozegrać się trzeba z nimi — dodał podskarbi.

Zbliżył się do mistrza.

— Wczoraj powrócił nasz od Sarnowskiego, słowo jego uroczyste mamy, że się Czesi bić nie będą. Chcieliśmy skłonić ich, aby oręż obrócili na Jagiełłę w chwili stanowczej, ale się na to nie zgodzili. Dostyc, że miecza z pochwę nie dobędą.

— Jesteście Sarnowskiego pewni? — zapytał mistrz.

— Pieniądze wziął — uśmiechnął się podskarbi — i gdyby zdradzić nas miał, byłby się targował o napaść na Polaków, a przecie jej nie przyrzekł. Wnoszę więc, że co obiecał, spełni.

Tu podskarbi jeszcze bliżej do ucha wielkiego mistrza przystąpił.

— Tatarzy pierzchną — rzekł mrugając oczyma. — Wszyscy wodzowie ich kupieni, kilkunastu powiesić kazał Witold, łącznie nam przyszło ich zyskać. W

Witoldowym wojsku mamy swoich pełno, którzy pierwsi tył podadzą i innych za sobą pociągną. Z tego kilkadziesiąt tysięcznego tłumu noga na placu nie pozostanie. Ludzie do rzucenia popłochu dobrani najsprawniejsi, hasło dane; lewe nasze skrzydło w pogoń tylko poszedłszy, tył królowi zabierze, a z dwóch stron osaczony, zginie marnie! — Zatarł ręce podskarbi. — Nie rachuję na króla Zygmunta ani na węgierskie obietnice, ale na to, cośmy sami złotem naszym i rękami zgotowali. To pewniejsze. Nie dostyc na tym — kończył podskarbi uśmiechając się — w obozie króla, w jego namiotach, koło jego osoby mamy ludzi naszych, pacholęta, służbę, cudzoziemców kupionych i ponamawianych; mamy ich u boku Witolda, mamy u książąt mazowieckich. Któż wie — dodał — jeśli dla ocalenia Zakonu zadać będzie potrzeba co w napoju... i na to się ręce znajdą...

Wojsko bez wodza, mąż bez głowy, trupem jest.

Wielki mistrz zadrżał, ale nie odpowiedział nic.

— Ja wierzę w męstwo nasze i w relikwie świętych.

— I ja też — dorzucił skwapliwie podskarbi — ale to mi nie przeszkadza pracować i zabiegać.

Ruszył z lekka ramionami. Rozmowa przerwała się, gdyż komturowie i dostojnicy Zakonu schodzić się poczynali. Namiot, około którego stojące straże nikogo obcego nie wpuszczały, napelniał się coraz przybywającymi na radę zakonnikami. Wszyscy komturowie dowodzący oddziałami byli przytomni.

Ulryk zagaił radę.

— Posłowie króla Zygmunta do pokoju nas skłaniają — rzekł — straszą nas Jagiełły potęgą, przesadnie malują to wojsko złożone z niesfornego ludu. Prawda, że tłuszcza ta zalega przestrzeń

wielką, lecz nie wiemyż ich uzbrojenia i siły?

Wtem Lichtenstein, wielki komtur, przerwał:

— Wieziemy z sobą relikwie jerozolimskie — rzekł — one za sto tysięcy ludu starczą, a z nimi niezwyciężonymi jesteśmy. Pierzchnie ta ciżba i padnie, a naszym będzie staraniem, aby ich noga nie uszła do domu, aby nie było komu zanieść wieści o klęsce! Dość rokowań o pokój!

— Dość! — zawołał Schwelborn.

— Naród dziki, barbarzyńcę, nie znają umiejętności walczenia — rzekł

komtur głuchowski — co tu liczba znaczy? Działa nasze, relikwie nasze, broń nasza, przyjaciele... umiejętność wojenna, wszystko nam taką wyższość daje nad nimi, iż gdybyśmy w stu na tysiąc mieli walczyć, obawy mieć się nie godzi. Byłoby to zwątpić o Bogu, o sobie i o wszystkim, co za nami stoi, a co panuje światu! O

papieżu i cesarzu ... Wojna!

— Wojna! — powtórzyli wszyscy komturowie prawie jednogłośnie.

Dwóch starców na stronie, milcząc, stało; byli to komturowie von Wende gniewski i Hazfeid nieszawski. Mistrz spojrział ku nim.

— A wasz głos? — spytał.

— Co znaczą dwa głosy? — odparł von Wende. — Milczeć wolę.

Odwrócili się ku niemu inni, szczególnie Schwelborn, z gniewem i niecierpliwością.

— Wy więc inaczej trzymacie?

— Tak jest — rzekł Wende — radzę pokój, bo czuję zgubę.

Krzyk oburzenia powstał. Wende się cofnął zakładając ręce na piersi. Mistrz spojrział groźnie.

Wrzawa i spór byłyby może natychmiast powstały, gdyby zakonnik

wchodzący nie oznajmił, iż posłowie węgierscy pilnie się posłuchania i ostatecznej domagają odpowiedzi, dłużej na nią czekać nie mogąc.

— Stoją przed namiotem.

— Wpuścić ich — zawołał mistrz.

Komturowie, spoglądając po sobie, rozstąpili się,

Wende i Hazfeid stanęli na boku.

Wszedł Gara i Ścibor ze Ściborzyc, który choć zamieszkały na Węgrzech, jak imię jego oznaczało, pochodzenia był polskiego. Wielki mistrz uroczyście w tym otoczeniu całej Rady przyjął posłów Zygmunta.

— Po odpowiedź przychodzimy — odezwał się Gara — a radziibyśmy, ażeby była pomyślna dla nas i dla wszystkich. Skłońcie serca wasze do pokoju.

Wielki mistrz, nie mówiąc słowa, wskazał na marszałka Zakonu, który wystąpił naprzód.

— Zgodzilibyśmy się na pokój — rzekł — gdyby go od nas zawczasu

żądano, gdyby Jagiełło, nie na granicy stojąc z wojskami, wymóc go na nas pragnął. Jakże mówić dziś o pokoju, gdy wojna już jest rozpoczęta, część krajów naszych złupiona, łuny i zgliszcza, i krew o tym świadczą. Nigdy żaden z panujących nie śmiał się targnąć na Zakon z takimi siły, z taką zaciętością, a wy żądacie, byśmy pokrzywdzeni przyjęli pokój, jaki nam narzucają?

Zawrzemy pokój, ale wprzód pomścimy się orężem za łupiestwa, mordy i krzywdy. Wzajemnych naszych sporów i zatargów nikt nie może rozstrzygnąć, ani próżne słowa, ani choćby cesarska powaga, tylko oręż i wojna. Spustoszone ziemie nasze, krwią niech za to zapłacą!

Gara słuchał tych słów, w pośpiechu i gorącości wyrzeczonych, z

widocznym bólem i smutkiem.

— Losy wojny niepewne — rzekł. — Krzywdy z obu stron poniesione

zdajcie na rozjemców, przyjmijcie pośrednictwo króla rzymskiego, spróbujcie innych środków, nim się odwołacie do oręża.

Wrzawa i głosy zewsząd się odzywające nie dały mówić posłowi, który umilkł. Nieopodal stał milczący Wende.

Na niego spojrzawszy Gara zapytał:

— Wszyscy, więc i wy pałacie tą żądzą boju i zemsty?

— Ja nie — odparł komtur gniewski spokojnie. — Jestem stary, pamiętam wojen wiele, wiem, co krwawa wojna znaczy, umiem cenić błogosławieństwo pokoju; dlatego pragnę abyśmy, zapomniawszy krzywd naszych i ofiarując je Bogu, zdali się na układy. Ileż to razy stojące naprzeciw siebie zastępy mądre słowo wstrzymało i przejednało? Życzę pokoju! życzę! — powtórzył śmiało.

Krzykiem go zagłuszono.

Tettingen, komtur elbląski, i Schwelborn przypadli z podniesionymi pięściami do starca.

— Trzeba ci było, stary niedołęgo — zawołali — siedzieć w domu i chorych pilnować; do wojny się nie zdał, po coś tu przybył?

Wende stał spokojny niewzruszony.

— Przybyłem, abym z innymi walczył, gdy każą i padł, gdy potrzeba —

rzekł głosem wielkim — Rada moja była zdrową radą, pokój przenoszę nad wojnę; powtarzam, iż póki jest choć słaba nadzieja uniknięcia krwi chrześcijańskiej przelew, układy wolę niż rwanie się do broni. Tak jest, pokój radzę, pokoju pragnę, ale jeśli Bóg zawyrokuje inaczej, stanę mężnie i zginąć potrafię; patrzcie wy, byście z placu nie pierzchnęli, mimo waszego junactwa.

Tettingen wstrząsnął się cały i kłótnia groziła, gdy stary Ścibor ze Ściborzyc, dotąd milczący, mówić począł:

— I ja — dodał — starym jestem żołnierzem, walczyłem całe życie nie lękając się wojny, przecież nie odrzuciłbym pokoju, gdy jest możliwy.

Wielki mistrz odwrócił się ku niemu z szyderskim półuśmiechem.

— W waszych ustach tłumaczy się ta mowa — rzekł ironicznie — Polakiem jesteście, wiemy, że rodzina wasza z kujawskiej ziemi pochodzi; mówicie za swoimi, bo się o swoich lękacie, ale ani Zakon, ani ja nie zgodzimy się na pokój haniebny, nożem na gardle wymożony. Nie! Nie!

Ścibor się usunął nieco.

— Zdaje mi się — odezwał się — że nie dla Polski, ale dla was samych życzyłem dobrze i życzę; nigdy się nie godzi chrześcijaninowi zgody i pojednania odtrącać.

— Pozwólcie — odparł Ulryk ciągle szydersko — że i my też coś o obowiązkach chrześcijańskich wiedzieć musimy.

— Wychwalacie wszyscy potęgę Jagiełły — przerwał wielki komtur —

znamy ją; wiemy z czego urosła i co waży; ale wy nie znacie potęgi Zakonu, który po całym świecie rozciąga swe sieci, który od Jerozolimy sięga do Marienburga i za Dźwinę, który ma w Niemczech tysiące sprzymierzeńców, w królach obrońców i opiekunów, w najwyższym pasterzu głowę swoją. Z potęgą Zakonu żadna inna mierzyć się nie może. Niech Jagiełło drży: ziem, zabranych raz i zawojowanych w imię Krzyża, wydrzeć sobie nie damy, a za krzywdy musi nam nowymi ustępstwami zapłacić.

Merheim przyklasnął, inni wtórowali. Wielki mistrz dodał w końcu:

— O pokoju mowy już nie ma i być nie może, o czym innym radźmy! Król Zygmunt winien nam opiekę i pomoc, przyrzekł ją ...

— Tak — odparł Gara — lecz przysługa, jaką wam wyświadcza, warta

odwzajemnienia. Król potrzebuje tej sumy, o którą prosił.

— I wypowie wojnę królowi polskiemu? Macież listy wypowiednie? —

spytał mistrz.

— Mamy je — odparł Gara.

— Radzi byśmy je widzieli — dodał mistrz.

Ścibor nieco się zzymnął.

— Wasza Miłość tyle nam przecie wiary dać może, iż, co opowiadamy w imię króla Zygmunta, fałszem nie jest. Mamy listy wypowiednie i polecenie wysłania ich naówczas, gdy czterdzieści tysięcy złotych wypłacone nam będą.

Mistrz się uśmiechnął.

— Znaczna suma dla Zakonu — odparł — ale cześć nadto wielka, że

możemy nią służyć królowi, byśmy się o nią targowali. Zapłacimy więc tu zaraz dwadzieścia,,

tyleż oczekuje na was w Gdańsku.

Podskarbi dał znak przyzwolenia.

— Byleśmy listy mieli, pieniądze oczekują gotowe — dodał potrząsając pękiem kluczy u pasa.

— Rzec więc skończona — rzekł Gara.

— Lecz listy widzieć musimy! — odezwał się mistrz. — abyśmy ich siłę mogli ocenić.

Gara i Ścibor spojrzeli po sobie i poszeptali, ostatni wyszedł z namiotu.

— Idę — rzekł u drzwi — Piotra Korcboga do króla. odesłać, a listy wam do odczytania przynieść. Z czymże- Korcbok odjedzie?

— Z wojną! z wojną! — okrzyknęli tłumnie komturowie, podnosząc ręce —

niech zapowie walkę krwawą.

— Ukorzymy tego dumnego poganina — zawołał Schwelborn — z nim i z

jego rodem jaszczurczym nie ma nigdy walce końca; raz potrzeba tej hydrze łby pociąć do ostatniego. Nienawistne plemię bałwochwalców bez. czci i wiary!

Niektórzy wtórowali Schwelbornowi, inni milczeli.

Mistrz chodził niespokojny. Po chwili wszedł Ścibor i Korcbog z nim, niosąc szkatułkę.

Korcboga tego Krzyżacy, choć musieli przyjąć w obozie, równie jak Ścibora ścigali oczyma niechętnymi. Był to człek niepozorny z twarzy, ale wielkiego serca, milczący i wytrawny; mało się więc odzywał i wdawał, co zwiększało niechęć ku niemu.

— Panie Pietrze — odezwał się doń Ścibor — już; dłużej czekać tu na co nie macie, pokoju nadzieja znikła; nieście więc od nas królowi wyraz żalu, żeśmy nic uczynić nie mogli.

— Nie mamy czego płakać! — szepnął Piotr.

Uśmiech jego i obojętność do najwyższego stopnia oburzyły Krzyżaków, którzy go dumnymi oczyma żegnali.

— Tak jest — zawołał marszałek Zakonu, zbliżając się do szlachcica. —

Powiedz królowi swojemu, że mu niesiemy wojnę, a z nami Bóg!

Wskazał na krzyż swój na płaszczu wyszyty.

Korcbog z lekka się pokłonił nic nie odpowiadając, i ścigany oczyma przytomnych wyszedł z wolna z namiotu.

Panowie węgierscy pozostali już tylko dla otrzymania haraczu

przrzeczonego, nie wdając się więcej w żadne o pokój układy. Tym pilniej zaś stali przy odebraniu sumy całej, że dla nich przyszłość Zakonu była dosyć wątpliwa.

Wojna, na jaką się zanosilo, obiecywała wyczerpać niezmierne skarby, o jakich u Krzyżaków opowiadano. Powszechnie naówczas chodziły wieści, iż jedna z krągłych wież malborskiego zamku była zasypana złotem, które tam korcami i worami wyładowywano. Sami może zakonnicy szerzyli te wieści dla dania wyższego jeszcze pojęcia o potędze Zakonu, niż ona była w istocie.

Cała starszyzna złożona z najszlachetniejszych rodzin niemieckich, dumna, uważająca się za przedstawicielkę potęgi Cesarstwa i Chrześcijaństwa, lekce sobie ważyła tłum zbierany rycerstwa, z którego szydzenie należało do najlepszego tonu.

Starcy tylko, którzy nieraz już w walkach spróbowali się z Jagiełłą i Witoldem, niektórzy komturowie nadgraniczni, lepiej znający Polskę, innego byli przekonania. Wende, komtur gniewski, miał za sobą wielu innych; lecz ci wszyscy milczeć musieli, aby się na zarzut tchórzostwa nie narazić.

Drugiego dnia, gdy Ścibor ze Ściborzyc zabierał się do przyjmowania przrzeczonych pieniędzy, około południa wpadł jeden z braci z twarzą rozjaśnioną i począł panów węgierskich prosić, aby do namiotu mistrza wielkiego szli, gdyż ma im ciekawą zwiastować nowinę.

To powiedziawszy uszedł, jakby unikał, ażeby go więcej nie wypytywano.

Zdziwieni mocno, pośpieszyli Gara i Ścibor do niezbyt odległego mistrza namiotu, ku któremu też w tej chwili komturowie płynęli pośpiesznie, jakby zwołani także.

Gdy weszli, u wchodu zastali wcale niepoczesną figurę, z czapką w ręku. Był

to mężczyzna w kubraku szarym, butach do kolan długich, przy lichym mieczyku, chudy, blady, szyi wyrosłej, twarzy przeciągłej, pomarszczonej i głowy wygolonej.

Z pozoru za Polaka wziąć go było można i był nim w istocie; zwał się Korbacz, a dość o nim powiedzieć, że za donosiciela służył Krzyżakom, a nie on jeden w tych obowiązkach zostawał, bo ich było też więcej, jak Prusaków w usługach polskich.

Tak samo Piotr Świnka, chorąży dobrzyński, przed samą wojną poszedł do Krzyżaków i walczył z nimi przeciwko swoim, przez zemstę osobistą, której szukał. Korbacz stał u drzwi, gdy weszli Węgrzy.

Wielki mistrz podszedł kroków kilka na ich spotkanie

i wskazując na człowieka, zawołał:

— Posłuchajcie oto tego człowieka, Polak przecież jest i nie od dziś go znamy. Zobaczycie, co się stało z ową Jagiełłą potęgą.

— A cóż się z nią stać mogło? — zawołał Ścibor zdziwiony.

— Mów, mości Korbacz — dodał mistrz.

Stojącego u drzwi znać i tak już język świerzbił, postąpił kilka kroków naprzód, rozglądając się po zgromadzeniu.

— Na wszystko święte zaręczyć mogę, że prawdę szczerą powiadam, jako mi miły Bóg — rzekł sepleniąc i śpiesząc się. — Przez dni kilka chodziłem na próżno, szukając obozu polskiego. Na ostatek dostałem języka, że spod Ludborza nad Jezioro Rupkowskie pociągnęli. Ja za nimi. Ja mogę wniknąć wszędzie gdzie chcę, bo mam i w obozie wielu dobrych przyjaciół i znajomych. Aliści pod Rupkowem jak na dłoni, tylko ślady! gdzie? co? Nie wiadomo. Pole stratowano do szczętu, jak zajrzeć, tu i ówdzie garnki pobite, słoma rozsypana. Kołek z ziemi sterczący, do którego konie wiązano; dalej konie trzy zdychające, jeden kulawy, co się pasł na chudej trawie, i stos kuł kamiennych porzuconych.

Co się stało? nie wiadomo, poszło wojsko całe bez wieści, dokąd? nikt nie wie. Szedłem tedy tropami, aż do rozstajnych dróg; dalej, wszędy ślady i w prawo, i na lewo, i na wprost, porozdzielali się widać, aby spieszniej do domu zdążyć.

Rozśmiał się Korbacz łyskając oczyma.

— Jak Bóg miły prawda, w tył, nazad uszli. — Uderzył się w piersi

złożonym kułakiem. — Nie ma już ani jednego.

— Ha! — przerwał mistrz tryumfująco — nie mogło być inaczej. Nie

ulekliśmy się my ich, musieli się oni nas złęknać. Jagiełło zna potęgę Zakonu, nie wymodlił pokoju i uszedł sromotnie przed zemstą potajemnie.

— Ścigać ich! — zawołał Schwelborn — na koń i w pogoń!

— Tak jest — dodał marszałek — całą siłą na uchodzących się rzucić i stłuc na miazgę. Ścigać ich!

Wende przytomny ramionami ruszył.

— Zastanówciez się, a lekkomyślnością nie podwajajcie złego, które pycha rodzi! Skądże pewność, że uszli!

Ruszyli z obozu, cóż stąd! Nie mogliż pójść, gdy my tu stoimy, z siłą całą na nasze bezbronne niemal zamki i miasta. Mogą być pod Malborkiem, gdy my pójdziemy ścigać ich na Mazowsze.

Mistrz stanął uderzony tą myślą.

— Gdzie zaś! gdzie? — przerwał Korbacz — toć by kupy kuł nie zostawiali, gdyby dalej wojować chcieli?

— Ma słusność! — zawołali inni — ale są ptaki, co zawsze muszą smutne nucić pieśni i złowrogie wieszczby.

— Radziłbym wieszczbą nie gardzić — dodał Wende — bodajbyśmy

dopiero po klęsce z naszego nie wyszli oblędu. Mówię co każe sumienie, czyńcie co chcecie.

Oddalił się.

Panowie węgierscy odeszli, zwołano radę. Wieczorem już zwijano namioty i wojsko ruszało ku zamkowi Bratian, gdzie się obozem rozłożyć miało. Panowie węgierscy oczekujący wypłaty przyrzeczonych pieniędzy, jechali z wielkim mistrzem.

Stąd dopiero z orszaku ich wysłany został Frycz z Reptki, Ślązak, do Jagiełły z listy wypowiedniami króla Zygmunta, choć nie wiadano dobrze, gdzie go z nimi miał szukać.

Dnia dziesiątego lipca Frycz opuścił zamek Bratiański i na los się zdawszy jechał wywiadując o Jagiełłę.

Gdy po zniknięciu Ofki za księżną Aleksandrą do Płocka jechać przyszło nieszczęśliwej Noskowej, zrazu jej służba namówić nie mogła, aby na wóz siadła.

Leżała na ziemi płacząc i narzekając, bo do córki była, acz nierozumnie, przywiązana jak do życia. Było to dziecię jedyne, pociecha serdeczna, nadzieja.

Miłością tą zbytnią popsuka Ofkę i nie widziała tego, bo dotąd nigdy samowola dziecka do tego stopnia nie doszła. Rozumem i bystrością o wiele prześcigając matkę, dziewczę umiało z nią uczynić, co chciało i co chciało jej wmówić i narzucić.

Wielu też spraw a stosunków swawolnicy nie wiedziała pani Barbara; dla siebie i dla niej nie będąc zbyt surową, na wiele wybryków patrzyła przez szpary.

Ucieczka dopełniała miary. Czuła matka nieszczęśliwa, iż winną była pobłażania zbytniego i gdyby nie ono, nie ważyłaby się nigdy Ofka na krok tak szalony. Nie pojmowała, dokąd uciec nawet mogła, a lękała się o cześć jej i życie, gdyż domyślała się, że nie gdzie indziej, jak za wojskiem i z płochą myślą szpiegowania a pomocy panom swym dziewczę ulecieć musiało.

W takiej sprawie dziewczynie, która łatwo poznana i zdradzona być mogła, szło o życie. W myśli tej utrzymywało ją zniknięcie współczesne najstarszego z orszaku, najprzebieglejszego z dodanych jej knechtów. Zabrane pieniądze na podróż świadczyły też, że Ofka na losy niebezpieczne puścić się musiała.

Płakała więc matka nad sobą samą najwięcej i nad słabością swoją. Ksiądz Jan jej nie opuszczał, pocieszając jak mógł, sam też strapiony wielce i niemal zawstydzony tą ucieczką, która całą rodzinę w oczach ludzi sromem okrywała.

Któż się mógł domyślić pobudek innych, nad płochę i dziewczynie właściwe.

Dwór księżnej Aleksandry mówił cały, że za rycerzem jakimś, dawszy się zjednać, zbiec musiała. Ani już wśród niechętnych dłużej tu trwać było można.

Dobrotliwie pocieszała matkę księżna, przecież znać było, że sromowi, jaki to i dla dworu jej czyniło, nie była rada.

Noskowa wśród łez z rozpaczys sama nie wiedziała, co poczynać dalej z sobą, gdy, dojechawszy do pierwszego popasu, ksiądz Jan powiedział jej po namyśle, że byle miał o czym i jak, do obozu polskiego powróci i Ofki szukać będzie, choćby mu przyszło od jednego do drugiego pacholęcia cały obóz przetrząsnąć.

— Pójdę choćby do króla — rzekł — poproszę go, aby otrąbić kazał o zgubionym dziecku; przecie je tam odszukamy, jeśli jest, a gdzież indziej być może?

— Wiem-że ja, gdzie ją oczy i szaleństwo poniosło? — odezwała się łamiąc ręce matka — któż zgadnie, co się dzieje w tej głowie? Wychowało się to niemal trzymając sukni zakonników, nauczywszy się Zakon szanować i wszystko dlań święcić. Nie wątpię, że poszła mu służyć, ale jak? Czy do obozu polskiego na szpiega, czy do Torunia, aby donieść, co widziała? — mogeż zgadnąć? A, byle przy życiu była! Moja to wina — płakała Noskowa — mój grzech. Rycerstwo jej dzieckiem zawróciło głowę.

Po długich jękach i radach nie było już nic innego do czynienia, tylko przyjąć księdza Jana ofiarę, który do Krzyżaków powtórnie jechać już nie chciał, ale obóz polski obiecywał przeszukać. Litość go wielka nad siostrą przejęła, która z żalu spowiadała mu się z całej swej przeszłości, a, jak zazwyczaj w nieszczęściu wielkim, przyznawała się do win, które by inaczej tała nawet przed bratem.

Z boleścią wysłuchawszy tych zeznań, ale z chrześcijańskim pobłażaniem, ksiądz Jan postanowił do drogi się sposobić. Domyśliwszy się jednak, co za jedni byli pachółkowie, dodani Noskowej z Torunia, żadnego z nich z sobą wziąć nie chciał. Litując się nad nim i kobietą, księżna Ziemowitowa dwóch ludzi swoich księdzu dodała i konia, którego potrzebował. Noskowa go opatrzyła pieniędzmi, a wyjeżdżającemu rzuciwszy się jeszcze do nóg ze łzami, wyprawiła go zapłakana, rada, że choć próbę jakąś odzyskania dziecka uczynić mogła.

Zawrócił więc starzec nazad tą drogą, która do gościńca wojskowego wiodła.

Kraj był pusty zupełnie, bo ludzie przed wojskami pierzchali wszędzie w lasy głębokie, uprowadzając trzody i unosząc mienie; ale bez języka obejść się można było, bo ślady pochodu wszędzie jeszcze widoczne zostały. Mimo burz i deszczów lipcowych, zbita końskimi kopytami ziemia, mogiły i kopce, pogaszone ogniska, gdzieniegdzie szkielet koński, który wilki ogryzły do białych kości —

prowadziły lepiej od człowieka. Gdziekolwiek wojsko leżało, widoczniesze jeszcze po nim znać było spustoszenie i resztki noclegów. Niejeden trup czekał

pogrzebu, na który czasu nie stało, ledwie przysypany gałęzmi; potłuczone czerepy, pogubione rzemyki, poszarpane płachty leżały po polach. Kopane pod namioty i na ogniska jamy stały nie zasypane. Bezpiecznie więc idąc tak torowaną drogą, ksiądz Jan coraz świeższe znajdował znaki.

Na całym obszarze żywej nie spotkali duszy, wioski stały pustkami. Nad wieczorem stada ogromne kruków zrywały się sponad lasów i widać je było ciągnące w tę stronę, kędy wojsko ciągnęło, jakby już czuły żer i trupy.

Ludzie towarzyszący księdzu Janowi patrzyli na lecące ptaki i zegnali się przelękli, szepcząc, co to oznaczać miało.

Niekiedy wśród pola na padłym koniu siedziała ta czarna chmura, a za zbliżeniem się jeźdźców podnosiła spłoszona nagle i zwijała, kłębiła, wrzeszczała, nim się w powietrze podniosła.

Drugiego dnia jadący poczuli woń spalenizny, którą przesiąknięta była ziemia i lasy. Z dala siniały ponad puszciami obłoki dymów, a nocą czerwone łuny odbijały

się w górze na chmurach. Wiatr, który czasem powiał od granic, niósł z sobą gorzki zapach pożarów. Powietrze od skwaru duszne, stawało się do oddychania ciężkie, do

ust gorycz przylegała.

Poza granicą, gdzie Tatarzy dopuścili się krwawych łupieży, ślady ich jeszcze były straszniejsze. Z

popalonych wsi resztką ludu ocalonego, okaleczona, okrwawiona, opalona, ścisnęła się około ognisk i szałasów, nie mając dachów, pod którymi by przytulić się mogła.

Z dala słychać było jęk głodnych dzieci, które matki, na rękach kołysząc, uspokajały. Z bladymi twarzami ludzie kopali korzonki i szukali ziela, aby głód nie zaspokoić, a oszukać i stłumić.

Przybywszy pod Kurzętnik i Rupkowskie Jezioro, ksiądz Jan i tu znalazł

tylko obozowisko puste. Byłby się z cofającymi na powrót wojskami spotkał, gdyby, do Ludborza nie dojeżdżając, towarzyszący mu Mazurzy puszcza krótszej drogi znajomej nie wybrali wymiarkowawszy, że wojsko ciągnęło nad Drwęcę.

Jagiełło cofał się na powrót, gdy wieczorem ze znużonymi końmi nadjechał ksiądz Jan do Kurzętnika, a że ludzie się obawiali do miasteczka zaglądać, obrali więc nocleg nad jeziorem wśród łoż, z których jaki taki szałas sklecić było można.

Też same ślady, jakie tu oglądał pruski posłaniec, poszedł o zmroku opatrywać ksiądz Jan, usiłując się domyślić, gdzieby mu dalej jechać należało.

Zdało mu się też, iż u ludzi w pobliskiej miejscinie może języka zasięgnąć nie narażając się na niebezpieczeństwo, od którego suknia kapłańska broniła.

Przechodząc pieszo pole zbliżał się już ksiądz Jan do miasteczka, które niemal opuszczone mu się wydawało, gdy naprzeciw siebie postrzegł wybiegających kilku konnych.

Byli to wysłańcy krzyżacy, którzy dla niepoznaki białe swe płaszcze pozrzucali. Widząc ich dążących ku sobie, ksiądz Jan zatrzymał się pewien, że jakąś garść Jagiełłowych żołnierzy spotyka i radując się im w duszy.

Nie strwożył się bynajmniej, gdy go otoczyli i w mgnieniu oka,

poziadawszy z koni, zbliżyli się do bezbronnego.

Pierwsze słowo, którym się odezwał przodujący tej garści Niemiec,

wywiodło księdza z błędu. Umiał dosyć mowy ich, aby się z nimi porozumieć.

Na zapytanie skąd by i po co dążył, ksiądz Jan opowiedział prawdę całą, iż szukał wojska polskiego.

Śmiech radosny wyraził te powitał, wnet jeden pochwycił go za ramię krzycząc, że szpiega pojмали.

Wpadłszy w ich ręce, nie było się już co ani tłumaczyć, ani opierać; na piersi spuściwszy głowę ksiądz Jan, nie odpowiadając nic, dał z sobą czynić, co chcieli.

Odgrzali się go wieszając; powiedział im, że był księdzem. Powitali knechci śmiechem to zeznanie, zaręczając, że u nich i księży wieszano.

Kazał jeden z jezdnych, ręce skrzepowawszy księdzu Janowi, siąść na koń, a sam się za nim uczepił. Do obozu jeszcze stojącego nad Drwęcą nie było daleko, pokłusowali więc Krzyżacy ze zdobyczą swoją.

Mazurzy z dala w łożach widząc, co się stało, a za słabi będąc, aby odbić mogli, przypadli w krzakach i zaczajeni siedzieli w nich, dopóki kupka ludzi z oczu im nie znikła. Ratując siebie, gdy noc zapadła, konie połapawszy, co się nad stawem pały, nazad uszli w lasy, niosąc złą wieść o pojmaniu księdza, który sam sobie los

swój był winien.

Tymczasem ze zdobyczą swą knechci do obozu zdążyli, dając zza rzeki znać o sobie, aby ich łucznicy nie powitali zza ostrokołów jak nieprzyjaciela. Poszły wpław konie, a ludzi na podanym czólnie wraz z księdzem przeprowiono.

Najbliższym był namiot marszałka i do niego też, nagrody się spodziewając, przywiedli związanego księdza pachółkowie. Właśnie z namiotu wychodził

podskarbi, gdy bystre jego oko w mroku jeńca spostrzegło. Zbliżył się; knechci ze śmiechem opowiadali, jak im wpadł w ręce.

Poznał go natychmiast podskarbi.

— Nieszczęście was jakieś ściga, mój klecho — zawołał — jakimże

sposobem mogliście znowu wpaść w ręce nasze?

— Opowiem wam wszystko — rzekł ksiądz Jan — tym bardziej, że siostra moja pod opieką Zakonu zostaje i że się to więcej jej, niż mnie tyczy.

Merheim natychmiast księdzu ręce kazał rozwiązać i z sobą go poprowadził

do namiotu. Tu staruszek usiąść już musiał, bo stać zmęczony nie mógł.

Wieść o jeńcu wnet wielu innych Krzyżaków napędziła do namiotu. Coraz to nowy zaglądał do drzwi i wchodził, tak że się tłok stał wielki dokoła. Chciano się dowiedzieć coś o wojsku i o królu, o których ksiądz Jan tyle wiedział co i oni.

Zamilkł więc, dopóki nie rozeszło się zbiegowisko i nie pozostał sam z podskarbim. Dano mu się nawet posilić trochę, aby mógł lepiej opowiedzieć o sobie i swych

przygodach.

Nie było co taić, począł więc od spotkania z Jagiełłą i wojskami. Merheim nie miał czasu dopytywać o liczbę i o siłę.

— Siostrzenica moja — rzekł — córka Barbary Noskowej, dziecko szalone.

Po przejściu wojsk w nocy z jednym sługą znikła. Matka jest w rozpaczy, domyśla się, że stawiając życie, poszła przebrana szpiegować w obozie.

Podskarbi zdziwiony przyskoczył do księdza.

— Możeż to być!

Jedno spojrzenie dowiodło mu, iż ksiądz Jan kłamać nie mógł.

— Tak, to zawsze była dziwna i samowolna natura, dziecko niepoohamowane, gotowa była to uczynić.

— I pójść na zgubę oczywistą! — dodał ksiądz Jan.

Merheim nie zdawał się podzielać tego zdania. To poświęcenie dla Zakonu cieszyło go.

— A wasza wielbność jedziesz, ażeby ją odszukać i matce przyprowadzić?

— zapytał.

— Nie inaczej.

— Do obozu polskiego? — dodał podskarbi.

— Tak jest.

— Dziewczyna, jak mówicie, wzięła z sobą starego knechta?

— Tego, który dowodził ludźmi.

— To się jej nic nie stanie! — rozśmiał się podskarbi. — Nie widzę potrzeby odrywać ją od dzieła, które może z wyższego uczyniła natchnienia. Kto wie, gdzie jest? kto wie, co zamierza?...

Merheim nie dokończył.

— Wy z nami zostać musicie, albo gdzie na zamku przesiedzieć, do obozu was puścić niesposób.

— Przecie nikomu szkodzić nie mogę?

— Ani wy, ani ja o tym wiedzieć nie możemy — odrzucił Merheim

dziewczę do takiego kroku nie rzuciłoby się bez Bożego natchnienia. Któż wie!

Cuda się dzieją!

— Miejcież litość nad matką, ona z niepokoju umiera!

— Na litość już nie pora — odezwał się podskarbi. — Czas wojny i sądów Bożych. Rodzą się Judyty.

Ksiądz Jan zadrzał.

— To słabe dziecko.

— Nie, to bohaterka biblijna! — zawołał Merheim — ani się godzi stawać jej w drodze! Wy więcej pewnie dla Jagiełły niż dla nas macie miłości i chęci, chcielibyście ją oderwać, a jego ocalić, ja pragnę, aby była Judytą.

Ksiądz Jan zamilkł, patrząc przerażony na podskarbiego.

— Niech Bóg uchwala, by nią była, sama myśl zgrozą napętnia. Któż by ją jej mógł poddać. Sama nie zrodziłaby się w jej dziecinnej głowie.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Mógł się znaleźć taki, który myśl w młodą, rozjarzoną głowę i serce rzucił. Nie inaczej tłumaczę ucieczkę, a widzę w tym palec Boży, iż was zbłąkanych los oddał w ręce nasze, abyście spełnieniu tego, co przeznaczone, nie stawali na przeszkodzie.

Nie śmiał już się odezwać stary, zacisnąwszy obie dłonie. Podskarbi zmienił zaraz rozmowę, dopytując o wojska Jagiełły.

— Nie widziałem z nich wiele — odparł ksiądz — a to com widział, straszne mi się wydało i groźne.

— Dla was ono takie być mogło, nie dla Zakonu — przerwał podskarbi — a król?

— Król jest dobrej myśli...

— I dlatego uciekł, jak nam donoszą — rozśmiał się podskarbi.

— Jeśli tak jest, po cóż wam rąk Judyty — odparł ksiądz Jan — kiedy sam wasz postrach dostateczny.

— Aby poganin drugi raz tu nie powrócił — zakończył podskarbi.

To mówiąc wyszedł z namiotu i posłał zaraz sługi, które starego księdza uprowadziły pod strażą.

Mistrz, którego natychmiast uwiadomił podskarbi, słuchał opowiadania z niesmakiem, lecz uwięzienie księdza pochwalił.

— Wszystko to baśnie są — odezwał się — drugi raz: łapiemy go w

podejrzeniu szpiegostwa, nie należy puszczać stąd, ażeby po raz trzeci chwycić nie trzeba było.

Dla mnie rzecz jawna, iż chytry klecha splótł baśń niedorzeczną, aby kark swój od stryczka ocalić. Zesłać do Gilgenburga, niech go tam do lochu posadzą.

\* \* \*

Polskie wojska pod Działdowem już leżały, ominąwszy ostrokołami

obwarowane brzegi. Nigdzie jeszcze większego spotkania nie było, oprócz zasadzki na Swieczan i harcu u Jeziora Rupkowskiego. Okrażano wojska Krzyżaków, którzy śladów jeszcze nieprzyjaciela nieświadomi. szukali.

Po ciężkich dniach pochodu w lipcowe upały rycerstwu spocząć trzeba było, chorych wielu w obozie, konie wychudzone, znękani ludzie musieli odetchnąć przed stanowczą boju godziną, która się tuż tuż zbliżać zdawała.

Powrót mimo Ludborza, nowego trudu kosztujący tyle, przedsięwzięto za radą Korcboga, który od panów węgierskich przybywszy z oznajmieniem o wojnie, dobrze krzyżacki obóz opisał i trudność w przebyciu Drwęcy, którą wyżej suchą nogą przejść było łatwo. Dodał on królowi otuchy, gdyż siły Zakonu nie znajdował

strasznymi, a o niezgodzie komturów i nieładzie między obcymi gośćmi szeroko prawił, bo miał się czas im przypatrzyć.

Za Działdowem pod Wysokie nadbiegł do obozu Frycz. Ślązak, od Węgrów wysłany z wypowiednim listem króla Zygmunta, przez Krzyżaków kupionym tak drogo. Wzięły go przednie straże i naprzód powiodły do marszałka Zbigniewa, przed którym nie taił Frycz, z czym jechał i co wiozł.

Ślązak był pół-Niemcem, trochę Polakiem, człowiekiem, który spełna nie wiedział, kogo miał kochać, a komu źle życzyć. Ciągnęło go czasami w jedną, to znów w drugą stronę i tak się życie kołysało. Złe wszakże Jagiełłę nie życzył w tej chwili, bo mu duma białych płaszczów dojadła równie jak węgierskim panom.

Marszałek Zbigniew, skoro się dowiedział, co niósł, usta mu zatulił.

— Chceszli u króla łaskę mieć i podarek przystojny — rzekł — nie głoszę, coś przywiózł. Gdyby się po obozie rozniosło, że nam wojnę wypowiadają, niejednemu by ducha zabrakło i trwoga by go ogarnęła. Po cóż macie nam szkodzić? Królowi panu oddacie jutro listy wypowiednie i poselstwo wasze sprawicie.

Zgodził się Frycz milczeć, tym więcej, że dwojakię miał zlecenia, bo król Zygmunt na tę wypowiednaną wojnę wcale się nie myślał wybierać.

Nazajutrz rano po mszy świętej, którą kapelan Jagiełły, Jarosław, proboszcz kaliski odprawiał, wezwano Frycza do namiotu, gdzie tylko księżę Witold i rada wojenna zgromadzeni byli.

Nie miał Jagiełło w zwyczaju nawet na uroczystości występować, przyjął

więc posła siedząc na kłocu pokrytym skórą i w letniej odzieży dla skwaru.

Opowiedział Frycz urzędownie to, o czym wiedziano dobrze, jako starania panów próżnymi były, jak się mistrz Ulryk wszelkiemu rokowaniu o pokój oparł, jako orężem i wojną chciał rozstrzygać.

— Ponieważ Zygmunt, król węgierski, od którego panowie moi poselstwo sprawują, jest Rzymskiego państwa namiestnikiem, a nie godzi mu się zakonu krzyżackiego, podlegającego rzymskiemu cesarzowi, w tym niebezpieczeństwie odstępować, przeto z rozkazu panów węgierskich składam Waszej Królewskiej Mości list wypowiedni, w którym się po stronie mistrza i Zakonu oświadczam, a wojnę Waszej Królewskiej Mości wypowiada.

Jagiełło list przyjął nie mówiąc słowa, Witold i rada nie rzekli też nic.

Rozmowa nie ciągnęła się dalej, a wychodzącemu Fryczowi Zbigniew marszałek przypomniał obiecaną tajemnicę, którą on zachować znowu przyrzekał.

Król dworzanina za nimi posłał, aby Frycza po stole do niego wezwano.

Ugościł go marszałek sam i z oka nie spuszczone, ażeby się gdzie niepotrzebnie nie wygadał.

Z południa wprowadzono go znowu do Jagiełły, a byli już sam na sam.

Frycz, ujęty przez marszałka, z owego straszego herolda wojny stał się bardzo dobrym służką, pokłoniwszy się do kolan.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się cicho — co mi kazano mówić

publicznie, tom powiedział rano, ano, to nie wszystko.

— Cóż więcej? — spytał król patrząc mu w oczy.

— Panowie moi polecili mi rzec jeszcze — dodał — że list wypowiedni dobrze zapłacony, bo Krzyżaków czterdzieści tysięcy czerwonych złotych kosztował, dla postrachu rzucony jest, ale na ten kawał papieru zważać nie ma co, bo wojny z niego nie będzie.

Uśmiechnął się Jagiełło.

— Ani król Zygmunt, ani Węgry o niej nie myślą, a złota potrzebowaliśmy...

Strachy to są próżne, Najjaśniejszy Panie — mówił dalej — widziałem ja obóz krzyżacki i widzę ten, a zaprawdę myślę, że po tej stronie waga będzie i zwycięstwo. Zbierany tam lud, dużo głów, ładu mało, a buty wiele; przy pomocy Bożej otrzymacie zwycięstwo, z którego myślę, że i król Zygmunt nie bardzo smucić się będzie. Moim panom, Najjaśniejszy Panie — rzekł w końcu — ich zachodów za złe mieć nie będziecie, bośmy się nie o co innego, tylko o pieniądze starali, o Zakon nam wcale nie szło i nie idzie, ani go tak bardzo kochamy.

Wysłuchawszy tej mowy, król zaczął pytać Frycza o to, co widział w obozie.

— Połowy tego ludu nie mają, co wy, Najjaśniejszy Panie — rzekł Ślązak —  
wiele po zamkach rozproszyć musieli.

— A ducha jakiego są? — pytał król.

— Nigdy go oni nie mienią — mówił Frycz — zawsze u nich jeden: pychą żyją i pychą zginą.

— Amen! — dodał Jagiełło — bodaj tak było, jak mówicie.

— Że tak będzie, pewniśmy wszyscy, bo kto zbyt sobie ufa i szczęściu swojemu, zawsze zawiedziony bywa.

Po krótkiej rozmowie, obdarzonego sowicie, bo Jagiełło do rozrzutności był skory, odprawił król żegnając do jutra.

Frycza zaraz przejął marszałek i znowu go ugaszczał, czuwając nad tym, żeby się z listem nie wygadał. Nazajutrz rano znowu go król powołał, nie z własnej myśli, ale podkanclerzy i Witold poddali, ażeby jeszcze z Fryczem mówił, co by sobie życzył, aby Zygmunтови doniesione zostało.

Jagiełło począł mu wymawiać, jak niegodziwie Zygmunt względem niego postąpił, dla złota na powinowactwo i przymierze nie zważając, co innego obiecując zrazu, a inaczej czyniąc. Wymawiał król gorzko zawiedzioną nadzieję swą i oddane w czasie wojny tureckiej

Zygmunтови posługi, a na ostatek zakończył tym, że Bogu ufa i wyrokom Jego sprawiedliwym.

Frycz wiedząc, na co mu to mówiono, wysłuchał żalów nie odpowiadając na nie.

Posłuchanie też niedługo trwało, bo ranek był wielce uroczysty dla całego wojska. Duchowieństwo czując zbliżanie się godziny, w której niejednemu życie położyć przyjdzie, ten dzień przeznaczyło na obchód wielki.

Całymi szeregami rycerstwo przystępowało do spowiedzi i komunii: król, wodzowie, wszyscy niemal do ostatniego pachołka, oprócz jednej dziczy tatarskiej niechrzczonej.

Chodzili księża między klęczącymi w szeregach żołnierzami rozdając Przenajświętszy Sakrament. Spowiedź odbywała się pod gołym niebem i pod namiotami oblężonymi niemal od ludu, bo każdy chciał być gotowy na śmierć i z Bogiem się pojednać.

Obóz przedstawiał obraz wspaniały i piękny, bo na ten dzień panował w nim spokój, zgoda i cisza. Jak sam król, tak i cały dwór jego wszystek w kaplicy nadwornej spowiadał się także. I nowy więc dworzanin, który się wprosił między pańskie sługi, musiał pójść z innymi.

Od tych kilku dni, jakie spędził przy królu, trochę się mu tu polepszyło.

Wołał go kilka razy Jagiełło i do różnych drobnych posyłek używał, a że się zręcznie i dobrze sprawiał, okazał, iż rad był z niego. Chłopak był jakby strwożony i milczący. Nie bardzo się też tu swobodnie poruszać było można, bo starszyzna w srogiej ryzie trzymała, a kroku po dobrej swej woli nie można było uczynić, szło wszystko po wojskowemu i ostro strzeżono porządku.

Pacholę z niezmierną ciekawością przypatrywało się królowi, z czego się drudzy wyśmiewali. Zdawało się śledzić każdy ruch jego, każde chcieć posłyszeć słowo, każdą myśl odgadnąć. Kilkakroć król je zaczepił słowem żartobliwym, bo był, okrom polowania, wielce łagodny, a niekiedy dobrej myśli, choć chmurnej twarzy. Pierwszych parę dni tego nowicjatu przebywszy, Teoderek już coraz śmielszym być zaczynał, a dziwny też jakiś umiał wpływ wywierać na tych, co go otaczali.

Towarzysze zrazu wyśmiewali go, drudzy pozbyć się go radzi, wyrządzali mu przykrości i chcieli zrażać do służby, ale się im to nie powiodło. Jednych rozbroił dowcipem, drugich pokorą, innych śmiałością, na ostatek cierpliwością, tak że mu w końcu pokój dano zważywszy, że król coraz nań lepszym spoglądał

okiem. Chłopak też umiał sobie jednać przyjaciół tym środkiem wszechmogącym, którym Krzyżacy pozyskali króla Zygmunta. Do posługi był niezmiernie chętny, byle móc coraz bliżej się docisnąć, wszystkiego dotknąć i ciekawość nienasyconą nakarmić. Słuchał rozmów, podkradał się pod drzwi, wypytywał.

Szczęście, które mu służyło we dworze, znać się nie rozciągało do tych, których miał przy sobie i którzy koni jego dozorowali, bo z tych jeden znowu uszedł, i jako stary, nie wiedzieć, gdzie się podziawszy, dopiero trzeciego dnia na zmęczonym koniu powrócił, a tłumaczył się tym, że się na pastwisku zabłąkał

szukając straconego konia, którego nierychło mógł odzyskać.

W tym zamęcie ciągłym i przy tylu sprawach ważniejszych nikt prawie na to nie zważał.

W sam dzień św. Małgorzaty, z rana jeszcze odprawiwszy nabożeństwo, zatrąbiono do pochodu ... Wojsko wypoczęte ruszyło raźnie, wedle wskazówek Trojana, ku miasteczku i zamkowi Dąbrownu.

Dzień był niesłychanie skwarny i widocznie zbierało się na burzę, którą wszyscy prorokowali; na północy leżały ciężkie nieruchome chmury ponad lasami, najmniejszy wietrzyk powietrza nie chłodził. Przyszło wojsku wlec się w spiekocie, szczęściem niezbyt długo, gdyż przed wieczorem pokazała się równina, o wśród niej ogromne Jezioro Dąbrowskie, wśród którego sterczały na kępie wzniesione wysoko mury zamku, opasanego dokoła kurtynami, na których wieżyce i rondle gdzieniegdzie rozstawione były jakby na straży. Z dala już widzieć można było mnogi lud, który na blanki wybiegał i roił się na bramach, po grzbietach murów.

Zamek wyglądał silny i poważny, jak- by urągał sobie z potęgi, która przeciwko niemu kroczyła.

Nie było wcale zamiarem króla ani wodzów zamek ów zdobywać, aby w

pobliżu będącemu nieprzyjacielowi nie dać hasła do napaści i nie narażać się na wycieczkę z jednej,

a nacisk z drugiej strony, o pół mili więc za Dąbrownem rozłożył się obóz u jeziora.

Stało się jednak, czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł. Skoro rycerstwo zaczęło się rozkładać u brzegów jeziora, ruch się wszczął na zamku; podniosły się żelazne brony we wrotach, opadł most zwodzony i garść zakonników, stanowiąca załogę, wystąpiła na spotkanie.

Widząc nieprzyjaciela prawie o staję, pan Andrzej Brochocki, który zbroję miał składać, zadumał się; przyszli doń drudzy. Nie pytano rozkazów.

— Co oni nam pod nosem kiwać będą? — zawołał Brochocki — a my cierpieć i patrzeć będziemy, jakbyśmy tego nie rozumieli?

Inni też poczęli wołać:

— Dać im naukę ...

— Na ochotnika, kogo świerzbi dłoń! — krzyknął Brochocki. — Przecież nie grzech poharcować.

W mgnieniu oka zebrała się spora kupa jezdnych i ruszyli ku Krzyżakom.

W obozie, gdy ich zobaczono jadących, co najmniej dziesiąty, który konia pod ręką miał, siadł nań i dalejże sznurem za tamtymi. Krzyżacy stali przed zamkiem, a już od nich pierwszych dolatywały obrzydłe klątwy i łajania, jakimi zawsze lubili szafować. Na przedzie starszy w białym płaszczu, dwie pięści wystawiwszy przeciwko jadącym, śmiał się i wrzeszczał.

Nie mogąc wstrzymać się, ochotnicy z Brochockim na czele padli jak piorun z kopiami na nich i stało się zamieszanie ogromne. Krzyżacy nie wytrzymali uderzenia: zwinęli się. Kilku z koni spadło, spod ciężkich zbroi podnieść się nie mogąc. A tuż za pierwszą garścią z obozu druga biegła i trzecia, i dziesiąta, z okrzykiem, hukiem, pieśnią, śmiechem.

Król, który nierychło zobaczył, że samopas wszystko szło, kazał trąbić, posłano z rozkazami, lecz już nie było sposobu ludzi utrzymać. Rzucali namioty, rozłożone ognie, jadło, sprzęty. Niektórzy bez zbroi, ledwie hełm upiąwszy, z jedną szablą lecieli. Na grobli wyprzedzali się, parli, spychali niemal do wody, aby co prędzej dobiec, gdzie się już na dobre ścinano.

Białe płaszcze, z których kilka na ziemi konie stratowały, pędziły w odwrocie ku bramie. Polacy za nimi. Most zwodzony ledwie zdążono dźwignąć, gdy garść ta z Brochockim u fosy stała. Dalej już nie było sposobu iść, a wracać po małej utarczce, gdy się ledwie pokosztowało walki, nikt nie chciał. Napływało ludzi coraz więcej z obozu. Pomiędzy nim a miasteczkiem cała droga zalana tłumami konnych i pieszych. Na próżno Zyndram Maszkowski, Zbigniew z Brzezia, Krystyn z Ostrowa stanęli na gościńcu, hamując; wszyscy byli głusi, omijano ich i pędzono ku zamkowi.

Tu się nie na żarty walka poczęła. Ludzie z końmi i pieszo powskakiwali w jezioro, które nie było głębokie, ale grząskie, trzymając się za ręce, popychając, pchając, drapali się na wał pod mury. Niektórzy już drabiny z obozu nieśli, inni siekiery, toporki i samopały. Mrowie to obsiadło zamek dokoła. Poznali dopiero zakonnicy i mieszkańcy, że się tu naprawdę do szturm zbierało.

Poczęto z murów dawać ognia, a z wieżyc i blankowania ciskać kamienie.

Tyle to tylko pomogło, że gorzej jeszcze rozplómięło. Młodzież zaklinała się, że nie odstąpi od zamku, aż go zdobędzie.

Sam król, bardzo niespokojny, z dala na to poglądał i bardzo był markotny; posyłał ciągle od siebie wezwanie, aby porzucono szturm; ale kto pojechał, to go już nie było widać, połowa niemal obozu była pod zamkiem.

Widziano od namiotu Jagiełły, jak się jedni drugim spinając na ramiona parli do góry, jak walono w mury siekierami, młotami i stawiano kobylice i drabiny.

Miasteczko stało całe w dymach od strzałów, a że powietrze było spokojne, owinięte nimi było jak szarym całunem. Huk nieprzyjacielskich dział rozlegał się po okolicy, a razem ogromny wrzask zdobywających, którzy sobie nim serca dodawali.

Słońce zachodziło. Jagiełło patrzył z założonymi rękami, stojąc milczący. Za nim w dali, co pozostało z jego dworu, i ów nowozacieźny dworzaniec z Zaboru, na którego bladej to rumieniejącej się twarzy dziwne zdawały się przebiegać uczucia.

Drżał cały, czy z żądz boju, czy ze wzruszenia, któremu oprzeć się trudno na widok zaciętego boju; a było tam na co patrzeć, gdyż nigdy może obronnego zamku takim nagłym napadem nikt się wziąć nie pokusił.

Tysiące rycerstwa pięło się na mury. Krzyżacy nie wiedzieli, z której bronić się strony, bo nie było najniebezpieczniejszego zakątka, którego by szturmujący nie zajęli. Nie stało więc rąk do miotania pocisków i wrzątku, nie stało dział, wymierzonych w jedną tylko stronę, na obronę wszystkich.

Na murach widać było lud, kobiety, tłum spędzony niebezpieczeństwem i broniący się rozpaczliwie.

Nagle, wśród z dala dochodzącej wrzawy rozniósł się okrzyk piorunujący. Z

murów zaczęli niknąć ludzie i uciekać, w bramie błysnął płomień. Dąbrowno było zdobyte.

Żołnierz jeden konny, wysłany od bramy przez Brochockiego, przyniósł tę wiadomość do obozu.

Pan Andrzej był jednym z pierwszych, co wpadli, bramę wyrąbawszy, do miasta. Z drugiej strony, przez wyłom zrobiony w murze sypnęła się też garść Wielkopolan.

Wrzawa ucichła, wieczór nadchodził, a wojska wracającego widać jeszcze nie było. Dąbrowno pełne było ludu z całej okolicy i pełne bogactw i żywności, które tu

chciano przechować.

Żołnierz, rozwścieczony obroną, na Krzyżaków rozżarty, niczego nie oszczędził. Zaczęło się gospodarstwo wojenne w mieście tak przepełnionej ludem obojga płci, iż niewolnika brano tysiącami. Niektórzy posłali po swoje wozy, inni się opatrzyli w nie w miasteczku, ładując łupami.

Na próżno pan Andrzej Brochocki chciał ich powstrzymać i ład jakiś wprowadzić, jak go nie było w napaści, tak nie mogło być w rabunku. Brał co kto pochwycił i zarwał, rzucono z okien domów na ulicę kosztowny sprzęt, srebra, odzież drogą; zapasy żywnościowe, beczki z napojami wytaczano z piwnic, słowem, powstał chaos, jękiem tylko mordowanych krzyżackich knechtów i płaczem niewolnika przerywany.

Na zamku Brochocki ze swoją garścią działa gwoździł i około broni a skarbca się zwijał. Krzyżaków, co go bronili, do nogi niemal wybito lub rannych pobrano w niewolę. Obchodził właśnie izby puste, gdy jedną znalazł zamkniętą.

Żelazny drąg i kłódka drzwi zapierały. Powołał więc ludzi, aby odbić je, nie wątpiąc, iż tam skład jaki znajdzie. Zdziwiony był bardzo pustą, sklepioną widząc izbę, a w niej na klęczkach modlącego się księdza.

Przypadli doń porywczo niektórzy, ale ich Brochocki odepchnął. Staruszek był siwy i po sukni poznać się dawało, że do zakonników nie należał. Gdy doń przemówił pan Andrzej, zdziwił się niepomału, słysząc go odpowiadającego po polsku i oznajmiającego, że był więźniem przez Krzyżaków na drodze pochwyconym.

Był to ksiądz Jan, którego tego dnia właśnie przywieziono tu i zamknięto, a który sądząc, że wybiła dlań ostatnia godzina, gotował się już na śmierć.

Po krótkiej rozmowie, bo na dłuższą w zamęcie tym czasu nie było,

Brochocki puścił go do obozu, dodawszy dla bezpieczeństwa jednego z towarzyszków, który już dobrze zaopatrzony, bo był dopadł jakichś ładownych kufrów krzyżackich, do namiotu rad powracał.

Tymczasem i część rycerstwa rozjuszona, i czeladź obozowa plądrowały jeszcze po mieście, a jak wprzód grobla i gościniec pełne były tych, co zdobywać chcieli, tak teraz wozy i ludzie, i konie obciążone zalegały groblę i drogę.

Pędzono powiązanych sznurami jeńców, mężczyzn, kobiety, knechtów

krzyżackich, niemieckich osadników i wrzawa pomiędzy zamkiem a obozowiskiem nie ustawała, choć noc już nadchodziła.

Wśród tego plądrowania, czy z umysłu, czy wypadkiem zarzucony ogień padł na składy siana i paszy pod zamkiem i w jednej chwili buchnął płomień ogromny, szerząc się na wszystkie strony. Zdobywcy, z czym kto mógł, uciekać musieli, bo w ścieśnionej mieścinie ogień po suszy i upale z przerażającą szerzył

się szybkością.

Z obozu już widać było tylko czarne grube mury, w łożysku ognistym stojące, przez których okna i otwory buchały płomienie szukając pastwy. Ogromne kłęby krwawego dymu wylały się nad nieszczęśliwym gniazdem. Spadały dachy, ogień wyskakiwał z wieżyc, waliły się sklepienia i po chwilowym przygaśnięciu znowu podnosił się ogień, żrąc, co jeszcze do strawienia znalazł.

Przez całą tę noc przyświecała łuna pożarna obozowi Jagiełły i przez całą niemal nikt nie zasnął. Targowica stała się ze spokojnego taboru, w którym nikt nie mógł utrzymać porządku. Wieziono, znoszono, dzielono łupy, a wśród namiotów resztkę niewolnika, bo więcej padło na miejscu przy pierwszej napaści, niż ocalało życie, jęczała na ziemi leżąc, nie wiedząc, jakie ją losy czekały.

Towarzysz księdza Jana, ocalonego przez Brochockiego, zaprowadził go do swoich namiotów, gdzieby starzec mógł spocząć. Dano mu się czym orzeźwić, lecz nie nawykły do podobnych widoków starzec, z oczyma wlepionymi w płonące miasteczko, siedział jak osłupiały. Nie o sobie myślał, tylko o losie ludu tego i o marnym życiu człowieka, przeszedłszy po stosach trupów, które zawałały podwórza i bramy. O północy dopiero powrócił Brochocki uznojony, okrwawiony, opalony, bo i bił się, i ratował, i ład chciał utrzymać, gdzie już żadnej starszyny nie znano. Rzucił

się na posłanie, które mu czeladź wcześniej przygotowała; odpiąwszy zbroję, leżał

jak kłoda ze znużenia.

Dopiero księdza zobaczywszy, który posłania nie miał, i przypomniawszy, kto był, począł wołać na sługi, aby mu podle niego rzucili słomy i kobierzec dla spoczynku.

— Gdzieżeś się to wybrał tak bezbronny pod te ciężkie czasy, gdy nam i z bronią nie bardzo tu bezpiecznie? — począł pytać, leżąc, Brochocki.

— Nie po dobrej woli, ale z musu — odparł ksiądz Jan.

— To się rozumie, bo dla ciekawości nikt by pono tego się nie podjął —

rzekł pan Andrzej — choćby jak baba ciekaw był nowych rzeczy. I skądże to Pan Bóg prowadzi?

— Od księżnej Aleksandry Ziemowitowej jechałem, gdzie siostrę zostawił

— mówił dalej ksiądz. — Uwierzyć trudno, co mnie prowadziło. Płochę dziecko nam uciekło, którego szukając puściłem się za obozem.

— Jakie? co? — spytał, powstając, Brochocki zaciekawiony.

— Wstyd powiedzieć, ciężko się przyznać — cicho począł znowu duchowny

— ale Waszej Miłości pocziwie i pobożnie z oczu patrzy, winienem mu życie, taić nic nie będę. Jestem Ślązak, król Jagiełło mnie zna, bom swojego czasu pisarzował

przy nim, około listów będąc używanym.

Widziałem go oto i teraz, gdy na wojnę szedł, i dobry pan poznał starego sługę ... Ale jam duchowny i sługa Boży, a dziś jeno o zbawieniu myślę, rzeczami ziemskimi mało się zajmuję. Siostrę miałem w Toruniu na krzyżackim chlebie wyrosłą. Dostałem się do niej, a z nią i siostrzenicą potem zjechaliśmy na dwór księżnej Aleksandry. Ta to siostrzenica nam zbiegła! — westchnął ksiądz Jan.

— Dziewczyna z głową zapaloną, z nienawiścią w sercu do wszystkiego co nie krzyżackie i co Zakonowi nie służy.

Po co uszła? nie wiem, a że pewnie nie z dobrymi zamiarami dla króla . . .

nie wątpię. Szaloną ratować chciałem, jeśli jeszcze ratunek możliwy . . .

— Dziewczyna? — podchwycił Brochocki — a z kim-że, jak i kiedy od matki uciekła?

Ksiądz dnie rachować począł.

— Jakże wyglądała? — spytał pan Andrzej.

Opisał ją staruszek, o ile umiał i mógł, a gospodarz porwał się z pościeli.

— Osobliwy traf! — zawołał — bo do mnie się tu był przybłąkał chłopiec bardzo do dziewczyny podobny, właśnie w tej samej dacie. Nie wiecie, jakie konie zabrał ze sobą?

— Owszem, mówiono mi, że pod starym sługą, którego ze sobą uprowadziła, był bułany.

— To ją mamy! — klaskając w dłonie począł Brochocki, śmiejąc się. —

Prawdziwa łaska Boża, że na czas się to odkryło. Dziewczyna nazwała się Teodorkiem z Zaboru.

— A bośmy z Zaboru — podchwycił ksiądz — to ona, nie ma wątpliwości, gdzież się znajduje?

— Wprosiła się między pacholęta królewskie — rzekł Brochocki.

— Na miłość Bożą, chwili do stracenia nie ma; jeśli do króla się dostała, gotowa na wszystko i choć Bóg strzeże pomazańca swego — zawołał powstając ksiądz Jan — idźmy, zapobieżmy, pochwycić ją potrzeba!

— Nie ma się tam tak dalece czego lękać — rzekł Brochocki. — Choćby ochotę miała popełnić co, pilna tam straż około osoby pańskiej. Więc choćby jutro, zawsze czas. Dziś noc, mój ojczu, a ja ledwie w sobie tchu odrobinę czuję, takem się u Dąbrowna zhasał.

— Więc pójdę sam do namiotów królewskich, wskażcie mi drogę! —

zawołał ksiądz składając ręce.

— Was nie dopuszczą strażę po nocy, ani nawet do płotu, który pański tabor otacza. Daremna to rzecz, króla też na żaden sposób straszyć się nie godzi, bo ma i tak dosyć na głowie.

Ksiądz się wrywał, Brochocki, choć niechętnie, wdział kubrak i czapeczkę, aby z nim iść. Miecza już nawet nie przypasując obuszek tylko chwycił, aby całkiem bezbronnym nie być, i wyszli z

namiotu.

Noc już była ciemna, na północy w ławie chmur strasznie błyskało, w prawo płonęło jeszcze Dąbrowno, a księżyc się z chmur dobywał.

W obozie gwarno i huczno, i tłumno, jak za dnia było... trudno się przecisnąć. Wozy i łupy wszędzie przejścia tamowały, a do królewskich namiotów był też spory drogi kawał. Dobili się do nich wreszcie, choć Brochocki nieraz obuszkim sobie drogę musiał torować.

Około płotu i wozów, które zwykle otaczały nadworne namioty, trzeba było stanąć. Marszałka Zbigniewa mały namiocik stał u wnijscia, a on sam w koszuli przed nim, bo tylko co był z konia zlął, naupędzawszy się za tymi, co z Dąbrowna się jeszcze wlekli i po drodze dokazywali z jeńcami.

— Co Waszmość tu robisz? — zapytał marszałek Brochockiego — pewnie ze skargą jaką; ale ja nic już dziś poradzić nie mogę, rycerstwo wzięło na kiel i bodaj czy nie wy, miły panie, temu winniście. Byliście jednym z pierwszych?

— Nie ostatnim, to pewna — odezwał się Brochocki.

— Co się stało, źle się nie stało. Krzyżakom strachu napędzimy.

Spojrzał marszałek na stojącego księdza i zbliżył się.

— Cóż was tu przywiodło, księże Janie? — zawołał — wszak ci to dawniśmy znajomi.

Brochocki mu pomógł.

— Jest od kilku dni przy królu jegomościu chłopak Teodorek z Zaboru, który u mnie z początku w poczcie służył. Za nim to my z księdzem przyszliśmy.

— Był, był, ale go oto właśnie w czasie tej napaści na Dąbrowno nie stało.

Wymknął się z drugimi bez zezwolenia i do tej pory nie powrócił. Mogło go co złego spotkać lub się z innymi zabałamucił, dość, że go nie ma. Król go polubił, parę razy pytał o niego, posyłałem za nim... nie wiem, co się stało.

Brochocki zmilczał, spojrzał na księdza, jakby mu dawał znać, żeby nie mówić więcej.

— To się pewnie z ciekawości gdzie zatrzymało — rzekł — ano pora późna i czas by spocząć, ja księdza z sobą zabiorę. Gdyby chłopię wróciło, niech Wasza Miłość raczy mu o nas nie wspominać. Zbiegło to od rodziny po kryjomu, będzie się obawiać strofowania.

— E, król go obroni! — rozśmiał się marszałek Zbigniew. — Chłopak

zręczny, roztropny i usłużny. Bardzo nam na rękę, że zastąpił tego, co z febry jakiejś zmarł.

Ksiądz Jan ani mógł, ani chciał mówić więcej, tak był zmieszany i przybity, zakłopotany i nieszczęśliwy tym, że milczeć musiał i tajemnicę w sobie chować, iż twarz jego zmieniła się boleścią i niepokojem.

Odeszli.

Świtało zaranie, gdy dwaj jeźdźcy na koniach okrytych pianą i znużonych, wydobywszy się z lasu, ujrzeli przed sobą zamek Bratian i pod nim leżący obóz krzyżacki.

Jeden z podróżnych, młody chłopak z rozognioną twarzą i pałającymi oczyma, drugi stary i znużony, powstrzymali nieco konie, ażeby im dać odetchnąć.

W obozie, około którego chodziły i stały straże, wszystko się spać zdawało.

Wcale on różnie od polskiego wyglądał. Mniejszą daleko przestrzeń zajmował i jednostajniejszy miał pozór, namioty były kosztowniejsze i lepiej pozaciągane, wszystko tu z cudzoziemska urządzone, bogatsze, więcej ku wygodzie obmyślane było.

Przyjmując gości z daleka, Zakon musiał, oprócz niekiedy dawanych

honorowych stołów i biesiad królewskich, w codziennym też życiu myśleć, by nikomu nie zbywało na wygodach, a ci co ofiarowali się walczyć za Zakon, nie żalowali go, i wiedząc o bogactwach, wymagali więcej niżby w domu mieli.

Zwłaszcza obozem leżąc, cudzoziemskiej gawiedzi nastarczyć nie było można przysmaków i napojów.

Beczki wina i miodu musiały jeździć za obozem wszędzie i kuchnia też, która na owe czasy sławna była, bo w niej co najdroższych przypraw i zamorskich płodów nie żalowano.

Nęciło to rycerzy, co na swych burgach kwaśnym piwem, przegniłym serem i baranim a krowim mięsem żyjąc, tu się odpasali na krzyżackim chlebie. Nie tyle też

było kaplic u zakonników w obozie, co ognisk, około których od rana rożna się obracały.

Dymiło około kuchni jednych, gdy obóz jeszcze cały spoczywał.

Dwaj jeźdźcy, postawszy chwilę, posunęli się zwolna ku straży, która, na koniu drzemiąc, stała nieopodal. Podbiegł starszy prędzej nieco, prędko się z nią rozmówił i gdy mu knecht wskazał kopią namioty pod murami, poczęli obaj jechać dalej.

Wnet też i do obozu dotarli, a choć z dala sennym się on wydawał, chyba nie od dawna zasnął. Przebywali właśnie tę część jego, w której Niemcy z Łużyc, Miśni

i z Frankonii mieli swe stanowisko.

Po niektórych namiotach, choć dzień szarzał, świeciło się jeszcze od nocy, bo żołnierze w nich w kości grali i pili. W jednym z większych, dla starszyny przeznaczonym, płótek u wnijscia był podniesiony, na ziemi leżało kilku nierozdzianych rycerzy w kaftanach, którzy dopiero pozasypiali. W głębi kufle gliniane i cynowe wypróżnione i konwie powywracane świadczyły, czym się zabawiano do rana. Chrapanie głośne dawało się słyszeć spod namiotu, w którym już o mroku tylko nogi leżących i porozrzucane płaszcze, i rozsypaną broń widać było. Lampka dogorywała na stole okrytym kobiercem, z którego misek i resztek jadła nie miano zdjąć czasu. Sfora psów myśliwskich wałęsała się się szukając kości i gryząc się, rozczepić nie mogąc, o każdą znalezionej.

Młode chłopię zmarszczywszy brew spojrzało z konia na to pobojuwisko nocne i westchnęło, a potem się całe wstrząsnęło.

Jechali dalej ku innym namiotom. W jednym stał w habicie zakonnym

staruszek mnich i na różańcu się modlił. Popatrzył na jadących i obojętnie do wnętrza powrócił.

Nareszcie przeprowadzający sługa na namiot jeden wskazał i z konia zsiadł.

Młodszemu rękę podać musiał, bo o swej sile zmęczony zleźć nie mógł, a potem się zatoczył, na nogach ledwie się utrzymawszy.

Przed wskazanym namiotem wbita była chorągiew z kluczem w polu

czerwonym. Knechci pobudzeni już się snuli. Poczęto szeptać z nimi, a jeden uchyliwszy płotka do namiotu się wśliznął.

Po chwili głowa szkaradna, trędowata, plamami okryta, wyjrzała i skryła się.

Przybyły podróżny, oparłszy się o wbity pał dębowy, z oczyma zamkniętymi odpoczywać się zdawał. Nie trwało to długo, bo taż sama głowa, ale z nią i cała postać podskarbiego Merheima wychyliła się z namiotu. Zdawał się zdumiony wielce wpatrywać w młodego przybysza, na którego twarzy malował się cichy smutek i srom.

— Ofka! — zawołał podskarbi — czy mam oczom wierzyć?

Pacholę palec położyło na ustach i spiesźnie weszło do namiotu za podskarbiem.

— Cóż się stało z tobą? jakieś tu się dostała? Gdzie matka? skąd jedziesz? do czego to przebranie? byłaś w ich obozie?

Jedno po drugim począł rzucać pytania Merheim.

— Co to jest? — dodał w końcu — dlaczegoś uciekła?

— Jadę wprost z obozu Jagiełły, do którego się dostała — zawołała przebrana Ofka. — Utkwiła we mnie ostatnia rozmowa. Judytą być zapragnęłam, a zostałam pacholęciem przy królu tymczasem.

— Przy królu! — powtórzył podskarbi — ty jesteś heroina! Mów! mów...

coś widziała? z czymże jedziesz?

— Ostatnia rzecz, którą widziałam, to była hańba nasza i klęska! — zawołała Ofka. — Zdobyty Gilgenburg, złupiony! spalony! Krwi strumienie się lały, trupów stosy ogień pogrzebał, jeńców tysiące nabrali!

Merheim cofnął się przerażony.

— To być nie może! Gilgenburg! warowny, na jeziorze, obsadzony tak mocno... Wzięli go w dwie godziny! — zawołała Ofka. — Napadli jak szarańcza, dziś to już gruzów kupa! Wojsku nikt nie nakazywał szturmować, przyszło kłaść się obozem, ochotnicy pobiegli; odwoływano, nie pomogły rozkazy króla; jak szaleni leżeli na mury, padali z nich, po trupach cisnęli się drudzy, nie pomogły działa, wrzątek, kamienie. Wzięli gołymi rękami zamek krzyżacki! Cóż będzie, gdy inne działami i całą siłą napadać zechcą?

Podskarbi stał niemy, blady, a twarz krzywiła mu się bólem i gniewem niewysłowionym.

— Gilgenburg wzięty! Gilgenburg spalony! — mruczał po cichu.

— Porzuciłam dwór, króla, wszystko, aby przynieść wam przestrożę.

— A panowie węgierscy? a wypowiedzenie wojny Zygmunta? — przerwał

Merheim - wszak mu list przynieśli?

— Tak, i za zasłoną słuchałam, co mówił Frycz — odparła Ofka — kłaniał

się królowi zaręczając, że wojny nie rozpoczyna żadnej, że bać się nie ma czego, że im szło o dostanie pieniędzy dla Zygmunta, a nie o sprawę Zakonu.

— Podli zdrajcy! — krzyknął Merheim — czytaliśmy to z oczu Ścibora, nie cierpią Zakonu.

— A zaciężne Czechy idą z nimi? — pytał podskarbi.

— Jak najwierniej i jak najmocniej rachują tam na nich, a Sarnowski jednym z dowódców.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Jakież ich siły? — spytał.

— Któż je policzy? tysiące, tysiące... ludy-i bez końca, pułków bez liku, chorągwi jak gwiazd na niebie. Ćma, chmura, ja nie wiem.

— Pogańska dzicz! — mrucał Merheim.

— Mylicie się — smutnie przerwała Ofka — nie wiem, co w sercu ich, ale na ustach nieskończone modlitwy.

Kilka dni temu całe rycerstwo szło do spowiedzi i ołtarza. Król co dzień mszy naprzód słucha. Pierwszą kaplicę rozbijają w obozie, ostatnią ją zwijają.

— Faryzeusze! — zawołał podskarbi — czynią to dlatego, by świat im pogaństwem nie rzucał w oczy. Któż temu uwierzy?

Zamyślił się głęboko.

Dziewczę znużone i podróżą, i opowiadaniem pobladło i musiało się oprzeć o pal namiotu. Dostrzegł to podskarbi.

— Idź — rzekł — spocznij, w zamku jest siostra Gertruda, do niej zajdź, znajdziesz ją przy infirmerii.

Ofka posłuszna powoli wysunęła się z namiotu i pieszo poszła ku zamkowi.

Dzień już był biały, przysłoniła więc sobie twarz, aby snujący się knechci jej nie poznali. Tak dostała się przez bramę na podwórze zamkowe, rozejrzała po nim i spytawszy tego, co jej towarzyszył, o infirmerię, udała się do drzwi wskazanych.

Mieszkanie siostry Gertrudy stało jeszcze zamknięte, potrzeba było pukać do drzwi zaryglowanych, nim je otworzono. Okienko zakratowane we drzwiach odemknięto się naprzód, ukazała się w nim twarz żółta z oczyma czarnymi, zaburczała coś zobaczywszy mężczyznę i po chwili otworzono podwoje, łajac i gderając.

Kilka słów w ucho szepniętych złagodziło siostrę Gertrudę, która oczyma wielkimi patrzyła na przybysza i milcząc wskazała mu drzwi.

Po dwóch schodach weszły do ciemnej izby sklepionej. W głębi stało łóżko okryte nędzną pościelą, z krzyżem nad nim i N. Panny obrazkiem. Na stole przy jednym oknie nożyce, płótno, okrawki sukna i różnych gałganów leżały stosem.

Naprzeciw niski piec z kafli zielonych, na nogach cienkich, zastawiony był

garnuszkami, słoikami i talerzami. Kilka flaszek zatkniętych kłakami stało na podłodze.

Z otwartej szafy przy tejże ścianie widać było szufladki z ziołami i lekarstwami. Nieład i zaniedbanie panowały w lichej izdebce.

Siostra Gertruda w białym habicie z półkrzyżem, stojąca przed Ofką, była kobietą lat około pięćdziesięciu, a z twarzy, ruchu i postawy podobniejszą do mężczyzny niż do niewiasty. Twarz żółkła, pomarszczona, okryta była ciemnym włosiem rzadkim i brodawkami, w ustach coś niemiłego,

złośliwego, na czole zmarszczki, brwi zrosłe, ciemne, jak jedna kresa nad oczyma, czyniły ją do onych czarownic podobną, o których lud w baśniach mówi.

Ofką nie mówiąc nic szukała oczyma, gdzieby usiąść.

— Dajcie mi gdzie spocząć, bo padnę — rzekła — nie wiem, ile mil

zrobiłam konno, nie jedząc nic.

— A cóż cię niosło? co? i to jeszcze przebraną bezbożnie? — gniewliwym głosem zawołała Gertruda podsuwając jej stółek drewniany.

— Jesteście siostrą Zakonu i pytacie? A cóż innego mogło mnie prowadzić, jeśli nie jego sprawa?

Popatrzyły na siebie.

— Tyś za młoda na takie usługi! — mruknęła siostra — tobie się w głowie pali!

— Nie uczcież mnie, proszę, a przyjmijcie! — żwawo zawołała dziewczę —

źle czy dobrze, com zrobiła moja rzecz, a wasza, jak przykazał podskarbi, dać mi spocząć wygodnie.

— Wygodnie? — zaczęła głową trząść i namyślać się. — Nie bój się, tu ja ciebie nie zostawię, u mnie dla takich miejsca nie ma.

Smutnie uśmiechnęła się Ofka.

— Siostrzo Gertrudo, bądźże grzeczniejsza, bo gdy do Torunia wrócę, a od matki zażądacie balsamu lub olejku, to wam nie przyślę.

— Co? od jakiej matki?

— Jestem córką Noskowej!

Siostra Gertruda baczniej się jej zaczęła przypatrywać.

— I puściłaś się w tym wieku na takie przygody?

Cóż ci to źle w domu było?

— Siostrzo Gertrudo! — odezwała się Ofką — jeść daj, pić i spocząć, a potem ci powiem wszystko!

Tym wdziękiem uśmiechu i mowy, którym czarowała kogo chciała, Ofką złagodziła siostrę Gertrudę. Pomruczała jeszcze i wzięła klucze.

— Gdzieś niedaleko od siebie dajcie mi kątek.

— Znajdzie się, znajdzie.

Znowu tedy schodki zejść trzeba było i w korytarzu drzwi szukać do izby, która jak cela klasztorna, ale czysta i świeża wyglądała. Było w niej łóżeczko, stół, dzbanek, misa, a z okna widok na obóz krzyżacki, który gwarny być poczynął.

Ofką rozdziwiała się co żywiej i padła na posłanie.

Gertruda popatrzyła, zamknęła ją na klucz i odeszła.

Merheim śpieszył do namiotu wielkiego mistrza, który, tylko co wdziawszy suknie, łańcuch i wszystkie oznaki swojego dostojenstwa, zbierał się radę zwoływać. U namiotu stał ten sam Korbacz nieszczęsny, oparty na długim kijku i z twarzą bardzo posępną.

Po podskarzim Ulryk domyślił się złej wieści, a że tylko co jakąś niedobłą odebrał, wstrząsnął się i stanął postrzegłszy go, czekając już na to, co przeczuwał.

— Co niesiecie? złe? nieprawdaż? — odezwał się głosem pełnym dumy i ironii.

— Jeszcze nie ma nic tak złego, ażeby mistrz Zakonu miał prawo narzekać.

To, co się stało, musi być bodźcem tylko... Gilgenburg wzięty i spalony.

Mistrz zdawał się nie czuć doniosłości nowiny lub jej nie rozumieć, stał, nie dając znaku po sobie.

— Mów dalej — rzekł.

— Jagiełło idzie na inne zamki i pustoszy nasz kraj.

— To wiem.

— Zygmunt zdradził.

Tegom się domyślał, pieniędzmi się kupuje zwykle tylko nowych nieprzyjaciół.

— Jedną ręką podali list wypowiedzi!, a drugą dłoń z zaręczeniem pokoju.

— Cóż więcej jeszcze?

— Tego dosyć, ażeby działać, aby wyjść z tej beczynności, w której stoimy.

— Masz słusność, panie podskarbi — odezwał się Ulryk — nie chcieliśmy pokoju, musimy więc prowadzić wojnę...

— Nie stojąc i nie czekając.

— Idziemy dziś — odezwał się mistrz — zastąpimy mu drogę, los

rozstrzygnię o przyszłości.

— Ja nie wątpię o niej! — zawołał Merheim.

- Ani ja. Z małym wyjątkiem, Zakon, jako-jeden mąż, wyrzekł: wojna! Bóg mógł go tylko natchnąć. Dlatego nie boli mnie wzięcie Gilgenburga, ani zdrada Zygmunta. Zakon można znękać, ale go zabić nie potrafi nikt. Odrodziłby się w innej sukni, z innym znakiem, pod innym hasłem... z tym samym duchem. Zakon jest nieśmiertelny. My możemy paść wszyscy, on — nigdy.

— Amen — szepnął podskarbi.

— Kto przywiózł wam te wieści?

Merheim przystąpił bliżej i mówić zaczął po cichu. Czoło mistrza

sposępniało, nie rzekł słowa; z pewnym wstrętem słuchał tajemniczego opowiadania, które mu widocznie było przykre. Merheim mówił z zapalem, on przyjmował to zimno.

— To nie są moje sprawy — zakończył — jam wódz, jam żołnierz, nie znam innego nic. Idę, walczę, a Bóg uczyni ze mną, co zechce. Dla mnie rozstrzyga oręż.

Ulryk mówić dłużej nie chciał, chociaż Merheim zdawał się pragnąć

rozmowy; wyszedł do drzwi namiotu, aby przywołać dowódców, pilno mu już było iść. Stał, uchyliwszy zasłonę, gdy Schwelborn przypadł w jednej sukni, bez okrycia głowy, z wściekłością w twarzy, rozogniony, oszalały.

— Wiecie co prawią po obozie? — krzyknął. — Nie zacząwszy wojny,

jesteśmy pobici? Nie dobyliśmy miecza z pochew, a krew nasza się leje; zamki się palą, skarby nasze łupią... i my to cierpieć będziemy? my, cośmy przyjęli wojnę, a nie chcieli pokoju?

Oczy zaognione wlepił w mistrza z wyrzutem, za nim przypadli drudzy.

— Prawdaż to, co głoszą? Głgenburg wzięty, spalony? — wołał wielki komtur.

— Srom i hańba! — wyrzekł inny — ponieśliśmy klęskę pod Swieciem.

Kawał kraju pustką, Gilgenburg w popiołach, a my stoimy i patrzymy...

Wielki mistrz blady i poruszony stał nic nie mówiąc, cisnęli się do namiotu komturowie i wielcy dostojnicy.

— Prowadź nas! rozkazuj! — odezwał się marszałek — inaczej w

Marienburgu bronić się przyjdzie.

— Powołać radę — rzekł Ulryk.

Rozruch się stał w całym obozie, jeden mistrz zachował krew zimną i nie zdawał się wielce poruszonym.

Dwóch braci posłano po namiotach, aby zwykła wojenna rada się schodziła, i prawie w tej samej chwili, kto jak stał odziany, czy na wpół ubrany, zdążył do namiotu. Na wszystkich twarzach znać było gniew, oburzenie, wściekłość; milczano wszakże, półsłowami ulgę czyniąc zburzonym uczuciom.

Wielki podskarbi pozostał także w namiocie. Ulryk stał zamyślony u stołu; gdy liczba zebranych była dostateczna do zagajenia, odwrócił się posępny i zamyślony.

— Wiecie wszyscy — rzekł — że Jagiełło niespodzianym najściem zdobył

Gilgenburg i leży obozem nad jeziorem chcąc się posuwać dalej; nie mamy co czynić, tylko stanąć przeciw jego wojskom i stoczyć bitwę, która o losie Zakonu stanowić będzie.

— Chyba o losie Jagiełły! — przerwał Schwelbom szydersko.

Jednemu Bogu wiadomo, o czym — dodał mistrz.

— Mielizbyście zwątpić? — podchwycił marszałek.

— Nie wątpię, ale z każdą chwilą się przekonywam — mówił Jungingen —

żeśmy nieprzyjaciela za lekko cenili; trzeba to wynagrodzić wysiłkiem potężnym.

Od bitwy zależy nie tylko potęga, ale może byt Zakonu.

Głośnym śmiechem mowę tę powitało kilku komturów.

— Prowadźcie nas! idźmy! — zawołali — zobaczymy tę potęgę! To stado, nie wojsko. Jagiełło stary i bezsilny, Witold nieszczerzy... lud do rabunku, nie do boju, stratujemy ich pod kopytami naszych koni.

W wytartej sukni, przepasany starym pasem, siwy, zgarbiony,

pomarszczony, na uboczu stał zakonnik milczący i słuchał tych pogrózek i wrzawy.

Nie mieszał się

do rady, nie występował naprzód, znać było, że co innego czuł i myślał. Oparty na mieczu, zwracał głowę ku mówiącym i chwycił każde słowo; niekiedy ostrzyżoną głowę gładził ręką, jakby od niechcenia.

Był to najstarszy wiekiem ze wszystkich braci, który najdawniejsze pamiętał

czas; zwano go Albrechtem Hoymem. Sprawiał on po kilkakroć urzędy różne w Zakonie, ale na żadnym długo dla surowości swej nie ostał się.

Zastępował komturów, dowodził strażami, dawano mu naczelnictwo

zaciężnych; na ostatek dla nieustannych skarg, choć poczesne miejsce zachował, jako prosty zakonnik, tylko bił się i małym poczem dowodził. Szanowali go wszyscy, ale unikał każdy, gdyż nie pobił nikomu. Surowy zachowawca reguły zakonnej nie szemrał na nic, gdy go nie pytano, lecz wezwany, nikogo nie miał na względzie. Gdy głosy na pochod zbierać zaczęto, przysła kolej na Albrechta Hoyma, a wielki mistrz więcej przez wzgląd na wiek, niż dla zbadania myśli jego, spytał:

— Cóż wy sądzicie, bracie Albrechcie?

— Co ja myślę? — niemal ironicznie, z głębokim smutkiem, głosem jeszcze silnym począł Hoym — chcecie wiedzieć całą myśl moją? Powiem ją, jesteśmy pomiędzy swoimi. Zostaniemy pokonani, pobici, złamani, i nie Jagiełło ani Witold nas zwyciężą, lecz własne winy nasze i grzechy. Mówimy o Zakonie? gdzie jest Zakon i reguła? Suknie z nich zostały tylko. Wszystko idzie samopas, nikt nie spełnia, co wszyscy powinni. Gdzie są godziny nabożeństwa i gdzie posty, i wstrzeźliwość, i pokora? Ja ich nie widzę. Czyni każdy co chce. Po zamkach dzieją się zgorzenia! Zakonnikami przestaliśmy być, a jako zbierany z całego świata żołnierz, nie wieleśmy warci. Wiązała nas reguła święta, surowość obyczaju, karność Zakonu, pokora, posłuszeństwo i pogarda śmierci... gdzie one dziś?

— A! bracie Albrechcie — przerwał chmurząc się Schwelborn — dość tego, dosyć, twoje kazanie słyszymy od dawna przy każdej okoliczności. Gdy nieprzyjaciel na karku, nie czas się spowiadać i zabierać do pokuty, rąbać trzeba.

— A bez pokuty ręka ci uschnie — odparł Hoym — bez miłości Chrystusa miecza nie dźwigniesz, nienawiść nie starczy, nienawiść nie da zwycięstwa.

Niektórzy się uśmiechali, inni patrzyli z politowaniem; mistrz zdawał się nierad, że wywołał próżne słowa.

— Ale w czymże znajdujecie złamaną regułę? — zapytał.

— Za długo by było wyliczać — odparł spokojnie stary wojak — od

odzieży, jadła, mowy, aż do modlitwy zmieniło się wszystko. Dawniej do kobiety mówić nie było wolno, dziś z nią po całych dniach, a może i nocach zabawiać się nikt za grzech nie ma; stół zakonny był prosty, dziś jest wykwintny; nie miał nikt własnego nic, habitu, grosza, rodowej pieczęci, ani woli własnej w niczym, dziś każdy nosi, co mu się podoba, zbiera, gromadzi, rozdaje, a żyje byle za mury się wybrał, jak świecki człowiek. Dlatego Zakon słabnie, pada i lada burza go obali.

— Nie! — zakrzyczał marszałek — nie! To, na co wy narzekacie, stary bracie puchaczu, wróżbiarzu złego, było zawsze i zawsze będzie. Gorszi nie jesteśmy od drugich.

— Cóż? lepsi? — spytał zimno, w oczy mu patrząc stary.

Zmieszał się nieco Lichtenstein.

— Nie przypisuję sobie tego, żebyśmy doścignęli pierwszych tych, co na tej ziemi krzyż zatknęli, lecz...

— Zapewne, że późno dziś naprawiać, co lata popsuły — dodał Hoym —

lecz jeśli wyjdziemy cało, kajajmy się bracia, pokutujmy!

Cicho było w namiocie, niektórzy zdawali się znudzeni; śmiali się inni odwracając; stary Albrecht postrzegł to, westchnął i zamilkł.

Milczeli też długo wszyscy.

— Aby pozyskać siłę Chrystusową — dodał jakby sam do siebie — trzeba naśladować Chrystusa Pana i jego trzymać się nauki. Zakon nasz począł od szpitala i miłosierdzia, a skończył na zaborach i rzeziach. Chrzcimy krwią, nawracamy mieczem, od miecza zginieemy!

To rzekłszy, jakby dla uspokojenia sumienia, nisko głowę skłonił przed mistrzem, przyklęknął z lekka, reszcie braci oddał pokłon i wyszedł powolnym krokiem.

Choć nikt się nie chciał przyznać do tego, wystąpienie starca uczyniło wrażenie, jak wyrzut, co się odezwał w sumieniu. Czuł każdy, iż wiele prawdy było w słowach surowego rycerza.

Ulryk przeszedł się dokoła stołu i rzekł głosem stanowczym:

— Natychmiast wyruszyć potrzeba, czekałem posiłków jeszcze, rachowałem na zwłokę, liczyłem na króla Zygmunta, który miał wpaść od granicy węgierskiej, na Inflanty, że wtargną na Litwę... chciałem nieprzyjaciela wciągnąć w głąb kraju, aby go zeń nie wypuścić... zmuszacie mnie, a raczej wypadki zniewalają iść i stanowczą stoczyć bitwę. Stanie się więc. Męstwo trzeba podwoić, bo siły nasze małe są i słabsi jesteśmy od Jagiełły.

Zaczęto mruzczyć.

— Nie wedle liczby waży się żołnierz! Co znaczy liczba? Siła nasza w rycerskiej wprawie i sercach!

Mistrz nie odpowiedział.

— Odtrąbić do pochodu! Ruszamy!

Na to hasło komturowie rzucili się ku drzwiom, niektórzy z okrzykami, i po obozie rozległ się natychmiast odgłos trąb i wołanie: — Do koni! — Z hałasem ściągano namioty.

Zaciężny żołnierz jeszcze zażywał wczasu nad stołami i konwiami, gdy hasła się rozeszły; kto więc co pod ręką znalazł, zabierał, wypijał, chował, a czeladź

śpieszyła siodłać i troczyć. Z pośpiechem z dawna niepamiętnym zabierano się wyruszyć. Chorągwie około południa już się na błoniach pod zamkiem ustawiać zaczęły. Chmurne i przeciągającymi obłokami okryte niebo osłaniało nieco od spieki słonecznej, ale powietrze było duszne i ciążyło na piersiach ołowiem.

Zwinięto i namioty, pod którymi gości przyjmowano, i mistrzowski, i co tylko zabrać się dało; wozy ładowano co żywiej. Schwelborn zajadły miał ich kilka pełnych sznurów i pęt, odgrażając się, że je na jeńców polskich gotował.

Wspaniałym i uroczystym pochodem ruszało wojsko krzyżackie, zamiast modlitwy, okrzykami wojennymi i od- grózkami brzmiące całe.

Szła przodem wielka chorągiew Zakonu, z krzyżem czarnym i złotym, na którym w tarczy złocistej widny był orzeł czarny. Pod nią jechał sam wielki mistrz, najdostojniejszy panowie, dwór Ulryka i jego czeladź, zbrojna przepysznie i strojna jak do okazji, nie do walki. Tu świeciły najpiękniejsze szmelcowane zbroje, najmisterniejsze szyszaki, najkosztowniejszy oręż, najbielsze płaszcze i najbielsze twarze. Mistrz na piersiach miał łańcuch z relikwiarzem jerozolimskim, który był uważany jako paladium i siła Zakonu.

Za nim szła mniejsza chorągiew wielkiego mistrza, proporzec jego, pod którym znajdowała się szlachta pruska, najemni rycerze niemieccy i zbierana drużyna płatna.

Pierwsze szeregi błyszcząły i tu zbroją i rynsztunkiem, i ludzi dobozem, ale w dalszych dojrzeć było można takich, co szli na wojnę więcej aby jeść, niż aby się bić,

i obładowani bez miary, oglądali się raczej na wozy niż na chorągiew.

Chorągiew wielkiego marszałka, z krzyżem czarnym, złożona była z

Franków, gdyż i on sam z Frankonii pochodził, a ludzi miał dobranych do boju; po niej szedł ze swoją Konrad, książę na Oleśnicy, pod znakiem czarnego orła śląskiego, ze Ślązakami, między którymi siła była, co lepiej po polsku, niż po niemiecku mówili.

Jerzy Gersdorf, Ślązak, niósł chorągiew św. Jerzego z białym krzyżem w polu czerwonym. Była to jedna z najprzedniejszych, pod którą się tylko ci garnęli, co z placu nigdy nie ustępowali i znamieniowi swemu hańby uczynić nie dali.

Gersdorf był między nimi jednym z najprzedniejszych, żołnierz prawy, bo od dzieciństwa zbroi nie zdejmował i wojna była jego rzemiosłem. Chorąży ziemi chełmińskiej, Mikołaj Renysz, głowa Jaszczurczego Związku, niósł chorągiew białą z czerwonym, z krzyżem czarnym, i wiódł szlachtę chełmińską i mieszczan; za nim postępowali komturowie, każdy na czele swoich, potem chorągwie biskupstw, znaki miejskie, znaki najemnych pułków z rozmaitymi godłami, na ostatku czeladź, ciury i działa, wozy z kulami, prochem, orężem itp. Tych liczba niemal tak była wielka jak wojska i osobny obóz stanowiła.

Z chorągwią swą wystąpił też między dostojnikami podskarbi Merheim, lecz miejsce jego zajął

namiestnik, któremu ją do prowadzenia powierzył, sam pozostawszy na zamku dla spraw, które chciał dopilnować...

Z okna swej celi Ofka, przebudziwszy się po krótkim spoczynku, gdy trąby jedna po drugiej odzywać się zaczęły, postrzegła ustawiające się szeregi i zbierające do pochodu wojsko. Niespokojna poprawiła nieco swój męski strój i czekała, aby jej znać dano, co czynić miała.

Ten niepokój, który ją był ogarnął na widok wojsk Jagiełły w lesie, wrócił, gdy ujrzała wojska krzyżackie, których policzyć niemal nie mogła i zmierzyć mniejszą ich siłę. Znużona i złamana drogą, duchem czuła się znowu silną, a gniew przeciwko tym, co śmieli stawać do boju z Zakonem, wybuchał znowu w jej sercu.

Nie czuła się już jednak zdolna do posługi jakiegokolwiek, bo chwila, w której oręż miał wszystko rozstrzygać, zbliżała się.

Stała jeszcze w oknie zadumana, spoglądając na odciągające chorągwie, to dumna z nich, to trwożąc się, gdy je liczyła, kiedy siostra Gertruda z posępną swą twarzą, obwiązana fartuchem weszła niosąc na misce jedzenie. Ciekawa znać była tego przebranego dziecięcia, na które patrzyła z oburzeniem i zgrozą, bo, podawszy ją, stanęła naprzeciw Ofki, jakby do rozmowy.

— Cóż? za wojskiem pociągniesz? ty, niewstydnico jakaś! — mruknęła nie mogąc się wstrzymać.

— Nie wiem, siostrzo Gertrudo, uczynię, co mi każą.

— A któż ci to kazał bezbożnie się tak przebierać i kryć płęć swoją? —

spytała siostra.

— Musiało to być na coś potrzebne, a pewno nie jest i nie było miłe —

odparła Ofka — ale kto kocha Zakon, ten dla niego nawet czci i sławy nie żałuje.

— Wygadana! wygadana! — zamruczała Gertruda — to niedobre też!

Dziewczyna lepiej robi, gdy milczy. Ofka spojrzała na starą i nie obrażona wcale rozśmiała się.

— Siostrzo Gertrudo — spytała — a wyście zawsze byli starą, czy też może kiedy młodą?

— Słuchajcie, co za żmija! — odparła siostra. — Byłam młodą i piękną jak ty, a może i piękniejszą, alem się nigdy za męczyznę nie przebierała, bo to obraza Boża!!

— A w którym roku życia wstąpiliście do Zakonu, siostrzo Gertrudo? —

mówiła Ofka jedząc i figlarnie mierząc ją oczyma.

— Będiesz ty mnie brała na spytki! Patrzajcie ją? Hm! Miałam męża, zostałam wdową, poszłam służyć Zakonowi!

— Dawno to temu? — mówiła Ofka nie zważając na kwaśną minę siostry.

Na to pytanie nic nie odpowiedziawszy, zbierała się wyjść ze swym gniewem Gertruda, gdy w progu ukazał się podskarbi. Na widok jego spokorniała bardzo siostra i ręce złożywszy, stanęła u ściany.

— Siostro Gertrudo — rzekł — nie gorszcie się wcale ubraniem tego

dziewczęcia; z dobrej woli dla Zakonu poświęciła się... szanować to trzeba, a uczynicie jej wyprawę na drogę, jakiej zażąda... Proszę i żywo!

Rzuciwszy okiem na Ofkę śmiejącą się, wyszła siostra co prędzej.

Podskarbi zbliżył się do niej.

— Na koń! i na powrót do obozu, do króla! — zawołał.

— Jak to? — spytała Ofka zdumiona — a jeśli mnie pytają...

— Spytają pewnie, powiesz, co chcesz... żeś się zabłąkała. Cóż dziwnego?

Podskarbi się obejrzał i przystąpił do stolika, zza sukni dobył krągłą bańkę złotą, którą otworzył. W środku jej była druga szklana, zamknięta korkiem złotym i osznurowana.

— Widzicie — rzekł — ten pektoralik? Możecie go sobie włożyć na szyję i nosić go... starczy on w pewnym razie za sto szabel i za sto samopałów. Gdyby wam, Zakonowi... groził kto... a bronić się było potrzeba... w obronie życia —

życie odebrać prawo pozwala. Rozumiecie mnie?... Jest to włoski eliksir cudowny.

Kropla do kielicha wina wpuszczona uwalnia od nieprzyjaciela... Rozumiecie mnie... Weźcie dwóch ludzi swoich lub innych, a wracajcie do obozu, do służby.

Nie mówię więcej nic, któż przewidzieć może, co wypadnie?

Spojrzał na dziewczę, które pobladło, strwożyło się, wahało, potem rękę drobną wyciągnęło po bańkę, którą podskarbi zamknął; Ofka chwyciła sznur jedwabny, na którym zawieszona była, i szybko zarzuciła na szyję. Nie odpowiedziała ani słowa, oczy jej błysły.

Podskarbi wstrzymał się chwilę.

— Nie macie potrzeby pamiętać, kto wam to cacko dał... mogliście je znaleźć na drodze.

Oczy Ofki i jej bystre spojrzenie świadczyły, że rozumiała.

— Jedźcie do obozu — dodał — wojsko nasze ciągnie powoli, ja także idę z chorągwią moją. Wy możecie wyminąć je i wyprzedzić. A stanie wam na podróż siły?

— Mam nadzieję! — poważnie odezwała się Ofka, zmieniwszy głos i wyraz twarzy, jakby dumna była z posłannictwa, które na nią nakładano.

— Niech Bóg dobrym zamiarom błogosławi! — dokończył podskarbi. —

Jedźcie nie zwlekając. Kobieta będąc, zawstydziliście teraz niejednego mężczyznę i rycerza. Zakon o waszych zasługach będzie pamiętał.

To mówiąc wyszedł Merheim, bo w podwórzu pacholę i konie nań czekały.

Tu jeszcze rozrządził wyprawę młodego żołnierza, jak to nazwał, i siadł, aby dognać swoją chorągiew. W pół godziny później, ścigana groźnymi oczyma siostry Getrudy, Ofka dosiadła podanego konia i śmiało rzuciła się na wskazaną jej drogę, którą wojsko wyminąć miała.

Nazajutrz po zdobyciu Dąbrowna, dnia czternastego lipca, nie można było ruszyć z obozu, w którym noc ostatnia tyle zasiała nieładu. Kupami stali spędzeni jeńcy, leżały stosami łupy, ludzi wielu było rannych, innych odwołać od pogorzeli i rabunku nie było podobna. Zyndram Maszkowski doniósł Jagiełłę, iż wojsko znowu do porządku doprowadzić trzeba, a dowódcy zajęli się zwoływaniem rozproszonych, rozdziałem żywności i zapasów, jakie się im dostały.

Spalone też miasteczko, choć wygorzało prawie do szczętu, wiele w nim po lochach, sklepach i dołach zostało żywności, którą gardzić się nie godziło. Wysłano wozy i co wstrzemięźliwszą czeladź ze starszyzną dla zabrania z pogorzeli, co się ocalić dało.

Sam Jagiełło wyszedł z dala spojrzeć na ów tłum kilkutyśięczny biednych jeńców, którzy spędzeni jak bydło siedzieli płacząc na ziemi i zawodząc żałośnie.

Wielu z nich żon, dzieci i ojców nie stało, których trupy leżały na pogorzeliiskach.

Z boku oddzielnie widać było białe poszarpane płaszcze krzyżackie, rozbrojonych zakonników, a przy nich braci zakonnych, szlachtę okoliczną i żołnierzy.

Za poradą duchownych i z własnego natchnienia król nakazał natychmiast, aby, wydzieliwszy przedniejszych jeńców, mających pozostać w niewoli, resztę mieszczan, ludu, kobiet, dzieci natychmiast puszczo wolno.

A że niewiast było wiele, a obawiano się od ciurów wciskowych napaści i zniewagi, otrąbiono po obozie w imieniu króla, ażeby pod gardłem nikt się nie ważył

puszczonych zaczepić, zatrzymać ani im krzywdy czynić.

Natychmiast w obecności Jana z Tamowa i Krystyna z Ostrowa powiązaniem sznury rozerznięto, innym kazano się w gromadę zebrać i iść naznaczonym szlakiem, wymijając obóz. Dla przeprowadzenia zaś dodano starszego żołnierza i dowódców kilku. Ci, co po wczorajszej rzezi życia nie byli pewni, sądząc, że w pień wycięci zostaną, z radością wielką i błogosławieństwem obóz opuszczają zaczęli. Zakonnicy krzyżaccy, na boku stojący, w większej części ranni i pobici srodze, gdy do nich marszałek podjechał, choć z niedobrą wieścią, ale ze słowem ludzkim, ani głowy

podnieść, ani się odezwać, ani odpowiadać chcieli. Znać było po nich, że śmierci wyglądali i woleliby ją może od sromu i niewoli.

Gdy marszałek odjeżdżał od nich, jeden z zakonników, który miał rękę przeciętą, drugą wyciągnął, pięścią grożąc, i odezwał się, goniąc za nim słowem:

— Nie cieszcie się, ani tryumfujcie! Kawał muru mogliście napaść i zdobyć niespodzianie ale w polu, gdy się spotkacie z nami, będziecie musieli zapłacić sownie za krzywdy nasze, wy i wasz król, i wszyscy, co wam do tego niecnego pomagali dzieła!!

Ani za złe można było wziąć rozzalonemu tych słów, i marszałek, do serca ich nie biorąc, odjechał. Owszem, posłano przedniejszym jadło z kuchni królewskich, które oni wyrzuciwszy, chleb suchy jedli nie wiedzieć, skąd go dostawszy.

Zajadłych tych nieprzyjaciół wśród wojny puszczać nie godziło się, więc choć ciężarem wojsku byli, powiązanych zatrzymać musiano.

Cały ten dzień, jak poprzednie skwarny, upłynął na porządkowaniu, które z południa dokończono, ludzi od miasteczka ściągnięto i dopilnowano, ażeby wcześniej na swych miejscach spoczęli, a na zaraniu gotowi byli do pochodu.

Dowódcy objeżdżali namioty, szałas i stanowiska, nikomu się błąkać nie dając; pogaszono ognie z wieczora i strażę czuwały, żeby się nikt wrywać nie mógł na swą rękę do swawoli. Już nad wieczorem, gdy się to działo, w stronie północno-zachodniej nieba zaczęły się gromadzić chmury, które stały od dni kilku jakby nieruchome; zdawało się, że burza i deszcz przyjdą, aby powietrze odświeżyć.

Wszedł jednak księżyc w pełni, i chmury za lasami, choć w nich znowu błyskało, osiadły. W obozie nastała cisza wielka i uroczysta, bo po wczorajszej walce i znużeniu żołnierz odpoczywał snem kamiennym. Niewielu tylko czuwało około namiotów królewskich i na czatach u krańców obozu. Do tych, którzy nie spali, należał też Bartosz, pleban kłobucki, kapelan Jagiełły, odmawiający długo modlitwy, a później z niepokoju jakiegoś dusznego nie mogący zmrużyć oka. A że w namiotach gorąco było nieznośne, wyszedł się przed nimi, ażeby powietrzem wolnym odetchnąć.

Księżyc już się był znacznie podniósł na niebie, po którym rozsiane, jak wełna rozstrzępiona, przebiegały, a raczej płynęły obłoczki. Były one tak przezroczyście i lekkie, iż mało co blasku miesięcznego odbierały. A gdy w twarz księżycową zapatrzył się modląc ksiądz Bartosz i myślał, co by za przyszłość czekała to wojsko śpiące i spoczywającego króla — obraz dziwny zjawił mu się na tarczy księżyca.

Białe obłoczki wsunęły się na nią powoli i widział pleban kłobucki, jak jeden z nich przybrał postać rycerza z królewską koroną na głowie, drugi mnicha z krzyżem,

albo plamą na płaszczu czarną ...

Nie wierząc oczom swym, coraz mocniej wpatrywał się w te cienie pleban, ale postacie nie znikwały;

jęły się owszem za barki i zdawały walczyć i pasować ze sobą, aż król ów obłoczny obalił mnicha i roztopiły się owe postacie, a uleciały: Przejęty widzeniem ksiądz Bartosz modlił się w zachwyceniu jakimś, upatrując w tym wróżbę szczęśliwą, gdy w tejże chwili nadbiegł doń niedaleko stojący żołnierz, pytając, czy widział na niebie zjawisko?

Spostrzegli je i inni czuwający w obozie, a chociaż nikomu na sercu nie zbywało, dodało to otuchy, równie jak wzięcie Dąbrowna.

Już się na świt brało, gdy straż stojące opodal w zaroślach, usłyszały tętent i wkrótce zjawili się naprzeciw nich trzej jeźdźcy. Zatrzymano ich. Jeden, najmłodszy opowiadał się jako dworzanie króla, zbłąkany czasu napadu na zamek, co mu dwaj drudzy łamanym językiem poświadczali. Wszyscy na powrót do obozu chcieli, lecz straż baczna do oboźnych i nocnej warty ich odesłała. Tu zatrzymano ich aż rozedniało nieco, a gdy z królewskiego dworu zawezwany podkomorzy poświadczyl, iż młodego we dworze królewskim widział i znał go dobrze z twarzy, puszczono ich dopiero, aby szli się przed starszymi tłumaczyć. Właśnie się obóz miał ruszać i zwijać, i zamieszanie z każdą chwilą rosło większe, gdy trzej jeźdźcy podążyli do namiotów królewskich. Chmura, która noc całą stała na pozór nieruchoma między zachodem a północą, podniosła się nagle i wiatr szalony ponad obozem ją przenosił. Płótna namiotów porwane nim miotały się szeleszcząc i rwąc sznury, obalały się stojące, obalone wlokły po ziemi, tumany kurzu otaczały plac cały . . . rzenie koni, krzyk ludzi, wycie gwałtownego wichru zamąciły na chwilę ze snu budzący się lud. Ofka ze swymi podwładnymi podjeżdżała ku taborowi króla, gdy za cugle jej konia porwał silną ręką mężczyzna ogromnego wzrostu i pochwyciwszy ją wpół, z siodła zdjął jak piórko, stawiając drżącą i przelękną na ziemi.

Groźnych czarnych oczu dwoje, wlepionych w nią, dały poznać dziewczynie, iż powinna się była tłumaczyć.

Stał przed nią pan Brochocki. Ofka chciała mu się zrazu wyrwać, lecz dłoń jego ani drgnąć słabemu nie dała dziewczęciu.

— Dokąd? skąd? — zawołał grzmiącym głosem.

— Wracam ... zabłąkałem się ...

— Wrócisz naprzód do mnie! — rzekł Brochocki — przy królu miejsce

zajęte... Ani słowa! iść i słuchać!

Ludzie, których ze sobą przywiodła Ofka, popatrzyli przerażonymi oczyma na nią, na siebie i pozostawszy, korzystając z zamieszania, jakie wiatr wzniecił w obozie, zniknęli. Dziewczę, trzymając konia za cugle, same za ramię ujęte przez Brochockiego, musiało iść przodem.

Przecisnęli się tak wśród powywracanych namiotów i tłumu, który niesione burzą suknie łapał i chwycił. Namiot pana Andrzeja leżał też na ziemi, bo pał złamał wiatr.

Około niego ujrzała z przestraczem Ofka stojącego księdza Jana. Staruszek ujrzawszy ją ręce do góry,

jakby Bogu dziękując, podniósł.

Na twarz dziewczęcia wystąpił rumieniec gniewu, wstydu i przerażenia.

Chciała uciekać, lecz Brochocki nie puszczał jej, doprowadził aż do księdza i śmiejąc się postawił ją przed nim.

— Otóż jest zbieg, burza go przyniosła — zawołał. Zbieg stał pomieszany, lecz i stryj, ksiądz Jan, niemniej był odzyskaniem skłopotany, ani, nagle go ujrzawszy, wiedział, jak sobie ma począć. Nie chciał wydawać tajemnicy, aby obłąkanej wstydu nie czynić; czuł, że puszczone na wolność użyje jej pewnie na złe lub przynajmniej do ucieczki, nie śmiał się cieszyć, nie mógł łajać.

— Mój ojciec — rzekł Brochocki, poniekąd odgadując myśli jego — w

obozie są prawa i zwyczaje. Kto raz samowolnie uszedł, ten pod strażą zostać musi, dopóki się sprawa jego nie rozpozna i kara nie domierzy. Dziś nie czas ani badać, ani karać; lada chwila, żeby tylko ten szalony wichur się uśmierzył, ruszać trzeba; nieprzyjacieli niedaleko, co tu z nim zrobić?

Odwrócił się do Ofki.

— Trochę mnie znacie, ale może niespełna: człowiek jestem takiego serca, jak ręki. Oboje żelazne. W pochodzie rodzzonego brata nie pożałuję, a nieposłusznemu łeb utnę; rozumiecie mnie?

— Tnijcie! — zawołała Ofka — a żywo!

To mówiąc, przechyliła głowę i nastawiła szyję białą. Brochocki i ksiądz Jan spojrzeli po sobie, mówiąc oczyma:

— Co z tym szatanem poradzić!

— Gdzieżeś był? — zagrzmiął ogromnym głosem Brochocki.

— W lesie, zabłąkałem się.

— Kto ci pozwolił od dworu?

— A kogóż inni pytali, gdy szli na zamek? — zapytała Ofka.

— Toś i ty tam był?

Dziewczę zarumieniło się mocno.

— Tak jest.

— Fałsz jest! — zawołał pan Andrzej — jam tam pierwszy był i byłem ostatni, i wszystkich widziałem, co byli. Gdzieś była?

Ofka zamilkła, popatrzyła w oczy panu Brochockiemu.

— Wasza Miłość wiecie od mojego stryja, kto jestem. W oczach jego jam winna. Tnijcie mi głowę, mówić nie będę, bo nie chcę.

Do innych trosk z dziewczęciem przybywała i ta, ażeby się król o całej sprawie nie dowiedział i nie tłumaczył jej sobie czarami jakimi, co by mu frasunku w przededniu walki co chwila spodziewanej dodało.

— Licho ją tu w tę godzinę przyniosło — odezwał się sam do siebie

Brochocki — złapał żołnierz Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Ksiądz Jan stał milczący, on mniej jeszcze wiedział, co miał czynić ze zbiegiem. Mierzył oczami dziewczę, które zrozumiałwszy, że o nią byli w kłopotcie, odzyskiwało odwagę i przytomność.

Stała wpatrując się w księdza na przemian i w pana Andrzeja. Ostatni straszniejszym się jej nierównie wydawał. Znać było z zasępionych rysów jego twarzy, iżby się na wiele ważył, gdyby litości nad księdzem nie miał.

— Gdybym wierzyć mógł słowu, kazałbym ci za sobą i z poczem moim iść, ale cię wolną z oczu spuścić nie można.

— Każcie spętać! — odezwała się dziewczyna zuchwale.

— Dałbym cię między krzyżackich jeńców, gdyby mi cię żal nie było do tej hałastry mieszać — zawołał Brochocki.

— Chętnie pójdę z tą hałastrą! — zawołała Ofka.

— A ja także do nich mogę się schronić — głową dając znak potakujący, rzekł ksiądz Jan. Najwłaściwsze tam dla nas miejsce.

Brochocki więc, czasu nie mając do stracenia, bo się ludzie szykowali, a Witoldowe prawe skrzydło dawno już było ruszyło, zawołał na czeladź i kazał

Ofkę z księdzem odprowadzić do jeńców, z poleceniem temu, co ich wiódł, aby na nią mieli oko.

Dziewczę, szydersko się uśmiechnąwszy, milczące poszło za

przeprowadzającymi; ksiądz Jan dążył za nią. Obóz cały był w ruchu. Wiatr gwałtowny nie ustawał.

Nadbiegający dworscy dali znać, że król koniecznie mszy świętej chciał

słuchać przed ruszeniem, a kapliczny namiot, od wiatru obalony, ustawić się nie dawał, ani pale, ani sznury nie mogły go w miejscu utrzymać.

Jagiello stał przy swoim, Witold wreszcie, nadbiegłszy, radził, by czasu nie tracąc posunąć się dalej, a na wypoczynku, gdy wicher, nieco przepędziwszy obłoki, ustanie, nabożeństwo odprawić. Niechętnie zgodził się na to król i trąby po raz trzeci odezwały się do pochodu.

Wśród szumiącej więc suchej burzy, obłoki żeglujące mając nad głową, ruszyły zastępy ze śpiewem pobożnym z obozowiska, z myślą wesołą, z przecuciem jakimś powodzenia. Wszyscy tego dnia mieli nadzieję widzenia nieprzyjaciela, o którym w bliskości wiedziano, nikt się jednak starcia nie spodziewał.

Dwie długie mile, zaroślami i polami sunęły chorągwie, aż ku wsi Rudzie i Grunwaldowi, gdzie wśród gąszczów i gajów, gdy wiatr znacznie był zwolniał, zatrzymać się kazano. Wojsko rozkładało się u stóp pagórka nad jeziorem Lubnem, a na wierzchołku jego spieszenie rozbijano namiot kapliczny. Ksiądz Bartosz ubierał

się do mszy świętej, dwór czekał na nabożeństwo, król się go domagał.

Słońce zaczynało znowu przeziierać zza rozbitych obłoków. W chwili, gdy Jagiello z konia zsiadłszy pieszo zmierzał ku namiotowi, wielkim pędem nadbiegł

z ziajany Hanko, szlachcic spod Chełma, Ostojczyk. Z twarzy mu patrzyło, że wieść niesie; król stanął czekając.

— Z czym idziesz? — zawołano — co się stało?

— Krzyżacy tuż! Stoją już o kilkanaście kroków od obozu, pod wsią

Grunwaldem.

— A ileż ich tam jest? — spytał Jagiello.

— Nie widziałem więcej nad jedną chorągiew — rzekł Hanko — bom z doniesieniem śpieszył, Najjaśniejszy Panie!

Za Hankiem ujrzano w pędzie lecącego Dersława Włostowskiego Okszę.

— A wielu ich tam? — powtórzył król, zwracając się ku niemu.

— Jam widział dwie chorągwie!

Na tym wszakże nie było końca, ujrzano trzeciego, który zwiastował pięć chorągwi, czwarty więcej jeszcze, inni wreszcie powiadali, że cała siła Krzyżaków w szyku bojowym stoi gotowa do walki.

Jagiello wysłuchał ich, przeżegnał się i wszedł do kaplicy. Ksiądz Bartosz stał właśnie u ołtarza i msza święta się rozpoczęła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO